

# Tygodnik Polski

## LA SEMAINE POLONAISE

23, rue Taitbout, PARIS 9<sup>e</sup>

NUMER PODWÓJNY

CENA 1,60 F.

PRIX 14 F.B.

21-28 grudnia 1969  
décembre

Rok wydania XII  
Nr 51-52 (635-636)



FOP 2373







Zdjęcia tu zamieszczone pochodzą z różnych krajów i kontynentów, bo przecież prawie wszędzie na świecie uroczyste obchodzi się Święta Bożego Narodzenia. Oczywiście co kraj to obyczaj i forma obchodów tych świąt nie wszędzie jest jednakowa.

Wigilię Bożego Narodzenia najbardziej uroczyste obchodzi się chyba w Polsce. Wiąże się to z wielowiekową tradycją, która kiedyś nakazywała, by „w domach popółstwa były przynajmniej cztery dania na wieczernę wigilijną, siedem w domach szlacheckich, a jedenaście w pańskich”.

W dawnych czasach w Wigilię wrócono też sobie o szczęściu osobistym. Wrócono ciągnąc żdźbła siana spod obrusa — zielone oznaczało ślub w nadchodzącym karnawale, zwiędłe — dłuższe oczekiwanie, żółte — staropanieństwo.

Do Wigilii zasiadano w chwili ukazania się pierwszej gwiazdy. Pozostałością dawnych wierzeń jest zostawienie przy stole wolnego miejsca dla umarłych lub nieobecnych. Potem zapalano świeczki na choince (choinki są dość późnym zwyczajem — rozpowszechniły się dopiero w XVIII w.) i śpiewano kolędy. Najdawniejsze zapisy polskich tekstów kolęd pochodzą z XV w. (Pewnie nie wszyscy wiedzą, że nasz wielki kompozytor Fryderyk Chopin do swego Scherza h-moll włączył melodię kolędy „Lulajże Jezuniu”).

Kiedy więc z dala od Kraju, w wieczór wigilijny będziecie dzielili się opłatkiem z Waszymi najbliższymi — pamiętajcie, że i ci w Kraju są z Wami i ZYCZĄ WAM DOBRZYCH, POGODNYCH ŚWIĄT!



POLSKA



W. BRYTANIA

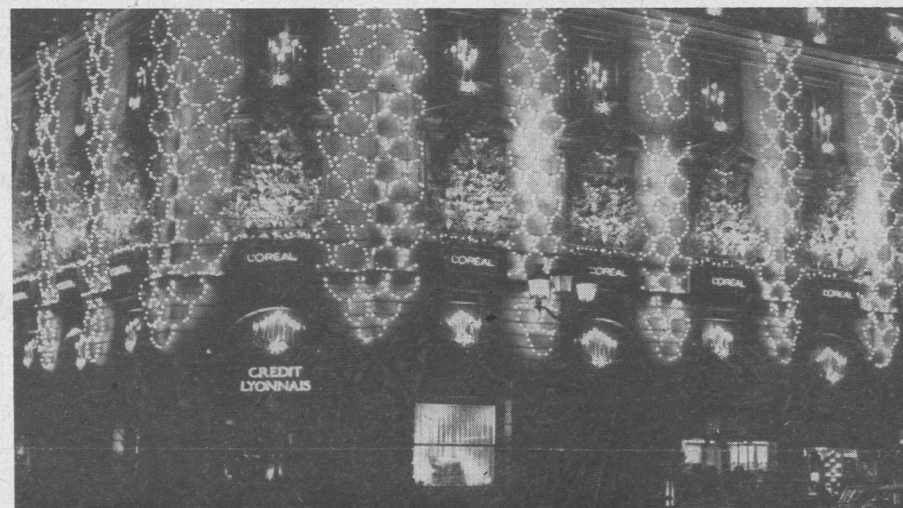


WĘGRY



DANIA

CZECHOSŁOWACJA



FRANCJA

JAPONIA





PASTORAŁKI albo inaczej jasełki są to pieśni związane z tradycją Bożego Narodzenia. Skąd się wzięła ta nazwa? Otóż — jak głosi legenda — Chrystus narodził się w stajence i złożony został na sianie (czy słomie?) w żłobie. Wieśniacy polscy od dawien dawna zagrody pod żłobem nazywają jasta — i oto źródłosłów: jasełka albo jasełki.

Teksty, które poniżej drukujemy, to jasełki współczesne wybitnego polskiego poety młodego pokolenia, Ernesta Brylla. Całość pomyślana została jako widowisko sceniczne, któremu autor dał tytuł: „PO GÓRACH, PO CHMURACH”. Widowisko to w ubiegłym roku wystawił warszawski Teatr Współczesny (w reżyserii Erwina Axera i dekoracjach Ewy Starowieyskiej) z piękną muzyką Zbigniewa Turskiego. Przedstawienie w wykonaniu znakomitych aktorów bardzo spodobało się publiczności warszawskiej — trafnie łącząc w sobie urok ludowego prymitywu z nieco jarmarczną zabawą. Oczywiście Ernest Bryll biorąc za punkt wyjścia ramy tradycyjnych jasełek potraktował to tylko jako pretekst do ukazania jak najbardziej współczesnych treści a nawet do satyrycznego wyszydzenia pewnych postaw moralno-obyczajowych, pokutujących wciąż w nas. Stąd zapewne jego pasterze-kołędnicy chodzą w kapeluszach i z teczkami, a trzej królowie w bogatych futrach z wydrowymi kołnierzami. Natomiast Maria i Józef ubrani są w śliczne kurpiowskie stroje ludowe.

Zdjęcia, które drukujemy obok tekstów Ernesta Brylla, nie pochodzą wcale z widowiska w Teatrze Współczesnym — lecz z widowiska telewizyjnego Ewy Bonackiej w wykonaniu zespołu wokalnego „No To Co”, opartego na zupełnie innych tekstach jasełkowych.

Łącząc te dwa spektakle w jedną całość pragnęlibyśmy jednocześnie zapoznać (oczywiście w sposób fragmentaryczny) Czytelników „Tygodnika Polskiego” z obydwojma interesującymi widowiskami, z których jedno bardziej jest frapujące tekstowo, drugie zaś wizualnie.

1. *Czytelnikom  
Kolporterom, Korespondentom  
Przyjaciółom i Sympatykom*

**Tygodnika Polskiego**

*zyczymy  
Wesołych Świąt*

# PO GÓRACH, PO CHMURACH

Ballada wigilijna

(fragmenty)

napisał: Ernest BRYLL

## KOLEDNICY

Wołamy, czekamy, wołamy, wo...  
Wolarze, owczarze ciebie  
Zapalaj, rozpalaj, podpalaj noc  
Na naszym szarym niebie...

Na górach, chmurach przez tyle lat  
Czekamy twego światła

## PASTERZE (budząc się)

Gonimy stada przez cały świat  
Gwiazdeczko nasza jasna...

## ANIOŁ

Po górach, po chmurach, po górach, po...  
Po drogach, niebogach dalej

## KOLEDNICY

Aż w niebie dla ciebie, dla ciebie noc  
Od gwiazdy się zapali...

## PASTERZE I KOLEDNICY

Po górach, chmurach wołamy, wo...  
Dla nas, dla ciebie, dla mnie  
Aż z wszystkiej ziemi zgonimy zło  
Aż się rozplacze kamień...

## ANIOŁ

Wołamy, czekamy, wołamy, wo...  
Wolarze, owczarze ciebie...  
Anioł też niknie w mroku.  
Zapalaj, rozpalaj, podpalaj noc

## ADAM I EWA

Poprzez pustynię szli Adam z Ewą  
Kiedy się na nich Pan Bóg zagniewał.  
Poprzez pustynię, poprzez ciernistą  
Długo im nocką wędrować przyszło.  
— Miły Adamie, zapłacze Ewa.  
Jak w tej pustyni my żyć będziemy?  
— Nie trap się, miła, jest zboża ziarno  
Zasiejem, może nie umrzem marno...

## EWA

Miły Adamie, pociesz niebogę  
Skąd w tej pustyni dostaniesz ogień?

## ADAM

Anioł ognisty witką nas smali  
Zażegnę ogień, w piecu napalim.

## EWA

Miły Adamie, gdzie będziem mieszkać  
I w smutku serca nasze pocieszać?

## ADAM

Miła ma Ewo, już zdaj się na mnie  
Najdziem na domy w pustyni kamień.  
Kamień ugładzim rękami swymi  
I będziem mieszkać na czarnej ziemi.

## DIABEŁ

W straszne grzechy wpadła ziemia,  
Pełno wszędzie jest zgorzenia.  
Jedni piją, drudzy palą,  
I inni się do dziewczyn smalą.

## DIABEŁKA

Mody przyszyły jakieś krótkie  
Jedna z drugą suknię utnie  
I już myśli, że królowa.  
A ja pytam — drogie panie,  
Gdzież mam teraz ogon schować  
Toż spod sukni mi wystanie?...



Dalszy ciąg na str. 4-5





## KAPELA

Po zimnie wędruje — je, je...  
 Marię adoruje — je, je  
 Jezusa piastuje — je, je  
 Zbawienie ratuje — je, je...

## JÓZEF

O Maryjo Panienko, tak wolniutko idziem  
 Ze do tego Betlejem przed nocą nie dojdziem.  
 W polu mróz przeokrutny  
 W lesie siedzi wilk luty...

## KAPELA

W polu mróz przeokrutny  
 W lesie siedzi wilk luty...

## MARIA

O Józefie, Józefie, stajenka przed nami,  
 Tam się będziem ogrzewać między bydletami.  
 Tam się na sianie złożę  
 Chrystusa wam urodzę...

## KAPELA

Tam się na sianie złoży  
 Chrystusa nam urodzi  
 W noc betlejemską...

## MATEUSZ

Pan Jezus malutki  
 Od mrozu bielutki.  
 Hej, przydałyby mu się  
 Skóreczki na butki...

## KAPELA I PASTERZE

Hej, przydałyby mu się  
 Skóreczki na butki...

## BARANY

Nieeee...

## PASTERZ

Skóreczki z owieczki  
 Niosą pastereczki.

## PASTERZE

Hej, a pasterze grają,  
 Smykiem pociągają...

## MAREK

Muzyka, muzyka  
 Jak się u nas godzi  
 Hej, głośniej niż na ślubach  
 Kiedy Bóg przychodzi...

## PASTERZ

Na szczęście, na zdrowie,  
 Na to Boże Narodzenie...

## MARIA

Żebyście byli weseli  
 Jako w niebie anieli.

## JÓZEF

Żeby się darzyło w komorze

## BARANY

I oborze...

## DIABEŁ

Kuchnie teraz dziwne takie,  
 Ze co dawniej jadłeś z smakiem  
 Teraz ledwo w język swędzi...

## DIABELKA

Polityki też nie lepsze.  
 Niby soli, niby pieprzy.

## HEROD

Co kto ma do polityki?

## SMIERC

A tuś mi, Herodzie dziki,  
 Jak ci kosą łeb oskrobie!

## HEROD

No i co masz z tego, powiedz?  
 Ja bym tobie dał purpurę  
 Nową bym ci sprawił skórę  
 Ja bym ciebie w generały...

## SMIERC

Zmykaj póki jesteś cały.  
 Nie pomogą żadne trony  
 Żadne władze i ukłony  
 Nie pomogą urzędniki  
 Przemówienia i muzyki  
 Nie pomoże żadne ale  
 Nie pomogą dworskie bale  
 Nie pomoże uciekanie  
 Gdy na ciebie mam żądanie.

## HEROD

Ja tam pożyć jeszcze wolę.

## SMIERC

Jak ci kosą łeb ogole  
 zaraz będziesz mi ładniejszy!  
 O tą głupią głowę mniejszy.  
 Cichuteńki, leciuteńki  
 Przyjdiesz sam do mojej ręki...

## HEROD

Gwałtu, rety....

## MATEUSZ

Ciemno w tej nocy betlejemskiej było  
 Kiedy się dziecię Boże narodziło.  
 W jakiej pościeli my tę noc przespali  
 Ześmy Bożego syna nie witali...

Spali my w smutku, jako i dziś śpimy  
 I betlejemskiej gwiazdy nie widzimy.  
 Jedną noc w roku błysnie nam na niebie  
 Kiedy idziemy z opłatkiem do siebie.

I pomór domy nasze omija.  
 I mróz ostawia ciała ubogie.  
 Jedną noc w roku miecz nie zabija  
 I pomór domy nasze omija.  
 Ciemno w tej nocy betlejemskiej było  
 Kiedy się dziecię Boże narodziło.  
 W jakiej pościeli my tę noc przespali  
 Ześmy Bożego syna nie witali  
 Nie poznali...

## MAREK

Chuchać... Muzyka!  
 Nie ma ognia w Betlejem  
 Gdzież się Mario podziejesz?  
 Uh, uh, uh.  
 Będziem chuchać i śpiewać  
 Marię z synem ogrzewać.  
 Uh, uh, uh.

## BARANY

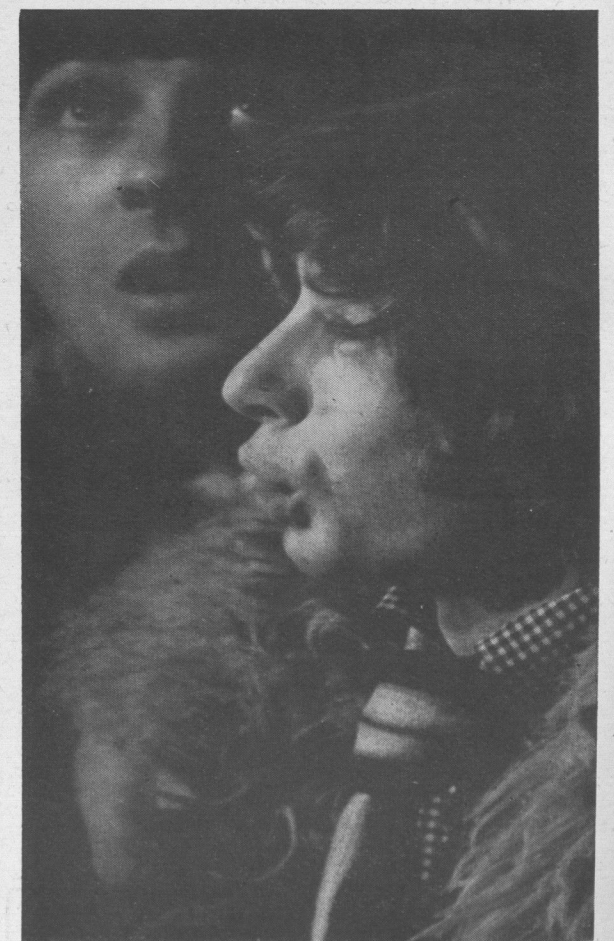
Będziem dmuchać do rana  
 Żebyś była ogrzana  
 Beee... be... be...

## PASTERZE

Będziem śpiewać ogniście  
 Żeby było świetliście  
 Hej...

## PASTERZ

Zimny wicher wieje... je, je  
 Nad Bożym Betlejem  
 Kamień kamienieje — je, je  
 A drewno drewnieje — je, je...







**ZOŁNIERZE**

*Wszędzie — Daj Boże.*

**PASTERZ**

*We woreczku...*

**MATEUSZ**

*Na kótecčku*

**MAREK**

*W każdym kątku*

**ZOŁNIERZ**

*Po dzieciątku*

**PASTERZ**

*A na piecu troje  
Na to winszowanie moje...*

**JAN**

*Kapela... Chodzonego... A ostro podkutego...  
Zebyśmy tego roku jeszcze lepiej mieli  
Zebyśmy co posieli, to w spokoju zżęli  
Zeby dzieci były jak białe kluseczki  
I jak gotąbki spokojne żoneczki*

**JÓZEF**

*Zeby nam z ziarenka cały chleb się zbierał  
Zeby się w bidzie nikt nie powiewierał*

**BARAN**

*Zeby na świecie cicho było i spokojnie*

**ZOŁNIERZ**

*Zeby żony z mężami nie bywały w wojnie*

**PASTERZ**

*Zebyście jak pączki w maśle się pławili  
Nic się nie kiócili, dobrze jedli, pili  
Tego wam życzymy, na to przychodzimy  
I kolędę swoją dla was przynosimy.*

**MATEUSZ**

*Zeby pełno ciasta rosło w całym kraju*

**BARAN**

*Zeby rząd nam dawał lepiej, niż nam dają...*

**BARANY**

*Hej...*

**ZOŁNIERZ**

*Zebyśmy chodzili w samiuśkim jedwabiu  
Zeby w karnawale każdy się zabawił  
Zeby młode pary szybko śluby brały  
Zeby nam kobiety więcej nie płakały  
Zeby nam dziewczyny nie były do zdrady*

**KAPELA I JÓZEF**

*Zebyśmy na starość krzepkie były dziady*

**WSZYSCY**

*Tego wam życzymy, na to przychodzimy  
I kolędę swoją dla was przynosimy...*



Zdjęcia: Elżbieta TEJCHMAN

*Ł okazji świąt i Nowego Roku 1970  
wszystkim naszym klientom i przyjaciołom  
serdeczne życzenia składa*

**la boutique polonaise**

25, rue Drouot — Paris 9e

Telefon: 770-83-37 - Paris



ALEKSANDER GROBICKI

WSPOMNIENIA SPRZED 30 LAT

## COËTQUIDAN - KOCZKODAN

Rysunki: MARIAN WALENTYNOWICZ

(wykonane w 1939/40 roku w Coëtquidan)

COËTQUIDAN. Cóż dzisiaj, po 30 latach, nazwa ta mówi przeciętnemu Polakowi? Przysłonięta nazwami związanymi z bohaterstwem na polu walki, zepchnięta na margines historii polskiego wysiłku wojennego, nie upamiętniona w literaturze ani nie wyróżniona żadną odznaką czy medalem pozostała, śmiem twierdzić tylko w pamięci tych, którzy tam byli, którzy na bretońskiej ziemi, w śniegu, błocie czy piachu, od października 1939 do czerwca 1940 roku budowali na nowo zniszczone we Wrześniu Wojsko Polskie i morale jego żołnierza. Borykając się z piętrzącymi się na tułaczym szlaku trudnościami — moralnymi, politycznymi i zaopatrzeniowymi, żołnierze ci odbudowywali zaufanie do siebie samych i do swoich dowódców, pogłębiali wiarę, że „jeszcze nie zginęła” i ostrzyli broń do dalszej walki.

COËTQUIDAN. Wielki francuski obóz szkoleniowy i artyleryjski poligon, położony w Bretanii, oddany został Wojsku Polskiemu już z końcem września 1939 r., kiedy to do Francji napływać zaczęli pierwsi wrześniowi żołnierze. Był gwiazdą betlejemską, w której stronę „borami, lasami” dążyli Polacy do szeregów odradzającego się na obczyźnie Wojska Polskiego. Niemal wszyscy przez Coëtquidan przeszli (z wyjątkiem oficerów, którzy mieli swój obóz „weryfikacyjny”<sup>1)</sup> w Partenay pod Paryżem). Tam otrzymywali przydział, spędzali pierwsze dni w mundurze, ćwiczyli się w szkołach podchorążych czy podoficerskich. W Coëtquidan na mowo fizycznie i moralnie stawali się żołnierzami Rzeczypospolitej. W Coëtquidan aż do upadku Francji w czerwcu 1940 r. szkoliły się i organizowały polskie dywizje, które następnie tak dzielnie walczyły w kampanii francuskiej. Stamtąd wyruszała pod Narvik polska brygada Strzelców Podhalańskich. Stamtąd wreszcie przedostały się do Anglii kadry przyszłych sił zbrojnych walczących „pod dowództwem brytyjskim”. To w Coëtquidan a nie w Paryżu czy Angers, ośrodkach politycznych Wychodźstwa, szczerze były polskie serca. Tam krzepła wiara, że do Polski wrócimy, Polskę wywalczymy, Polskę odbudujemy — lepszą i sprawiedliwszą dla wszystkich jej dzieci...

I ja do Coëtquidan trafiłem.

Wprawdzie nie z Polski, nie przez obozy węgierskie czy rumuńskie, lecz z Anglii, gdzie wojna zastała mnie na dziennikarskiej placówce w londyńskiej filii Polskiej Agencji Telegraficznej (PAT). Trafiłem — piszę — mogłem bowiem nie trafić, mogłem wygodnie urządzić się w radio czy jakimś innym urzędzie propagandy wojennej. Nie mogłem sobie jednak wyobrazić, by wojnę beze mnie można było wygrać, bo w moim pojęciu snadniej było wówczas strzelać z karabinu niż pisać na maszynie.

Trafiłem zresztą nie od razu. Na stacji zborowej do W.P. w Londynie przebywałem wprawdzie już od października 1939 r., pierwszy z niej transport do wojska we Francji formowanego wysłano jednak dopiero z końcem listopada, a i to dopiero na skutek naszej, ochotników interwencji. Doszły nas mianowicie pogłoski, że konsul Poznański (szara eminencja sanacyjna w Londynie) celowo nie wysłał nas do wojska, bowiem w myśl instrukcji płk Becka chce sabotować wysiłki gen. Sikorskiego. Ruszyliśmy więc kupą do konsulatu, zrobili tam drakę i w kilka dni później byliśmy już we Francji!

A że z miejsca nie znalazłem się w szeregach — też nie było moją winą. Przydzielony już byłem do batalionu piechoty, który później wstąpił się pod Narvikiem, gdy się dowiedziano, że jestem dziennikarzem i ciupasem mnie z niego przeniesiono do Oświaty, gdzie miast karabinu czy choćby pióra, wsadzono mi w garść — czajnik! Niemniej, nie zrażony tym wstąpieniem do wojska „od kuchni” — pisałem na gorąco i dzisiaj po 30 latach te „koczkońskie” obrazki Czytelnikom przekazuję. Może ktoś z Was pośród tych wynędzniałych, otepionych wrześniową klęską i trudami przedzierania się przez granice przybyszów do Coëtquidan — rozpozna siebie? Może komuś przypomni się koczkońskie barak, w którym przy żelaznym piecyku opłakiwał swoje i Ojczyzny losy; świetlica, w której nad szklanką herbaty staczał zażarte boje o przyszłość nowej, powojennej Rzeczypospolitej; kafejka, w której kielichem czerwonego wina topił robaka wrześniowej goryczy, i koczkońskie błoto, w którym grzął po uszy...

## NA PRZYSZŁE ŚWIĘTA W POLSCE

1

Olbrzymie czajniki zaczynają syczeć i pobrzękiwać pokrywkami. Woda zagotowała się. Nareszcie. Stoły, na których jak na paradzie stoją rządy poszczerbionych kubków, upodabniają się nagle do „Linii Zygfyda”<sup>2)</sup>, na którą szturmują cała Armia Sprzymierzona.

— Dwie herbaty z.. (cytryną).

— Jedna bez.

— Pół godziny czekam. (Dopiero co przyszedł, a już się wepchnął do pierwszego szeregu).

— Reszta z 50 centimów? Na świetlicę sobie weźcie.

— Nie pchać się. Tu nie kuchnia.

— Trzy herbatki... Co? Już nie ma wody?

Przez otwarte drzwi słychać, jak w sąsiedniej świetlicy nowo przybyli marynarze śpiewają: „Morze, nasze morze...” Pod piecem, na środku, przy zarezerwowanym nieczym w „Ziemiańskiej” stoliku, urzęduje Pan Senator (*Rembieliński*). Postać łącie biskupia ściąga ku sobie liczną gawieź. Gada, klepie po ramionach i udach. Niejeden z przejęcia nachyla się, by go cupnąć w łapę. W kącie, zawsze elegancki i uśmiechnięty Janta (*Pończyński*), otoczony młodzieżą, coś wyklada. Pewno o Indiach lub Japonii, po których podróżował i które opisał. W drzwiach błyskają okulary. To Szeł (*Terlecki*). Wpada na moment i już go nie ma. Wiadomo — redakcja tygodnika żołnierskiego „Polska Walcząca” ważniejsza. Ale herbaciarnię też trzeba mieć na oku. Nie darmo piosenka obozowa już głosi, że:

„Sekcja oświatowa do pracy się garnie  
Otworła Redakcję, przy niej herbaciarnię”

czemu towarzyszy charakterystyczny ruch palcami: liczenia pieniędzy.

Przy stołach cywile (jeszcze) i żołnierze (już) obrabiają kuchnię (pod psem), pogodę („ażeby ją...”), wieści z Kraju (coraz gorsze) i oczywiście politykę.

— A ja wam mówię, że na wiosnę ruszy aliancka ofensywa i na przyszłe Święta będziemy już w Polsce.

Jest grudzień 1939 roku. Święta za pasem. I jesteśmy w Coëtquidan, Centrum Wyszkożenia Armii Polskiej we Francji, Koczkońskiem popularnie zwanym. Hula bretońska wichura, siecna w zmianę śniegiem lub deszczem, obozowe ścieżki i drogi toną w błocie. Jest szaro, zimno, głodno i smutno. Ani fasowany cidre nie rozwesela, ani herbata za 10 centimów za kubek nie rozgrzewa. Tylko obietnice, kuplety i nadzieja — że przecież na przyszłe Święta będzie inaczej.

2

Długie szeregi drewnianych baraków. Ociekają wilgocią. Kąpią się w błocie. Pamiętają zesłą wojnę i po raz drugi goszczą polskich żołnierzy. Tyle, że wówczas z zachodu, z Ameryki przybyłych — a teraz ze wschodu, z Polski. Niewiele się przez ten czas zmieniły. Można jeszcze na ich ścianach odnaleźć i odcyfrować nazwiska i daty przed z górą dwudziestu laty tam wyskrobane. Wczoraj mieszkali w nich hallerczycy. Dzisiaj mieszkają „turyści Sikorskiego”.

Błotniste ścieżki dzielą szeregi baraków na „iloty” oznaczone kolejnymi literami alfabetu. Abecadło to zaczyna się od łuku bramy, na którym smętnie zwisają sztandary biało-czerwony i trójkolorowy, a kończy wśród śniegiem zaproszonych sosen artyleryjskiego poligonu. Wewnątrz baraków, w słabym świetle pojedynczej żarówki, rysują się kontury drewnianych prycz: pośrodku żelazny piecyk, dziurawy i zardzewiały. Na nim kubki z wodą. Nad nim, na sznurku suszące się skarpety i onuce. Obok niego piramida „jajek” ulepionych z węglowego miazgi, służących na opał oraz sennie kiwający się na stolku dyżurny, którego głównym obowiązkiem uważać, by piec nie wygaśnie. Biada mu, jeżeli do tego dopuści.

Wokoło pieca ludzie. Kto nie poszedł do świetlicy na herbatkę i dziennik radiowy, do „przejściowego” baraku dla nowo przybyłych po wieści STAMTAD lub do kafejki na wino — ten tuli się do





ognia. Ceruje skarpety, przyszywa guziki na zbyt obcisłej wojskowej bluzie, wyciągnął z zanadru fotografię i wpatruje się w nią, wygładził na kolanie list i stara się odcyfrować wodą lub łzami splukane litery... Myśli, wspomina, drzemie... Czerwony blask ognia padający przez dziury w piecu zaostrza kontury, podkreśla chudość twarzy, zmęczenie na nich, rozpacz, beznadziejność.

Żołnierze z nieprawdopodobnego, jak im się to ciągle wydaje, ale prawdziwego zdarzenia. Jeszcze nie śpiewają „Wrócimy tam gdzie nasz dom...”, bo do Koczkodanu piosenka ta dotarła dopiero w okresie Wielkanocy 1940 r. Jeszcze nie maszerują „z przytupem” w takt „piechota ta szara piechota” lub „bo artyleria to artyleria”. Organizują się dopiero. Są ubrani w błękitne, w ramionach przyciasne, w pasie zbyt obszerne francuskie kurteczki (z których odpruli czarne numerki na czerwonym tle — francuskich pułków odznaki) i podobne do worków drelichowe portki, sznurkiem w braku paska przytrzymywane.

Na nogach mają drewniane saboty — bo przemokłe w koczkodanśkim błocie buty parują pod piecem. I zamiast staropolskich cholewek — francuskie owijacze ciągle spadające, bo wiara nie umie się jeszcze z nimi obchodzić. Na głowach granatowe „kepi” z czerwonym denkiem, olbrzymie na ramię spadające, brązowe baskijskie berety lub niebieskie furazerki o śmiesznie, sztywnie sterzących rogach. Nie zdejmują ich w baraku, bo zimno. Tylko białe orzełki, niezgrabnie wyhaftowany na skrawku czerwonego materiału i do czapki, furazerki lub beretu przyszyty, przypomina, że to nie żołnierze Republiki, lecz Rzeczypospolitej.

— Nie martwić się chłopaki. Przyszłe Święta będziemy już obchodzić w Wolnej Polsce.

Unoszą się głowy. W drzwiach baraku stoi podochocony cidrem prorok. Jest sierżantem. Wie co mówi. Za chwilę wygoni w deszcz i błoto po galop-zupkę do obozowej kuchni.

## 3

Oboz koczkodanśki wciśnięty jest między artyleryjski poligon a miasteczko. Na głównej uliczce tego ostatniego znajdują się kafejki. Oficerskie (naprzeciw bramy), podoficerskie (nieco dalej), żołnierskie (najdalej). W zimną, grudniową noc buchają snopami światła i kłębamą pary. Trzęsą się muzyką, śpiewem i przekleństwami. Śmierdzą kiepskim, czerwonym winem i ludzkim potem. Nazywa się to wszystko „kurwidołki” — z powodów nie wymagających chyba wyjaśnienia.

Na razie przybyszów z Polski spotkać tam można niewiele. Przywędrowali do Koczkodanu goli jak tureccy święci. Z nadzieją, z wiarą, z przekonaniem („niezłomnym”) — ale bez centima w kieszeni. Chwilowo ledwie ich stać na herbatę w obozowej herbaciarni.

Są natomiast inni.

Pod „Niebieskim Aniołem”, w drewnianej budzie z szynkwasmem, koślawymi stołkami, starożytnym „His Master Voice” i dwoma utlenionymi i wykarmionymi „aniołkami” zabawa w każdy wieczór.

„Quand Madelon vient nous servir a boire...” — ryczą podochoconeni, rubaszni i niezgrabni poborowi,<sup>3</sup>) synowie polskich górników i rolników, z dawna we Francji osiadłych. Ojcowska dyscyplina pozostała za nimi. Wojskowej jeszcze nie ma.

„Lisette, ma Lisette  
Tu m'as trompé toujours...”

ryczą „les legionnaires” — wprost z karnych szeregów Legii Cudzoziemskiej w bezładne jeszcze szeregi wojska polskiego przeniesieni.<sup>4</sup>)

— Lisette, jeszcze jedna butelka koniaku. Buvons a nos amours. Nie potrzeba się już obawiać stójki pod karabinem w piekielnym marokańskim słońcu lub robót w karnych batalionach. Na pohybel więc dyscyplinie Legii i niech żyje koczkodanśki bałagan — Sacre bleu, vive la guerre! — w koczkodanśkim kurwidołku spędzana.

— Ja, kapitan z brygady Dąbrowskiego, za kaprala muszę u tych gówniarzy służyć i rozkazów ich słuchać... — ponad śpiew wybija się głos jednego z tych Polaków, którzy z obozów internowanych po hiszpańskiej wojnie domowej przez Francuzów do Koczkodanu odesłani zostali.

— Wszystkiemu winne te polskie ofisjery. Rydz, Beck, Mościcki... Nie umieli rządzić, nie umieli się bić. Kraj stracili, wojnę przegrali, uciekli i teraz żądają, abyśmy dla nich Polskę Hitlerowi odebrali. Pourquoi???

— Carramba! Psiakrew! Cholera! Kiedy my w Hiszpanii praliliśmy faszystów, oni z nimi konszachtowali, Polskę Hitlerowi sprzedawali... Dobrze im tak teraz. I mówię wam, towarzysze: Francją gówno, Anglią gówno. Tylko Sowiety tę wojnę wygrają. Eto budiet nasz poslednij reszitielnyj boj...

Na polskich piersiach legionistów brzęczą francuskie, a w polskiej pięści dąbrowszcza hiszpańskie medale. Pod francuskim „kepi” błyszczą czerwone polskie gęby. Język francuski trzeszczy, przerywany polskimi, hiszpańskimi i rosyjskimi przekleństwami, wykręcany i żuty w polskich szczękach. Zawodowo piszcza „aniołki” szczypane w łydki i pośladki. Czawką odbija się cierpkie wino.

Na środku izby przy osobnym stole siedzą Francuzi.

Rodowici. Rozpięte bluzy, wypięte brzuchy. — Za polski Gdańsk mamy się bić? — klną. Merde... Hitler poszczerbi sobie zęby na naszej Linii Maginota, na klęczkach poprosi o pokój i przyszłe Święta będziemy obchodzili w domu.

— Buvons więc na to, buvons — na tamto...

Do zadymionej izby wsuwa się nieśmiało dwóch żołnierzy. Są bez płaszczy. Szyje i uszy owinęły cywilnymi szalikami. Diabli wiedzą, skąd mają kilka franków w kieszeni. Nie wyglądają na tych, którzy, jak głosi piosenka:

„W dzień wszyscy mi mówią  
że franków nie mają,  
a wieczór po kafejkach  
wino popijają”.

Przy szynkwasię rozgrzewają się kieliszkiem koniaku:

— Francuska knajpa — wyrokuje jeden, słuchając niezrozumiałych śpiewów i okrzyków.

— Jaka tam francuska. Nie widzisz, że wszystkie chłopaki mają orzełki na czapkach?

— To i co? Ja w zesłą wojnę austriacki bączek nosiłem, co wcale nie znaczy, że austryjcem byłem.

Wyszli. Goniła ich „Madelon”, „Lisette” i Gdańsk — „przyczyna wojny”.

Splunęli w koczkodanśkie błoto. Psiakrew. Na co nam to przyszło. Wśród obcych się tułać i męczyć... Ale już niedługo bracie. Na przyszłe Święta będziemy w Polsce. Sam Sikorski obiecał...

## 4

W baraku „przejściowym” tłok, zaduch i bałagan. Rozwalone prycze, rozrzucone zawiniątka i wybebeszone walizy. Nikt tu jeszcze nie dowodzi, nie przegląda, nie rozkazuje. Dopiero jutro...

Przejściowych — na jedną lub kilka nocy mieszkańców baraku — widziało się już przed komendą obozu. Jak codziennie, jak i ci przed nami, i ci po nas, przyczłapali z dworca główną, koczkodanśką aleją, pod łukiem bramy, pod sztandarami na niej wiszącymi, wśród baraków i szpaleru żołnierskiej gawiedzi. Obok kina, szpitala, wychodków i kuchni. Teraz stoją w dwuszeregu i czekają na ewidencję. Besarabskie papachy, cyklistówki, narcziarki, na uszy wciśnięte kapelusze, czasem nawet polowe rogatywki, wyciągnięte zza pazuchy, gdzie ukryte były w czasie przejazdów przez granice. Śmierdzące rumuńskie kozuchy, zniszczone jesionki, przeciwdeszczowe paletka, letnie marynareczki i polski płaszcz wojskowy wśród nich, z cywilnymi już guzikami. Kalosze, dziurawe półbuty i wysokie zabłocone buty. Co kto miał lub na drogę w Rumunii czy na Węgrzech wyfasował.

I twarze... Zarośnięte, blade, wymizerowane. I oczy... biegające niespokojnie po naszych twarzach, po naszych mundurach, po naszych butach lub uporczywie wpatrzone w koczkodanśkie błoto.

Nowi przybysze STAMTAD. Skończyły się dla nich ucieczki z obozów internowanych, wędrowki przez zielone granice, fałszywe paszporty, „lewe” zyciorysy, bezustanny strach przed policją czy żandarmerią. Przed nimi — Wojsko Polskie we Francji, do którego „górami, lasami” dążyli, i (o czym jeszcze nie wiedzą) nocne wędrowki do zapchanych już wychodków, przeziębione pęcherze i nieustanny kaszel, zimne baraki lub bretońskie kwatery na spółkę z bydlęm, jednostrzałowe „lebele”, błękitne mundurki, fasowany cidre,<sup>5</sup>) herbata w świetlicy i wino w kafejce.

Stoi dwuszeręg nowo przybyłych a wokół niego my — przybyli tu już dawniej. Wzajemnie wypatrujemy wśród siebie — znajomych, krewnych, przyjaciół.

Cisza, tylko bretoński wiatr świszczę wśród sosen i baraków, przewiewa cienkie paletka przybyszów i kusę kurteczki żołnierzy.

— Rany boskie... Jurek.

Któs wypada z tłumu. Któs wylamuje się z szeregu. Rzucają się sobie na szyję. Szlochają... Codzienny widok. Powtarza się regularnie po przyjeździe każdego pociągu.

— A jest tam kto z dwudziestego drugiego ułanów?

Tłum stoi i nadstawia uszu. Dwuszeręg stoi i patrzy w koczkodanśkie błoto.

Cisza.





— A z Grójca?

Ktoś z szeregu wychyla głowę. Jest...

— Nie wiecie, co się stało z Anną Grzybowską?

Kręci głową. Nie wie.

Pytający kurczy się. Wyciera nos. O żonę pytał? Matkę? Kochankę?...

Bywa jednak, że ktoś wie, że widział, że słyszał. Ale przed dowództwem obozu nie ma ani czasu, ani możliwości do porozmawiania. Pytań pada coraz więcej. Krzyk się podnosi coraz większy. A do tego nowo przybyłych szeregują, legitymują, zapisują. Więc dopiero wieczorem po zajęciach, w „przejściowym” baraku dla nowo przybyłych.

Schodzą się doń ludzie z całego obozu. Codzienna pielgrzymka. Czy trzeba czy nie trzeba. Szukają, pytają, słuchają. A skąd? A kto? A gdzie? A jak i kiedy?

Nowo przybyli też są głodni informacji. A jak to tutaj? Jest woj-sko? Polskie wojsko? Mundury jakies nijakie... Sikorski? Raczki-wicz? A słyszeliście, sierżancie, o Nowaku? Wyjechał tutaj przede mną... A o tym, a o tamtym, a z tego pułku czy z tamtego batalio-nu, z tego miasta czy tamtej wioski...

I kiedy na front? Bić Niemców. Za Wrzesień, za Warszawę, za Siedlce, za Kozią Wólkę, za Kazika (już wiem, że poległ) i za Wandę (gdzie ona?).

Na wiosnę, bracie.

— I na przyszłe Święta pewnikiem w Polsce.

Barak kłębi się dymem najpodlejszych goluasów, śmierdzi brudną bielizną i od tygodni nie mytymi ciałami. Ktoś przyniósł flachę wina. Ktoś się napił i śpiewa:

„Uciekła mi przepióreczka w proso,  
a ja za nią nieboraczek boso...”

5

Siedzę na progu baraku. Po ścieżkach kręcą się żołnierze. Tam na lewo jest umywalnia. Cementowe zlewy, zimna wieczna woda. Tam na prawo wychodek, gdzie kiedyś była deska z otworem, a teraz jest kupa g... Rotmistrz Koprowski nami dowodzi i śmiać mi się chce, bo nie wiem, kto bardziej zadowolony — czy on, ułan i znany narciarz, kompanii administracyjnej teraz w Kocz-kodanie dowódca, czy ja — któremu śnił się „Sen o szpa-dzie”, a który w tejże kompanii kombinuje, jakby tu wymigać się od skrobania kartofli.

Ścieżką człapie „fellow”,<sup>6)</sup> fajkę kopci, łapska nie po wojskowe-mu w kieszeniach trzyma i na fałszywą nutę śpiewa:

„It's a long way to Tipperary...”

I staję mi przed oczyma frywolny Amorek „pępek” Londynu zdo-biący i czuję zapach ciągnącej znad Tamizy mgły, i słyszę owe „Tipperary” śpiewane przez nas w przejeździe przez Piccadilly i Lei-cester Square. I widzę ów pierwszy transport ochotników, z Albio-nu i z innych części świata, geografiami wojenną jeszcze nie objętych, podążających do Armii Polskiej we Francji się odradzającej; owych studentów tekstylki w Manchesterze, którym zachciało się wrzecio-na na bagnety zamienić; owego kaprala, który jako „caboclo” dzikie krowy w Brazylii na laso łapał, złotego piasku w Amazonce szu-kał i — jadąc do Polski na ślub — trafił do Kocz-kodanu na wojnę, z walizką pełną jedwabnych piżam i kolońskiej wody własnego wy-robu. Widzą „Johna” Przepiórkę, eks-kelnera z Rio, eks-guide'a spod kairskich piramid, a ostatnio handlarza grzybami w londyńskim Soho; Karola Zbyszewskiego<sup>7)</sup> — śladami Niemcewicza „od tyłu” podążającego na emigrację; Celichowskiego<sup>8)</sup> (w meloniku i z pa-rasolem) myślącego zapewne, co w takiej sytuacji zrobiłby jego pa-tron Dmowski — i siebie w cyklistówce i z butelką koniaku za ostatnie pieniądze w Londynie na drogę kupioną.

Na dworcu żegnała nas Grace Field<sup>9)</sup> — w białej krynolinie, wiel-kim białym kapeluszu, uśmiechnięta, powabna, piękna. Śpiewała:

„Wish me luck as you wave me goodbye...”

a nam zdawało się, że konsul Poznański<sup>10)</sup> wiedział, co mówi, życząc nam na odjeźdnym, byśmy następne Święta spędzili już w wolnej Polsce.

„Goodbye Piccadilly, farewell Leicester Square” fałszował „fel-low”, a ja na przyzbie baraku lulkę angielską tabaką nabijałem (przysłała mi ją dzieweczyna z Anglii wraz z ciepłymi skarpetkami) i martwiłem się, że Amorka na Piccadilly już nie ma — bo go scho-wali, i światła wielkomięjskie pogasły w „blackoucie”, a niebo Albio-nu przysłoniły setki balonów.

Ale nie na długo.

Za rok będzie wszystko „all right”. Rozbłyszna na nowo światła Londynu, Amorek wróci na Piccadilly, a my wrócimy do Polski.

6

„C-3” to jeden z trzech piętrowych i murowanych budynków, stojących w środku koczko-dańskiego obozu.

W małym pokoiku na parterze urzęduje do późna w nocy „pod-chorąży czasów wojny” Tymon Terlecki. Okulary nasunął na czubek nosa i robi korektę świątecznego numeru „Polski Walczącej”.

Na ścianach półki z książkami, czyli „Biblioteka obozowa”, na-prędce skompletowana z darów Polonii francuskiej, maszyna do pi-sania, stół, kilka krzeseł. Wszystko to stanowi „Sekcję oświatową”, intelektualny ośrodek Kocz-kodanu. Terlecki — oficer oświatowy, redaktor naczelny i bibliotekarz w jednej, szczupłej osobie, spoglą-da na przybyszów przenikliwym wzrokiem i cichym, zawsze spokoj-nym głosem uspokaja, tłumaczy, objaśnia. I myśli... Pewnie o swo-jej Warszawie. O teatrze, z którym był związany, o aktorach...

Z trzaskiem otwierają się drzwi. Do pokoju wpada dwóch ocie-kających wodą „podchorążych z Guer”<sup>11)</sup>: Adolf Bocheński<sup>12)</sup> i Ksa-wery Pruszyński<sup>13)</sup>. Weseli, trzaskający dowcipami i aforyzmami. Klną na zimno w wiatrem podszytych, bretońskich kwaterach i jak dzieci cieszą się z ćwiczeń wojskowych. Zostają do późna w noc. Po kolei, w miarę upływu czasu i wina rozprawiają się z literaturą, po-lityką, strategią. Ze swadą i nie uznającą sprzeciwu argumentacją dysputuje Ksawcio, rzucając błyskotliwe porównania, tnąc zjadliwą krytyką. Odpowiada mu Adolf, z nonszalancką arogancją i językiem zrozumiałym tylko dla głęboko wtajemniczonych. Padają cytaty, nazwiska, tytuły.

Częstym gościem jest Janta. Obieżyświat i poeta — teraz elean-gancki, we francuskie akcesoria mundurów przybrany porucznik kawalerii, oficer od oświaty oddziału niedaleko Kocz-kodanu stoją-czego. Ale długo dyskusji nie wytrzymuje. Ciągnie go świetlica i her-baciarnia, tłum w nich żołnierzy. Podobnie jak Rembielińskiego. Popularny w Kocz-kodanie Jasio, niegdyś sadowy obrońca młodocia-nych urwipółciów, później stateczny senator Rzeczypospolitej, wreszcie dzisiaj starszy sierżant, obleczony w hallerowski mundur, w furazerce o zadzierzyscie francuską modą sterczących rogach, z Krzyżem Walecznych na piersiach, malowniczo odbijającym na tle błękitnej kurtki. Głędzi po staremu, jak to on, bez różnicy czy w Alejach Ujazdowskich, czy w Kocz-kodanie, biorąc poufale pod ra-mię i od czasu do czasu rzucając jakąś zabawną anegdotę, popartą wesołym błyskiem oczu.

Zjawia się również sam komendant obozu, pułkownik Grzędziń-ski. Rozsiada się na krześle, klepie wszystkich po kolanach i chicho-cze rubasznie — tak jakby znajdował się w „Gastronomii”, przy swoim stałym tam stoliku. Nie brak i Józefa Lipskiego, ambasado-ra, ostatniego Polaka, który z „wolnej stopy” z Hitlerem rozmawiał, obecnie nad wyraz przejętego swoją służbą w podchorążówce. Są i inni. Mniej lub bardziej znani, mniej lub więcej interesujący. Schodzą się do „C-3” na gawędę, na plotki i na wieści STAMTAD, przez radio podawane i przez nowo przybyłych przynoszone.

— Jak myślicie, kiedy wrócimy do Polski? — zapytał ktoś w je-den taki przedświąteczny, koczko-dański wieczór.

Adolf zmarszczył czoło. Ksawcio wyszczerzył zęby. Tymon wsadził nos w korektę. Odezwali się tylko Karolek. Nie ogolony, zawsze po-nury, w mundurze wyglądający jak prawdziwy strach na wróble. Imitując urzędowy ton Wodza z palcem wzniesionym do góry oświadczył:

— Na przyszłe Święta w Polsce!

Był to chyba jedyny dowcip Zbyszewskiego, który nie wywołał wesołości.

Na temat Karolka krążyły już wówczas w Kocz-kodanie różne anegdoty. Widząc go — trudno się było temu dziwić... Według jed-nej, zatrzymany przez jakiegoś kapitana, z całym spokojem wysłu-chał dłuższego i gwałtownego OPR na temat niechlujnego, nie-żołnierskiego itp. wyglądu, po czym z poważną miną, przykładając rękę do ucha, poprosił: „Może pan kapitan powtórz, bo nie do-słyszałem”.

<sup>1)</sup> „Weryfikacyjny” nie tylko co do stopni oficerskich. Również jeżeli chodzi o zachowanie się podczas kampanii wrześniowej, jak i poglądy polityczne.

<sup>2)</sup> „Linia Zygryda” — niemiecki odpowiednik francuskiej „Linii Maginota”.

<sup>3)</sup> W myśl umowy z gen. Sikorskim rząd francuski poborowych pochodzenia polskiego odsyłał do armii polskiej.

<sup>4)</sup> Podobnie do wojska polskiego mieli prawo wstąpić Polacy służący we francuskiej LC, bez względu na ilość lat pozostałych im jeszcze do odsłu-żenia.

<sup>5)</sup> Żołnierz francuski fasuje dziennie pół litra wina. Polskie władze w obawie przed „rozpicciem się” niezwyčajnych wina żołnierzy zastąpiły go bretoń-skim cidrem, czyli jabłcznikiem, którym upić się było istotnie trudno, ale rozchorować po nim niezmiernie łatwo.

<sup>6)</sup> Kolega, towarzysz, kumpel.

<sup>7)</sup> Autor znanej przed wojną książki pt. „Niemcewicz od przodu i od tyłu”.

<sup>8)</sup> Jeden z najgorliwszych uczniów Dmowskiego. Przed wojną typowany na przyszłego wodza Chadecji.

<sup>9)</sup> Znana śpiewaczka angielska.

<sup>10)</sup> Konsul generalny RP w Londynie. Przedwojenna szara eminencja poli-tyczna.

<sup>11)</sup> Podchorążówka piechoty mieściła się w niedaleko Coëtquidan położonej wiosce Guer.

<sup>12)</sup> Adolf Bocheński, jeden z trzech znanych braci. W okresie międzywojennym świetnie zapowiadający się pisarz polityczny. Walczył w Tobruku i pod Monte Cassino. Poległ śmiercią żołnierza pod Ankoną we Włoszech w lipcu 1944 r.

<sup>13)</sup> Ksawery Pruszyński, świetny pisarz i publicysta. Bił się pod Narwikiem. Poseł PRL w Holandii. Zginął w 1950 r. w wypadku samochodowym.



# INTERPRETACJA PIERWSZYCH WYNIKÓW ANALIZ SKAŁ KSIĘŻYCOWYCH

Jan L. DULEMBA

profesor Uniwersytetu Francuskiego (Universidade de Franca) w Sao Paulo w Brazylii

KOMUNIKAT wydany ostatnio przez NASA w Houston (stan Teksas)<sup>1)</sup> podaje, że według pierwszych analiz skały księżycowe liczą 4 miliardy 500 milionów lat.

Powierzchnia Księżyca byłaby więc starsza niż skały Ziemi zwane najstarszymi. Przy pomocy prostego odejmowania otrzymuje się różnicę 1 miliarda 200 milionów lat. A jednak Księżyc jest „dzieckiem Ziemi”.

Komunikat nie podaje żadnej interpretacji tego zjawiska, wzmiankuje natomiast, że przeprowadzi się szereg podobnych badań przy pomocy innych metod radioaktywnych celem ustalenia dokładniejszej średniej.

Taka różnica wieku pomiędzy skałami ziemskimi i księżycowymi na pierwszy rzut oka wydaje się niektórym badaczom nienormalna i nasuwa im myśl, że jest ona, być może, spowodowana niedokładnością zastosowanych metod. Jednak chociaż przyjęta przez tych uczonych metoda tzw. potasowo-argonowa analizy wieku może przynieść wyniki nieco błędne (potas  $K^{40}$  przekształca się w wapń  $Ca^{40}$  i w argon  $Ar^{40}$ ), my zakładamy, że istnieją skały księżycowe, które po zbadaniu okażą się jeszcze starsze.

Te pierwsze wyniki potwierdzają myśl, którą wysunęliśmy już na długo przed ekspedycją „Apollo-11”<sup>2)</sup>.

## OKREŚLENIE WIEKU SKAŁ

Spośród kilkunastu różnych metod używanych do ustalania wieku skał najdoskonalszą i najpewniejszą jest radiochronologia.

Radioaktywność niektórych pierwiastków pozwala na dokładne określenie wieku minerałów lub skał, w których się one znajdują. Analizując próbki radioaktywnych skał archaicznych (w szczególności granitu) i sprawdzając dokładnie stosunek ilościowy izotopów ołowiu 206, 207 i 208<sup>a)</sup> pozna się czas trwania radioaktywności, a więc istnienia każdej próbki od czasu, gdy stała się ona ciałem stałym w pierwszych etapach kopernizacji<sup>b)</sup>. W ten sposób można było ustalić okres trwania głównych epok geologicznych i dojść do następującego wniosku: jakże krótkie są, w porównaniu w okresie przedkambryjskim, późniejsze epoki geologiczne, w których powstawały kopaliny! Jeżeliby przedstawić historię Ziemi (5 eonów)<sup>c)</sup> jako okres jednego obecnego roku, to miesiąc odpowiadałby 400 milionom lat, tydzień 90 milionom lat, dzień — 13 milionom, godzina nieco ponad 500.000 lat. Według tej skali era paleozoiczna trwałaby prawie miesiąc, era mezozoiczna 12 dni, trzeciorzęd 5 dni a czwartorzęd 2 godziny. Przy tak długich okresach życie ludzkie wydaje się być jedynie ułamkiem czasu — zaledwie jedną trzecią sekundy.

Współczesna fizyka odkrywa oparte na prawach natury zasady rozkładu radioaktywnego: niektóre pierwiastki (jak na przykład uran, tor itp.) posiadają właściwość spontanicznego i stałego wysyłania niewidzialnych promieni; atomy rozkładają się tworząc inne ciała (izotopy), wydzielając ciepło zwane radioaktywnym i drobne ilości gazu helu, w proporcji, która w danym czasie jest zawsze taka sama. Możemy z pewną dokładnością obliczyć, ile helu dana ilość uranu lub toru wydzieli w ciągu roku. Można również określić ilość lat potrzebnych do uzyskania określonej ilości ołowiu (ostatniej fazy ewolucji atomów uranu lub toru). Wymieńmy np.:

a) 1 gram toru wydzieli w ciągu 3 milionów lat 1  $cm^3$  helu;

b) 1 gram uranu potrzebuje 8 miliardów lat, aby przekształcić się w 1 gram ołowiu tzw. uranowego.

Łatwo więc zrozumieć, że jednocześnie obecność w tej samej skale ciała

radioaktywnego i jego pierwiastków szczątkowych pozwala na ustalenie jej wieku. Można to uczynić przy pomocy pomiaru ilości ołowiu uranowego lub helu. W ten sposób możemy poznać dokładny wiek badanego minerału, jak również i wiek skały, w której on się znajduje.

Opierając się natomiast na rudzie ołowiu (błyszczu ołowianym) znalezionej w warstwach Ziemi, których wiek jest znany i w których nie była ona narażona na działalność radioaktywną, można ustalić skład pierwotnego ołowiu i określić w ten sposób wiek pierwszych podstaw kontynentów, których próbek nie posiadamy.

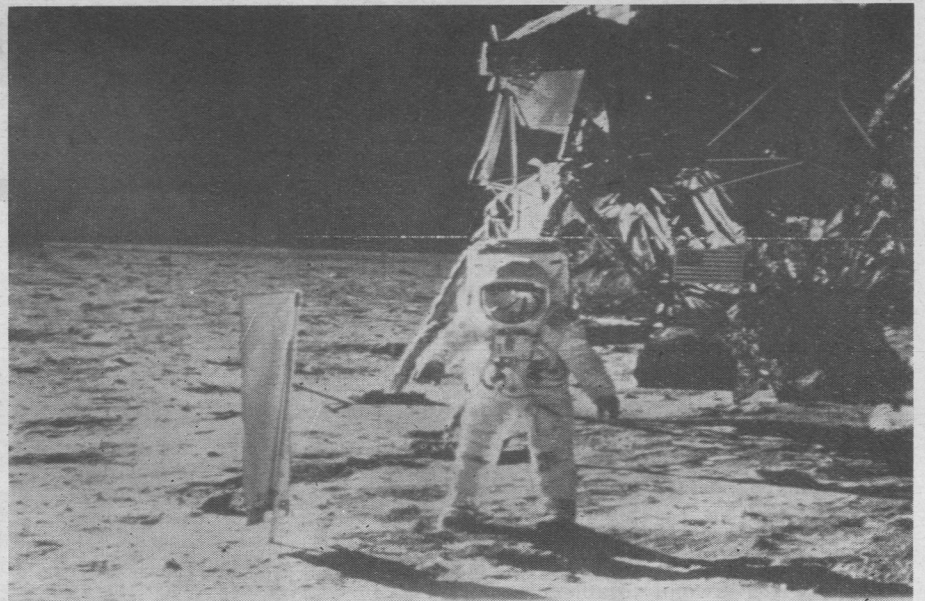
Istnieje szereg metod radioaktywnych, z których najczęściej stosowane są metody: uranowo-olowiowa, rubidowo-strontowa, potasowo-argonowa oraz metoda węglowa (węgiel  $C^{12}$  —  $C^{14}$ ).

Te różne metody oparte na różnych przekształceniach prowadzą do mocno zbliżonych rezultatów. Odnoszą się one zarówno do skał wulkanicznych (U-Pb, Rb-Sr, K-A) jak i do skał osadowych, zawierających glaukonit (Rb-Sr, K-A), jak i do najmłodszych utworów czwartorzędowych liczących poniżej 50.000 lat ( $C^{12}$  —  $C^{14}$ ).

Takie badania wymagają kosztownej aparatury zwanej spektrografem masowym. Podobną też metodą (pomiar ilości argonu) dokonano pierwszych ocen skał księżycowych.

Z drugiej strony astrofizycy, badając stosunek ilościowy pierwiastków ciężkich do wodoru lub pierwiastków ciężkich do helu, ustalają wiek różnego typu gwiazd. Według ich oceny nasz system słoneczny liczy 5 do 6 milionów lat. Wiek naszej drogi młecznej oceniany jest na 25 miliardów lat, a wiek pierwiastków chemicznych znajdujących się we wszechświecie, wynosi od 10 do 30 miliardów lat. Widać więc, że jednostką czasu w geologii jest milion lat, podczas gdy jednostką czasu w kosmologii jest miliard lat.

Najstarsze znane obecnie na Ziemi skały liczą 3.300 milionów lat i 3.200



Edwin Aldrin pobiera próbki minerałów. W chwili gdy oddajemy ten numer „Tygodnika” do druku, powrócił kolejny pojazd księżycowy „Apollo-12”

milionów lat (Rodezja Południowa, Manitoba). Są więc one o miliard lat młodsze od skał przywiezionych z Oceanu Ciszego przez astronautów z „Apollo-11”.

My jednak popieramy hipotezę George Darwina (syna słynnego uczonego Karola Darwina) dotyczącą oderwania się masy Księżyca od naszej planety, jednak nie zgadzamy się z nim co do tego, że miejsce oderwania znajdowało się na Oceanie Spokojnym.

## WNIOSKI

Nasza teoria wyjaśnia różnicę wieku pomiędzy skałami księżycowymi i ziemskimi tym, że nasz satelita naturalny zakończył swą fazę toruniacji<sup>d)</sup> znacznie szybciej niż nasz glob (masa Księżyca stanowi 1/8 masy Ziemi) i wszedł w okres kopernizacji przynajmniej 1 miliard 200 milionów lat przed planetą-matką; innymi słowy, skały księżycowe były już na zewnątrz ciałami stałymi, podczas gdy Ziemia była jeszcze całkowicie w stanie płynnym.

Uważamy więc, że z Księżyca można przywieźć skały jeszcze starsze niż te, jakie ostatnio zbadano.

To pierwsze odkrycie oznacza, że jest mocno prawdopodobne, iż substancja Księżyca uległa stosunkowo małym zmianom po okresie toruniacji i w czasie swej kopernizacji, która jeszcze trwa (nasz satelita nie wystygł jeszcze całkowicie, jak to przypuszcza George Gamow).

Księżyc stanie się bez wątpienia naturalnym laboratorium, które pozwoli na badanie jego śladów w powiązaniu z pochodzeniem, wiekiem i ewolucją Ziemi, jak i innych planet naszego systemu słonecznego. Mogłoby to rzucić również nieco światła na etapy rozwoju wszechświata w przeszłości i w przyszłości, z punktu widzenia ewolucji materii.

a) Izotopy: odmiany tego samego pierwiastka ciała posiadające te same właściwości chemiczne, ale których ciężar atomowy jest różny.

b) Kopernizacja: proces ostygnięcia o określonych etapach planety lub jakiegokolwiek innego ciała niebieskiego.

c) Eon: 1.10<sup>9</sup> lat (miliard lat).

d) Toruniacja: Proces jaki przechodzi dane ciało niebieskie znajdujące się w stanie gazowo-płynnym, które świeżo oderwało się od ciała-matki (np. planety lub Księżyca) i wypromieniowuje energię termojądrową w tempie malejącym w miarę przechodzenia przez „fazę Dulemby”: w czasie tej fazy następuje aktywne zmniejszanie się jego masy globalnej, spowodowane przechodzeniem materii w energię.

## KRÓTKA BIBLIOGRAFIA

<sup>1)</sup> NASA (Houston — Texas) — Lua teria 45 billoes de anos. Com. de Franca (Est. São Paulo), 5 Setembro 1969.

<sup>2)</sup> Dulemba (J. L.) — Cursos de Geografia física, Edicoes da Faculdade de Filosofia, Ciências e Letras de Franca (Est. São Paulo), 1968, 1 vol.

<sup>3)</sup> Dulemba (J. L.) — Pulsation planétaire comme cause essentielle des secousses telluriques) Organie planet jako główne przyczyny trzęsień Ziemi). L'Informateur Corse, Bastia, Nr 803 (1969), str. 1—3.

## Nouvelles culturelles

„Littérature Polonaise” (revue trimestrielle publiée à Varsovie par l'Agence des Auteurs), apporte dans son dernier numéro (été 1969), un excellent article sur l'oeuvre de l'un des plus importants écrivains polonais d'aujourd'hui — Teodor Parnicki. On trouvera également dans cette livraison une analyse des derniers livres du „réaliste métaphysique” Wojciech Żukrowski (dont l'admirable récit consacré à la campagne de septembre 1939 et intitulé „Lotna” — „L'aillée” — a inspiré Andrzej Wajda qui en a tiré un film d'une grande beauté), ainsi qu'un compte rendu de „Szukam Domu” („Je cherche une maison”), le nouveau roman de Julian Kawalec, un des plus talentueux chanteurs des changements qui se sont opérés dans la vie du paysannat polonais.

L'hebdomadaire cracovien „La Vie Littéraire” a publié un fragment des „Chants de Maldoror” traduit par Mme Anna Tatarkiewicz. Curieusement, bien que

Lautréamont se soit intéressé à la poésie romantique polonaise („J'ai chanté le mal comme ont fait Mickiewicz, Byron, Milton, Southey, A. de Musset, Baude-laire, etc.” — écrivait-il), son oeuvre n'a encore jamais été traduite en polonais.

„Le Mensuel Littéraire” de Varsovie a présenté un très beau texte de Tadeusz Breza sur le grand penseur catholique français Teilhard de Chardin, intitulé „Nelly”. Rappelons que Tadeusz Breza a été conseiller culturel près l'ambassade de la Pologne Populaire à Paris et que deux de ses ouvrages — „La Porte de Bronze” et „La Démarche” — ont été publiés chez Julliard dans une excellente traduction du regretté Paul Cazin.

Le critique littéraire Anna Bukowska a publié aux éditions varsoviennes PIW un ouvrage sur le grand écrivain français Antoine de Saint-Exupéry in-

titulé „Saint-Exupéry czyli paradoksy humanizmu” („Saint-Exupéry ou les paradoxes de l'humanisme”).

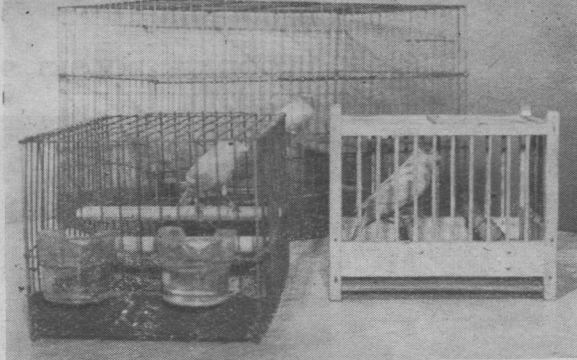
La science polonaise commémore cette année le quarantième anniversaire de la mort du génial savant Jan Baudouin de Courtenay considéré comme un des pionniers de la linguistique moderne.

Claude Simon, l'auteur d'„Histoire” et de „La Bataille de Pharsale”, un des meilleurs représentants du „nouveau roman” français, vient d'effectuer un séjour en Pologne. Rappelons que le nom de Claude Simon a été prononcé avec insistance à propos de l'attribution du prix Nobel.

L'écrivain Jan Brzękowski, qui vit à Paris depuis quarante ans, a visité la Pologne en compagnie de son épouse. M. et Mme Brzękowski ont offert au Musée National de Cracovie une magnifique collection de chefs-d'oeuvre de la peinture française moderne.

(k.)





Zawodowa hodowla kanarków wymaga kilku rodzajów klatek. Ważne też jest ich ustawienie. Każda zmiana ustawienia niepokoi ptaszka, odbiera mu „mowę”, przestaje wtedy na pewien czas śpiewać

**J**AN MIJALSKI i jego żona Luiza tworzą typ śląskiego małżeństwa coraz rzadziej spotykanego: pół wieku harmonijnego współżycia, pracowitość, delikatność i ujmująca prostota w stosunkach z sąsiadami, przyjaciółmi czy obcymi; kryształowe charaktery i wiele innych pozytywnych cech.

Mijalski jest już na emeryturze górniczej. Przeprowadził 50 lat w kopalni. Wtedy główną treścią jego życia była praca, obecnie wyłącznie — kanarki. Nawet w karty gra tylko od święta, wszystkich czas poświęca swoim ulubieńcom „Hanzlikom”, „Ferdynandom”, „Lumpom”, „Mistrzom” i innym, bo takie imiona noszą jego ptaszki. A ma ponad 80 kanarków. Każdemu wymyślił jakieś imię.

Pani Luiza, w przeciwieństwie do męża, ma kilka „nałogów”. Pierwszy, największy — to troszczenie się o męża: jedzenie, ubranie, wygodę. Całe swoje życie podporządkowała jego sprawom. Nic więc dziwnego, że tak jak on stała się wytrawnym „kanarkarzem” — jak sama o sobie mówi. Kanarki to drugi jej nałóg. A trzeci to ołśniewająca czystość w mieszkaniu.

Nie jest łatwo w dwóch izbach pomieścić się małżeństwu z prawie setką ptaków. Wzdłuż ścian ustawiono kilkadziesiąt klatek z kanarkami. A muszą one mieć stale temperaturę powyżej 18 stopni C, nie znoszą przeciągów, wymagają świeżego powietrza, no i dużej czystości. Pani Luiza opanowała tę sztukę do perfekcji.

Zylkę hodowcy kanarków Jan Mijalski ma po dziadku i ojcu. Interesował się nimi już, gdy miał pięć lat. Podarował mu wtedy ojciec kilka klatek, wsadził do nich „śpiewaków” i nauczył czyścić klatki, napełniać pojemniki i karmniki. Jego wiedza o kanarkach jest encyklopedyczna. W obcowaniu z nimi odczuwa szczęście i zadowolenie. Czuje się ich opiekunem, są przecież takie bezbronne...

Mówią, że klatka dla ptaka to więzienie. Jan Mijalski jest innego zdania. Przynajmniej, jeśli chodzi o kanarki. Wie, że jego kanarkom jest u niego dobrze, że ułatwia im życie, chroni przed napadami wrogów, myśli za nie, a one korzystają z jego wiedzy i doświadczenia.

Skąd się wywodzą kanarki? Pan Mijalski odpo-

Codziennie czyszczenie klatek i napełnianie karmników zajmuje p. Janowi i p. Luizie ok. 4 godzin



Rürürü - rororo - rururu

# SŁOWNIK KANARKÓW

Napisał Jan RAKOCZY



Jan Mijalski z ulubieńcem, świetnym śpiewakiem, samczykiem Ferdynandem

*La Silésie, pays des mines et de la sidérurgie, est aussi la contrée où la gentailée est particulièrement aimée des habitants. C'est là que les „couloneux” sont les plus nombreux, c'est là aussi que l'on trouve quantité d'éleveurs de canaris. Et ce n'est pas par hasard, que l'Union polonaise des éleveurs de canaris a son siège à Katowice.*

*Les époux Mijalski font partie des mordus de ces oiseaux des îles et dans leurs deux pièces cuisine, en entrant, on a l'impression d'accéder au paradis que découvrit l'Espagnol Cerda en débarquant sur une île africaine en 1341.*

*Chez les Mijalski on compte 80 canaris qui sont partout. Il est alors facile de s'imaginer le concert que donne toute cette gent qui n'a pas la réputation de se tenir coi. Vous en aurez un aperçu en lisant l'article sur cette page.*

wiada na to jak z nut: „W 1341 r. Hiszpan Cerda powrócił z wyprawy wzdłuż północno-zachodniego wybrzeża Afryki, w czasie której odkrył nowe wyspy, które dziś noszą nazwę Wysp Kanaryjskich. Europa po raz pierwszy dowiedziała się o istnieniu małych żółtozielonkawych ptaszków wspinających się na dachy.”

Źródła historyczne opowiadają, że pierwszymi zawodowymi hodowcami kanarków byli mnisi hiszpańscy. Hiszpania też przez długi czas miała monopol na handel kanarkami. Potem Włosi stali się ich konkurentami.

Z Włoch miłość do kanarków powędrowała do Tyrolu, a stamtąd do mieszkańców Gór Harzu.

Tu w miejscowości Andreasberg założono „szkołę śpiewu” dla kanarków. I tu też po wielu skrzyżowaniach ze słowikami i ziębą wyhodowano najbardziej dziś cenioną, jako posiadającą najlepszych śpiewaków, rasę kanarków harceńskich.

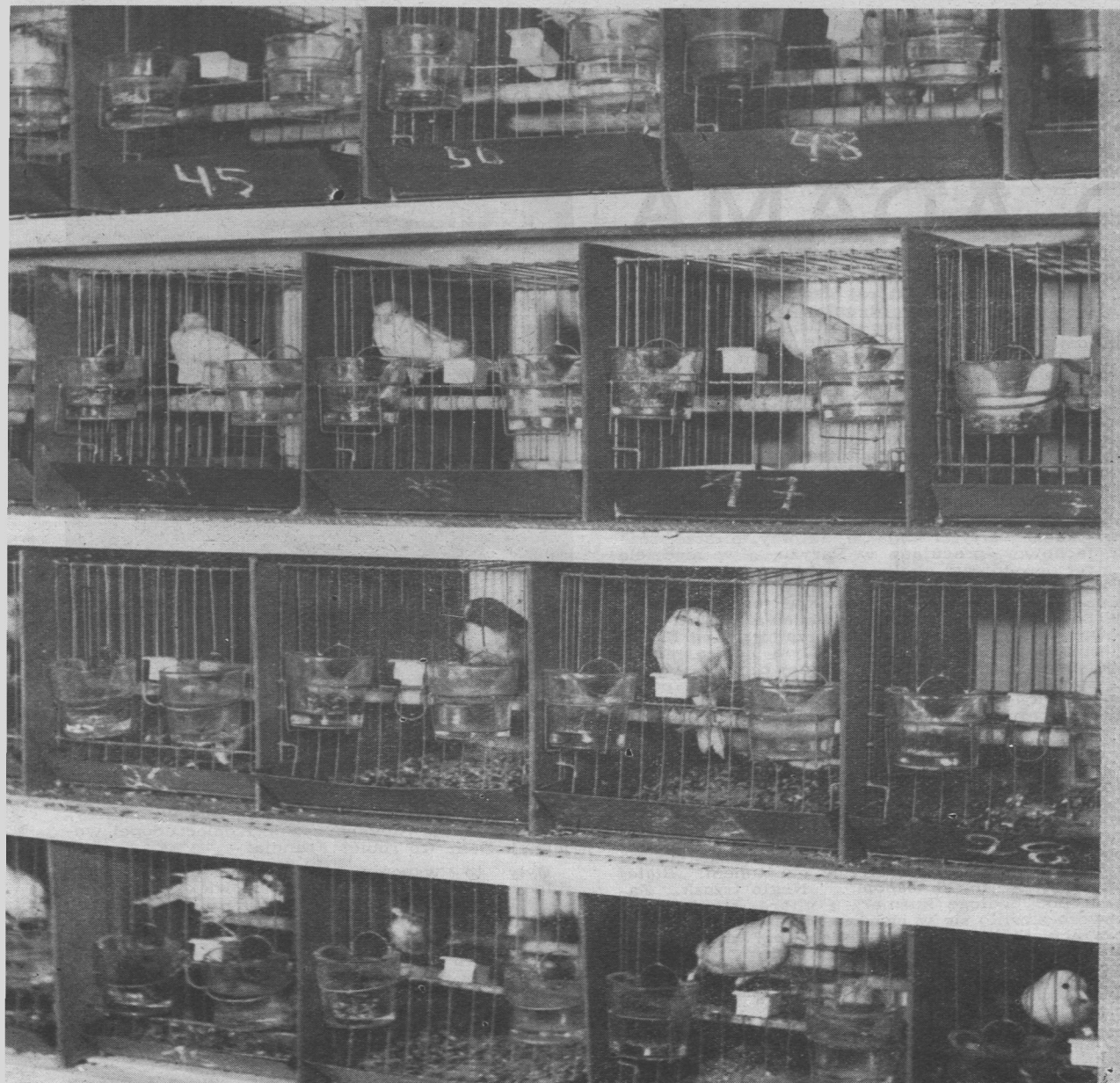
Polscy kanarkarze mają swój własny związek. Jest nim *Polski Związek Hodowców Kanarków* z siedzibą w Katowicach. Istniał już przed wojną. Dziś zrzesza około 2500 hodowców, posiadających ponad 30 tys. ptaków. Wśród hodowców najsilniejszą grupę tworzą śląscy górnicy, hutnicy, kolejarze. Reprezentowana jest jednak również inteligencja pracująca i przedstawiciele wolnych zawodów.

Liczba kanarków umilających ludziom życie i napełniających samotność słodkim śpiewem idzie w Polsce, jak przysięga się Mijalski, w miliony. Poza Śląskiem silnymi ośrodkami kanarkowymi są: Warszawa, Poznań, Łódź i Kraków.

Rasowi kanarkarze ubolewają jednak nad niefachowością hodowania wielu prywatnych niezrzeszonych hodowców. Prowadzą oni bowiem hodowlę bez przygotowania, bez przeczytania choćby jednej fachowej książki lub podstawowego poradnika *Kazimierza Jankowskiego* pod tytułem „*Nasz polski kanarek*”.

Jan Mijalski przez pięć lat był prezesem wspomnianego Związku, drugie pięć lat był członkiem Zarządu Głównego. Dziś prezesurę po nim objął Zenon Bałazy. On i inni członkowie Zarządu Głównego PZHK twierdzą, że nie ma wcale powodu do wstydu poziomu polskich kanarków. Przeciwnie, jest on równy poziomowi kanarków Niemiec Zachodnich, które obok Japonii two-





W kolekcji Jana Mijalskiego znajduje się kilkanaście „90-tek”, to jest kanarków, które na konkursach zostały zaszerogowane do pierwszej klasy, zdobywając maximum — czyli 90 punktów. Sukces!

rzą w tej dziedzinie ścisłą czołówkę w ich hodowli. Mowa tu oczywiście o kanarkach hodowanych przez fachowców i ocenianych przez urzędowo ustanowionych ekspertów, nie tych hodowanych „na dziko”.

Wśród kanarków hodowanych „na dziko” jest niestety za dużo, jak mówiła pani Luiza, „basztartów”, czyli bękartów, nierasowych, nie posiadających obrączek. „One nie śpiewają — powiedziała — one krzyczą, mają słabą wodę (trele wodne) i fałszywe turkoty dęte...”

Ekspercji dzieli śpiew kanarka na dwie grupy: tury ciągłe i tury cięte. Niełatwo jest uzyskać nominację na eksperta. Musi on się wykazać posiadaniem absolutnego słuchu, musi przejść szereg kursów i zdać kilka egzaminów.

Za to potem taki ekspert dokładnie odróżni *turkot dęty* (dętka), od *turkotu dzwonkowego* (dzwonek perlisty), *basy* od *wody* (trele wodne), *szokieł śmiejący* od *fletów*, *tokowania* od *buczka falistego*.

Na konkursach śpiewaczych eksperci przyznają złotym gwiazdom punkty dodatnie za śpiew czysty, miły dla ucha, bez przydźwięków — i punkty ujemne za głosy wadliwe.

Gama śpiewu kanarkowego jest rozległa. Można w niej wyraźnie odróżnić samogłoski od spółgłosek. Eksperci ustalili już dokładne tablice „kanarcej mowy”. W turkotach dętych zjawiają się słowa: „rüürüü”, „rorororo” i „rurururu”. W basach kanarek powtarza: „korrorror”, „gorrorror”, „kurrurrur” i „gurrurrur”.

W mieszkaniu państwa Mijalskich bardzo ostrożnie odkręcany jest kurek do wody, gdyż kanarki natychmiast podchwytyją dźwięk i powtarzają go. Pani Luiza mówi, że wtedy właśnie najłatwiej psuje się im „woda” i wpadają w fałszywe trele wodne. Ekspercji wymagają, aby dobre trele wodne miały brzmienie podobne do szmeru strumyka górskiego, który szmerze, pluszcze, wzmaga się i opada. Taka dobra „woda” zawiera dwa słowa: „blüblüblü” i „blublublü”. Najwyższą notę otrzyma „woda”, w której samogłoska *ü* przechodzi w jednej turze w samogłoskę „u”, a mianowicie: z „blüblüblü” do „blublublü”.

Kto bliżej chciałby zapoznać się ze „słowami” śpiewu kanarków, tego odsyłam do wspomnianego



Kanarki w zasadzie można hodować wszędzie. Wytwarzają działanie nawet minusowych (do  $-6^{\circ}$ ) temperatur. Jeśli jednak chcemy, aby kanarki śpiewały najpiękniej — trzeba dbać o utrzymanie w pokoju stałej temperatury około 18 stopni C

już podręcznika Jankowskiego. Znajdzie tam całe słownictwo kanarków. Znajdzie w nim też cenne wskazówki dla właściwego karmienia, leczenia chorób, budowy gniazd, konstrukcji klatek itd.

Ocena śpiewu kanarków i klasyfikowanie ptaków odbywa się na okresowych konkursach rejonowych, okręgowych i ogólnokrajowych. Istnieje jeszcze czwarty szczebel, konkurs światowy. W nim jednak dotąd żaden polski kanarek jeszcze nie wziął udziału.

Mogą w nim uczestniczyć tylko członkowie *Światowego Stowarzyszenia Ornitologicznego*, tzw. COM (Confederation Ornithologique Mondiale). Członkiem COM Polski Związek Hodowców Kanarków stał się dopiero od niedawna. Obiecuje sobie jednak, że w przyszłym Światowym Konkursie Kanarków, który odbędzie się w I połowie 1970 r., polskie kanarki na pewno będą reprezentowane. I zdobędą nagrody.

Jan RAKOCZY

Najpiękniejsze  
podarunki  
na Święta  
poleca po cenach  
najniższych:

„LA  
BOUTIQUE  
POLONAISE”



25, rue Drouot  
PARIS 9-e  
(Tel.: 770 83 37)

### Karty

święteczne i noworoczne

### Wyroby sztuki ludowej:

lalki, makaty, kilimy, kase-  
tki, kosze ze słomy, meble  
zakopiańskie, bursztyny,  
kryształ

### Książki:

albumy, encyklopedie, słow-  
niki, przewodniki turysty-  
czne w języku polskim  
i francuskim, mapy Pol-  
ski i województw

Płyty muzyki  
ludowej i klasycznej  
nagrane w Polsce i we  
Francji

Płyty z kolędami

Polskie znaczki  
pocztowe  
dla kolekcjonerów

Dzienniki

Tygodniki

Abonamenty pism

Zamówienia listowne  
przesyłamy odwrotną  
pocztą



ZE WSPOMNIENIEM EMIGRANTA

Wiktor MACIEJEWSKI

# SPOTKANIE z SYNEM WIELKIEGO ADAMA

Gromadzące się na grzbiecie lata, poza nieprzyjemnym stwierdzeniem: „I tak mogła — i tak mogła” mają tę dobrą stronę, że śpichlerz wspomnień bywa coraz bardziej wypełniony — „trzeszczy w szwach”. Trzeba więc zrobić trochę więcej przestrzeni, aby dać miejsce temu, co jeszcze przyniesie jutro.

**Z**DARZENIE, o którym chcę opowiedzieć, miało swe miejsce w Paryżu, w ogródku za katedrą Notre-Dame de Paris w letnie popołudnie 1925 roku. Siedziałem sobie w cieniu na ławeczce, czekając na przyjscie przegodnego przyjaciela i jakoś dziwnie blednącego na paryskim bruku artystę-malarza Grabowskiego czy Gierłowskiego, który — jeśli się nie mylę — niedawno przyjechał do malarskiej „Panamy” po ukończeniu Akademii Sztuk Pięknych w Wilnie. Muszę wyjaśnić, że dla mnie był to okres, jaki się chyba każdemu zdarza w życiu, okres bezpański, szukania kwiatu paproci, którego ujęcie da szczęście, powodzenie i zaspokoi pragnienia i marzenia młodych lat. Zjadałem więc po prostu oszczędności zdobyte ciężką dwuletnią pracą na północy Francji. Uczyłem się nadal francuskiego, starając się zrozumieć piękno tego języka. Za namową kolegi z młodych lat zapisałem się jako wolny słuchacz do wyższej szkoły nauk politycznych i ekonomicznych. Ale najwięcej wałęsałem się po mieście, buszując w środowisku polskiej artystycznej cyganerii, ba, nawet bokerskiej i ogrodniczej.

Właśnie byłem prawie u schyłku dwulecia mojej edukacji. Wyższa szkoła ekonomiczna nauczyła mnie zaglądać z niepokojem do katastrofalnie szybko opróżniającego się portfela. Polityka nie była zresztą wcale lepsza: należałem wówczas do paryskiej sekcji PPS. Budowaliśmy światowy urząd społeczny nie mogąc zaradzić własnym kłopotom, bo to towarzysząca profesor nie cierpiała sekretarza, który znów od dwóch lat nie przemówił ani słowa do własnej żony-Francuzki, a ta z kolei wtajemniczała nas w konflikty graniczne we wspólnym łożu małżeńskim; bo to bracia Stankiewiczze żarli się historycznie między sobą, że nie kawałek, lecz całą Litwę powinna być Polska zagarnąć. Dla starszego puklerzem była unia i symbol Socjal-Demokracji Królestwa i Litwy, a dla młodszego — już *Stankiewiczziusa* w środowisku braci Litwinów — szczytem marzeń była wielka Litwa Gedyminów, z Grodnem i granicami daleko na zachód, wschód i południe. Były jeszcze inne konflikty w naszej małej społeczności, choćby, na przykład, zaloty dwóch członków zarządu do tej samej dziewczyny, zaloty, które stanowiły poważną kość niezgody i wносиły zamieszanie do Sekcji Paryskiej Polskiej Partii Socjalistycznej.

Ale cóż, mało jest chyba naszych rodaków we Francji, którzy w pracy na tak zwanej niwie społecznej w towarzystwach i różnych organizacjach nie zetknęli się z podobnymi, nieraz bardzo śmiesznymi, obrazkami.

Jednak wśród tych ciemnych chmur naszej sekcji lśniły jasne, ciepłe promienie: a to pomoc w załatwianiu trudności pobytowych; a to pomoc w znalezieniu pracy; pomoc w podnoszeniu stopnia świadomości ludzkiej i socjalnej. Wreszcie ta mała zbiorowość czterdziestu-sześćdziesięciu dusz — bo tylu nas bywało — dawała poczucie siły i niosła ulgę w osamotnieniu w tym wielkim mieście, a wszystko razem budowało piramidę lepszego człowieka.



Medalion Adama Mickiewicza

**P**ROMIENIE SŁONECZNE przedostały się do ławki, na której siedziałem i przyjemnie przenikały organizm, a myśl błędziła mgliście próbując ustalić, gdzie się kończy nierozwaga a gdzie znajduje się właściwy cel mej dalszej drogi życiowej. Medytowałem i zarazem byłem zły na siebie, bo zamiast siedzieć z kolegami w restauracji przy talerzu — tu właśnie na nich czekam. Głupi wypadek. W tym czasie po drugiej stronie Sekwany, w dzielnicy łacińskiej, przy rue de la Huchette istniała mała restauracja polska pani Molgowej. Za 2 franki 50 można było zjeść niezły i obfity obiad. Zażywna osoba właścicielki kuchni i pomagającej oraz usługującej do stołu, rosłej i jak rzepa zdrowej panny Kasi stanowią reklamę posiłków. Przy stole spotykali się tu studenci, artyści malarze, aktorzy, pisarze, różni fachowcy, pracujący w Paryżu, a w niedziele nawet ogrodnicy z okolic paryskich mieli tu swoją siedzibę organizacyjną. Niedawny naczelny inżynier-ogrodnik Warszawy tu począł formować swoją osobowość społeczną i zawodową. Wśród tego towarzystwa uwijała się z talerzami panna Kasia, cierpliwie i uśmiechem łaskawym odwzajemniając się za poklepywanie jej bujnej ozdoby. A wczorami, bywało, czas mijał mile i nawet pożytecznie. Gawędy, dyskusje o sztuce, literaturze, polityce, przepłatane dowcipami, śpiewkami — tworzyły jakąś swojską i rodzinną atmosferę.

Właśnie przed paru dniami siedzieliśmy w czwórce przy stoliku słuchając wywodów kustosa Biblioteki Polskiej Koczorowskiego o starych rękopisach. Przygodny gitarzysta, kuśnierz Trepczyński, przysiadł się do nas i brząkał na gitarze. Wtedy to panna Kasia podeszła z nową porcją potraw, więc zalotny kuśnierz poprawił się na krześle i zanucił swym silnym barytonem: „*Białej akacji kwiat budzi wspom...*” Nagle trzask... Zapadł pod podłogę kuśnierz z gitarą, stolik i nas czworo zważyło się w ciemnie, na szczęście niskiej, piwnicy. Stolik stał na klapie zakrywającej zejście, a zbutwiałe drzewo nie wytrzymało ciężaru. Było więcej strachu niż krzywydy. Struchlała Kasia pomagała wydość gramolącym się na wierzchu. Mnie również podała rękę, ale gdy wytrzymałem i gdy spojrzała na mnie uważnie, począła się śmiać do rozpuku: buraczki i tarte ziemniaki przylepiły się podobno w naprawdę śmieszny wzór do mojej twarzy. Śmiali się wszyscy, śmiałem się i ja. Pani Molgowa i jej córka doprowadziły nasz wygląd i ubrania do porządku, a z tej okazji wypiliśmy parę butelek wina i późnym wieczorem na weselo rozeszliśmy się każdy do siebie.

Nazajutrz, gdy tylko Kaśka mnie ujrzała, znów począła chichotać, i drugiego, i trzeciego dnia, więc rozżłoszczony rozstawiłem jej faniłkę po kątach i zapowiedziałem, że moja noga więcej w garkuchni nie postoi. Stąd to czekanie w ogródku na przyjaciół.

**G**ORĄCO! Chyba orzeźwię się u tych „en face”. Tuż po drugiej stronie uliczki przy moście dla pieszych przez Sekwanę na wyspę Saint-Louis mieliśmy w narożnym domu bistro z zachęcającym nade drzwiami napisem: „*Quoi qu'on dise, quoi qu'on fasse, on boit mieux ici qu'en face*”. Naturalnie, przyjemniej było wypić szklanczkę czerwonego u Alberta niż zielonawą w rzeczce „en face”.

Iść, nie iść? Rozejrzałem się. Obok mnie na ławce usiadł nie zauważony jakiś leciwy pan, starannie ubrany. Kształtna o woskowej cerze twarz wylaniała się z długiej siwej brody, sięgającej piersi, a spod krzaczastych brwi patrzyły na mnie szare łagodne oczy. Ta obecność wytrąciła mnie z równowagi, skinąłem głową i onieśmielony począłem obracać w ręce tygodnik paryski „*Ognisko*”. Po chwili usłyszałem pytanie:

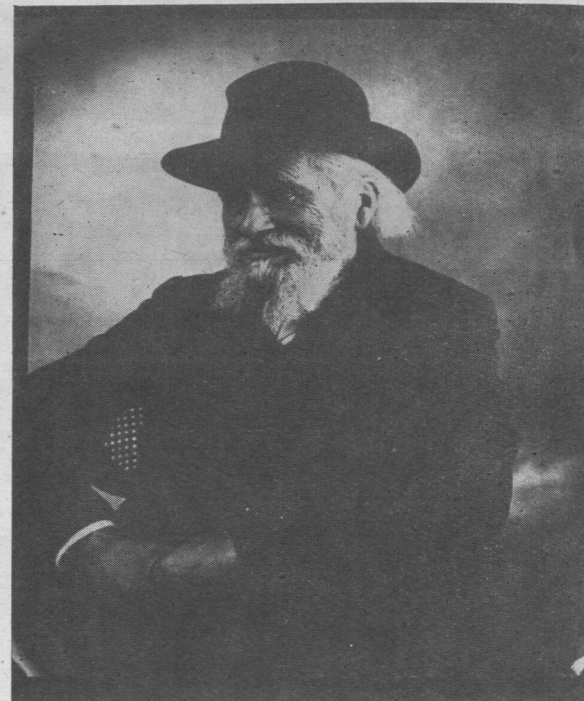
— Pan... Polak?

— Tak — odpowiedziałem.

— Obserwuję pana od chwili. Czy ma pan jakieś kłopoty. Praca, nauka?... Może mógłbym być w czymś użyteczny? Mieszkam w Paryżu, znam sporo ludzi — pytał uśmiechając się.

Ta prosto siedząca postać robiła wrażenie. Podziękowałem i już wkrótce potem rozmawialiśmy swobodnie. Starszy pan słuchał życzliwie, gdy mówiłem o mym pobycie we Francji, przyczynie wyjazdu z Polski. Od czasu do czasu postawione pytanie, zachęcające spojrzenie, potwierdzenie mych zwierzeń czyniły mnie wymownym. A może potrzebowałem właśnie kogoś poważniejszego, starszego, komu mógłbym wyjawic me wątpliwości dzisiejszego dnia i jutra, które przejmowało lekko?

Często zdarza się to, czego nie oczekujemy. Sędziwy pan słuchał mych zwierzeń, pytał, co dotąd robiłem w kraju. Była to bodaj najbardziej dźwięczna, najbardziej czuła struna niedawnych czasów, bo prawie trzy i pół letnia służba w szeregach wyzwalających z grobu i podpierających byt, staniającej się jeszcze niepewnie, ale wolnej już Polski. Stąd moje opowiadanie o szkole, skautach, POW, rozbrajaniu Niemców w 1918, przyjeździe na „zdobyczym” koniu do formującego się ka-



Władysław Mickiewicz

liskiego szwadronu 2-go pułku ułanów. I potem: Śląsk Cieszyński, Lwów, Wołyń, Podole, ciecwiwa znad Bugu w stronę Prus Wschodnich. Potem znów Wołyń, rozłogi Prypeci, wreszcie Wileńszczyzna i sąsiednia Suwalszczyzna. Koniec epopei wojennej. Dom. Co robić? Francja!

Były to wspomnienia wchłonięte łakomym, młodym umysłem 20-letniego człowieka, więc musiały być dość ciekawe, bo starszy pan słuchał ich w skupieniu, od czasu do czasu kierując opowiadanie na więcej interesujące go tory.

— *Bardzo ciekawe. Przejechał pan przez rozległe obszary południowo-wschodnie. Chciałbym jednak zapytać, które z tych ziem największe na pana zrobiły wrażenie... które najwięcej się podobają?* — uzupełnił, spostrzegłszy moje pytające wżerzenie.

— Najwięcej?... Najwięcej Wileńskie i Suwalszczyzna — odparłem. Bo zachowałem w pamięci ciągle żywe bory liściaste i lasy jodłowe kąpiące swe stopy w uroczych jeziorach. A urozmaicony krajobraz wiejski i ukryte w gęstwinie lasów maleńkie okrągłe jeziora posiadają jakiś niesamowity urok. Gdy człowiek znajdzie się nad brzegiem takiego bezdennego jeziora, gdy zaparty się w lustrzaną powierzchnię wody, wtedy zdaje mu się, że patrzy w oko matki naszej Ziemi. Tyle mocy i tajemniczości bije z tej czarnej otchłani, że jakaś nieokreślona skrucha ogarnia duszę... Panie — mówiłem z przejęciem — kto bliżej poznał tamte strony, ten lepiej odczuje piękno poezji Adama Mickiewicza, który zresztą — szczęśliwie tam — żyje, bo tam po wsiach najczęściej śpiewa się jego ballady.

— *A może pan któreś z tych melodii pamięta, to bardzo proszę!*

Zdawało mi się, że zachowam się niezdarnie, ale człowiek ten łagodnie narzucał swoją wyższość, więc ściszyton głosem począłem nucić pieśń, jak to „*Z ogrodowej altany, wojewoda zdyszany bieży w zamek z wściekłością i trwogą. Odchyliwszy zastony, spojrzął w łóż swej żony, spojrzął, zadrżał, nie znalazł nikogo...*”

Była to pieśń, którą często śpiewały dziewczęta we wsi Krzywe, nad małym jeziorem o podobnej nazwie, gdzie całe lato staliśmy postojem.

Spojrzałem ukradkiem na starca. Na jego twarzy błąkał się grymas uśmiechu. Jakies panie, nadzorujące bawiacę się w alejce dzieci, poczęły przyglądać się leciwemu panu i młodemu człowiekowi, który nucił dziwną melodię.

— *Czy umie pan jakieś inne melodie ballad, proszę się nie żenować — powiedział, patrząc w zamysłeniu na strzelisty dach katedry.*

— *Umiem... Ale tam te pieśni śpiewają romantycznie. Na przykład Dudarza śpiewa się na inną melodię we wsi Krzywe, na inną w Wilejce, a jeszcze inaczej w Ruczkanach...*

— *Jak ci się, chłopcze, najbardziej podoba, choć po jednej zwrotce.*

— *Człowiek z tamtych stron! — pomyślałem sobie.*

Niewielki był mój repertuar śpiewanych i wycuczonych w tamtych stronach ballad Adama Mickiewicza, ale znów dwie-trzy zwrotki o *Rybce*, *Spojrzyj Marylo, gdzie się kończą gaje...* a wreszcie ulubioną: „*Jakiż to dziadek, jak gotab siwy, z siwą aż do pasa brodą. Dważ go chłopczyki pod rękę wiodą, wiodą mimo naszej niwy...*”

Dokończenie na str. 29





◆ TRADYCYJNYM ZWYCZAJEM ◆ TRADYCYJNYM ZWYCZAJEM ◆ TRADYCYJNYM ZWYCZAJEM ◆

# WIELKI KONKURS ŚWIĄTECZNY Z NAGRODAMI

Tradycyjnym już zwyczajem z okazji świąt Bożego Narodzenia ogłaszamy doroczny „WIELKI KONKURS TYGODNIKA POLSKIEGO”. Podobnie jak w poprzednich latach i tego roku domagali się go nasi Czytelnicy, których ten konkurs pobudza do rozszerzenia kręgu Czytelników i Przyjaciół „Tygodnika Polskiego”, daje dużą szansę dla starych i nowych Czytelników wygrania jednej z wielu atrakcyjnych nagród.

A więc serdecznie zapraszamy i zachęcamy do wzięcia udziału w tegorocznym „WIELKIM KONKURSE TYGODNIKA POLSKIEGO” i tym samym rozszerzenia grona Czytelników i Przyjaciół pisma.

C'est à la demande de très nombreux lecteurs que nous organisons à l'occasion de Noël, comme les années précédentes, un GRAND CONCOURS. Chacun peut y prendre part, chacun a une chance de remporter l'un des nombreux prix.

Nous vous invitons cordialement à participer tous à notre GRAND CONCOURS et à élargir le cercle des lecteurs et des amis de „LA SEMAINE POLONAISE”.

# GRAND CONCOURS AVEC DE NOMBREUX PRIX

## \* REGULAMIN KONKURSU — REGLEMENT DU CONCOURS \*

1. W konkursie ma prawo wziąć udział każdy stały prenumerator „Tygodnika Polskiego”, jak również wszyscy Czytelnicy i Sympatycy pisma oraz ci, którzy pragną zostać stałymi Czytelnikami „Tygodnika Polskiego”.

Le concours est ouvert à tous les abonnés, à tous les lecteurs et sympathisants ainsi qu'à tous ceux qui désirent eux-même devenir des lecteurs de „LA SEMAINE POLONAISE”.

2. W losowaniu atrakcyjnych nagród, które ogłaszamy obok, może wziąć udział każdy dotychczasowy prenumerator „Tygodnika Polskiego”, jeżeli: zwerbuję spośród swoich krewnych, przyjaciół, znajomych co najmniej jednego nowego abonenta „Tygodnika Polskiego” i przyśle pod adresem „LA SEMAINE POLONAISE” — 23, rue Taitbout — Paris 9-ème mandat z roczną prenumeratą, wynoszącą dla Francji 20 F, zaś dla Belgii 210 fr. belgijskich, z zaznaczeniem „WIELKI KONKURS” oraz poda swoje nazwisko, imię i adres.

Chacun des abonnés actuels de „LA SEMAINE POLONAISE” peut participer au tirage au sort des prix, à condition de recruter parmi ses parents, amis ou connaissances au moins un nouvel abonné à „LA SEMAINE POLONAISE” et d'envoyer à notre adresse — 23, rue Taitbout — Paris 9-ème un mandat pour le montant d'un abonnement d'un an (20 fr. ou 210 fr. belges) en précisant „GRAND CONCOURS” et indiquant ses nom, prénom et adresse.

3. Im więcej nowych Czytelników, którzy za rok z góry opłacą mandatami prenumeratę „Tygodnika Polskiego”, zwerbuję nasz dotychczasowy prenumerator i zgłosi swój udział w konkursie, tym więcej razy bierze udział w losowaniu:

a) zgłaszając jednego nowego abonenta dotychczasowy nasz prenumerator bierze jeden raz udział w losowaniu nagród (otrzymuje jeden „bon de participation”);

b) zgłaszając co najmniej trzech nowych abonentów i przysyłając mandaty z roczną prenumeratą dla nich, nasz dotychczasowy prenumerator bierze pięciokrotnie udział w losowaniu nagród (otrzymuje 5 „bons de participation”);

c) zgłaszając co najmniej pięciu nowych abonentów i przysyłając mandaty z roczną prenumeratą dla każdego z nich, dotychczasowy prenumerator bierze dziesięciokrotnie udział w losowaniu nagród (otrzymuje 10 „bons de participation”).

Chaque participant peut augmenter ses chances: a) pour un abonné nouveau, il reçoit un „bon de participation” au tirage au sort; b) pour trois abonnés nouveaux, il multiplie ses chances non par trois mais par cinq, en recevant cinq „bons de participation”; c) en recrutant au moins cinq abonnés nouveaux et en envoyant autant de mandats, il participe dix fois au tirage des prix, en recevant dix „bons de participation”.

4. W losowaniu nagród biorą też udział wszyscy nowi prenumeratorzy, którzy zwerbowani przez

dotychczasowych prenumeratorów i za ich pośrednictwem nadesła pod adresem redakcji mandat z roczną prenumeratą, bądź też przeczytawszy w „TYGODNIKU POLSKIM” warunki konkursu przyślą sami, bezpośrednio pod adresem redakcji („La Semaine Polonaise” — 23, rue Taitbout — Paris 9-ème) opłatę rocznej prenumeraty (dla Francji — 20 F, dla Belgii — 210 fr. belgijskich) i zaznaczą na mandacie „WIELKI KONKURS”.

Participant également au tirage des prix tous les nouveaux abonnés qui, soit directement, soit recrutés par d'autres abonnés et par leur entremise auront envoyé un mandat à notre adresse, selon les conditions énumérées au point 2.

5. Termin nadsyłania mandatów z roczną prenumeratą oraz dopiskiem WIELKI KONKURS, jak również zgłoszenia dotychczasowych prenumeratorów o zwerbowaniu nowych abonentów upływa z dniem 1 maja 1970 r. (decyduje data stempla pocztowego).

Le délai d'envoi des mandats prend fin le 1 mai 1970 (le cachet postal en fera foi).

6. Komisyjne losowanie podanych obok nagród WIELKIEGO KONKURSU odbędzie się w lokalu redakcji „LA SEMAINE POLONAISE” — 23, rue Taitbout — Paris 9-ème, przy udziale komisji redakcyjnej, mecenasa czuwającego nad prawidłowym przeprowadzaniem losowania oraz zaproszonych Czytelników „Tygodnika Polskiego”.

Le tirage au sort des prix sera effectué dans les locaux de notre rédaction par une commission spéciale sous la surveillance d'un conseiller juridique et en présence de lecteurs de „LA SEMAINE POLONAISE” invités à cet effet.

7. Wyniki losowania nagród WIELKIEGO KONKURSU i lista nagrodzonych osób ogłoszone zostaną na łamach „Tygodnika Polskiego” w dniu 31 maja 1970 r.

Les résultats du GRAND CONCOURS et la liste des gagnants seront publiés dans „LA SEMAINE POLONAISE” du 31 mai 1970.

## NAGRODY — PRIX

1. Przelot samolotem PLL „LOT” z Paryża do Warszawy i z powrotem dla jednej osoby i 10-dniowy pobyt w Kraju latem 1970 roku ze zwiedzaniem Warszawy i Krakowa.

Voyage en avion PLL „LOT” Paris—Varsovie et retour, 10 jours en Pologne en été 1970 avec visite de Varsovie et Cracovie (pour une personne).

2. Przyjazd do Paryża ze swego miejsca zamieszkania i z powrotem, latem 1970 roku, 3-dniowy pobyt w Paryżu połączony ze zwiedzaniem związanych z Polską zabytków, zorganizowany przez „TYGODNIK POLSKI”.

Trois jours à Paris (voyage aller-retour payé du lieu de résidence) avec visite des monuments et souvenirs de la capitale se rapportant à la Pologne — sous la conduite de „LA SEMAINE POLONAISE”.

3. Elektrofon walizkowy.  
Un électrophone portatif.

4. 10 płyt polskich.  
10 disques polonais.

5. Polski obrus wyszywany lniany + 6 serwetek.

Une nappe brodée et 6 serviettes en lin de Pologne.

6. Polski obrus wyszywany lniany.  
Une nappe brodée en lin de Pologne.

7. Polski komplet do kawy — lniana serweta i 6 serwetek.

Complet pour un service à café (une nappe et 6 serviettes polonaises).

8. Radio tranzystorowe.

Un poste de radio à transistors.

9. 5 płyt polskich.

5 disques polonais.

10. Polska serweta wełniana (pasiak łowicki).

Serviette décorative de la région de Łowicz.

11. Polska poduszka wełniana.

Un coussin de laine polonais fait main.

12. 10 książek polskich.

10 livres polonais.

13. 8 książek polskich.

8 livres polonais.

14. 12 polskich ręczników lnianych.

Un complet de 12 torchons de lin de Pologne.

15. Żelazko elektryczne.

Un fer à repasser électrique.

16. Ekspres do kawy.

Un express à café.

17. Suszarka do włosów.

Un sechoir à cheveux.

18. 6 polskich ręczników lnianych.

6 torchons de lin de Pologne.

19. Elektryczny młynek do kawy.

Un moulin à café.

20. 3 polskie ręczniki lniane.

3 torchons de lin de Pologne.

oraz 20 nagród pocieszenia

et 20 lots de consolation.





## Helena RUTKOWSKA



ZANOSIŁO SIĘ na ciężki rejs. Komisja lekarska dokładniej niż na innych statkach sprawdziła stan zdrowia pasażerów, ale — jak wykazały moje doświadczenia z „Pułaskiego” — każda podróż przynosiła coś nowego. Nigdy nie wracało się do Gdyni z tym samym bagażem doświadczeń. Po każdym rejsie stawali się bogatsza w wiedzę o życiu, a uboższa w złudzenia\*).

Tym razem, na „Chrobrym”, cały nasz personel był świetnie przygotowany do podróży. Płynęliśmy przecież na jednym z najpiękniejszych transatlantyków polskiej floty. Wyposażenie statku, który udawał się w swój pierwszy rejs — było znakomite. Warunki pracy, jak na owe czasy, doskonałe.

W dziewiczej podróży wieźliśmy setki pasażerów. Była to przeważnie biedota polska ze wschodnich krańców ówczesnej Polski. Chłopi i robotnicy z tobołami pełnymi pierzyn, cuchnących skór, zatechnych ubrań, naczyń kuchennych i domowych drobiazgów, które zagracały trzecią klasę. Zabierali ze sobą, co mieli najlepszego, energię, wiarę we własne siły i cały swój dobytek.

Droga na statek nie była łatwa. Karta okrętowa była droga, a rodziny składały się nieraz z kilkorga osób. To były ogromne pieniądze.

Nadeszło wreszcie odcumowanie. Tłumy ludzi zaległy nabrzeża. Na tarasie dworca morską orkiestrą i chór. Na głównym pokładzie biskup celebrował nabożeństwo. Przemówienia. Orkiestra. Narodowe pieśni. Na dole tłumy odprowadzających, rodziny, znajomi, ciekawscy, gapie. Tylko mnie nikt nie żegna. Córka nie przychodzi. Syn po wypadku motocyklowym leży w szpitalu... Jakos smutno. Długo patrzę na to mrowie ludzkie. Huczy mi w uszach. Jak przez mgłę widzę załogę przy relingach. Słyszę ostatnie słowa pożegnań. Tu śmiech, tam płacz. Podnoszą trap. Orkiestra gra hymn. Coś mnie ścisła za gardło. Wojskowi salutują. Cywilni zdejmują kapelusze. Maszyny w ruchu. Jakies drgania. Serca czy pokładu? Potem dźwięki orkiestry słabną, cichną. Jesteśmy na redzie. Schodzi pilot. „Chrobry” rykiem syreny żegna macierzysty port. Nikt z nas nie przypuszczał, że już nigdy tu nie powróci. Było to 15 sierpnia 1939 r.

Siedzę w szpitaliku zakaźnym, czyli kabine znajdującą się na górnym pokładzie. Jest tu więcej powietrza i spokoju. Potem obchód, ostatnia kontrola, czy wszystko jest na właściwym miejscu. Doktor Abramowicz był przezorny. Nie przyjął na pokład chorych z cięższymi przypadkami. Pracy nie będzie zbyt dużo. Nasza „biała załoga” składa się z szefa, sanitariusza, mnie i siostry Rościszewskiej (obydwie jesteśmy z Czerwonego Krzyża) oraz z trzech praktykantów-studentów medycyny, dwóch chłopców i dziewczyny.

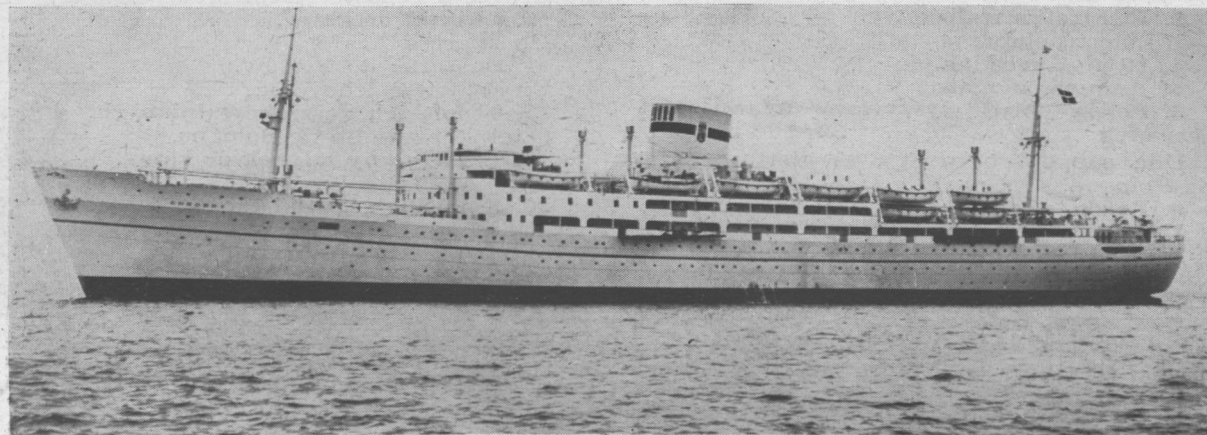
### 1 WRZEŚNIA

Życie na statku płynie smętnie. Mijają dni. Po pracy, gdy słońce zapada w morze, przebywam sama w kabine. Wreszcie którejś nocy światła Rio de Janeiro. Dobijamy. Statek powoli pustoszeje. Część emigrantów wysiada. Zostaje tylko kilkudziesięciu pasażerów, którzy płyną z nami do Argentyny. Dla tych, co stawali na Brazylię — podróż się skończyła. Zaczynają tułaczę życie. Będą na początku wykazywali ogromną energię, siłę. Potem przyjdą rozgoryczenia emigranckiej doli. Znam to dobrze.

Z Rio de Janeiro i Buenos Aires wzięliśmy sporą grupę pasażerów, wśród których byli księża i zakonnice oraz dwóch czy trzech biskupów. Było gwarno. Wszyscy płynęli do Pernambuco (Recife) na uroczystości, które odbywały się z okazji Kongresu Eucharystycznego 1 września. Dzień ten i noc cała załoga „wisiła przy radiu”. Wszyscy nastawiali wodoności w Polski. Nagle straszna wiadomość. WOJNA! NIEMCY HITLEROWSKIE NAPADŁY NA POLSKĘ! OREDZIE PREZYDENTA! MOBILIZACJA! NALOTY NA NIE UZBROJONE MIASTA POLSKIE! Straszne!!!

Zaczyna mi się mącić w głowie. Polska. Dom. Dzieci...

— Od tej chwili trwa wojna z Niemcami — mówi do nas kapitan Pacewicz... — Nasza podróż



# CHROBRYM NA WIGILIĘ

będzie przerwana. Flota polska jest już teraz pod rozkazami władz brytyjskich... Wszyscy musimy zachować spokój, cierpliwość, opanowanie...

Słyszę coraz słabiej. Szum morza? Zawrót głowy? Nagle krzyk, potem spazmatyczny płacz. Kobiety i mężczyźni to łkali, to krzyczeli, to kurczowo chwytali się za głowy. Niektórzy jakby zamarli w bezruchu. Ktoś zaczął przeraźliwie wyc. Jakiś marynarz bił się pięściami w piersi ze skowytami: „Bekarty! Bekarty!” — Zostawił w Gdyni dwoje dzieci i narzeczoną, z którą nie wziął ślubu. Po tym rejsie miał wziąć ślub. Oprzytomniałam. Trzeba było ratować ludzi, kobiety, zdziwione i rozplakane dzieci, nawet marynarzy. Grupa zakonnie zaczęła modły.

Pasażerowie zapomnieli już po co i dokąd płynęli. Kilkanaście osób najbardziej opanowanych zaczęło wprowadzać jakiś ład. A my pracowaliśmy bez przerwy. Nie czuło się zmęczenia. Gotowało się strzykawką, dawało zastrzyki, lekarstwa, pocieszało łagodnością lub krzykiem. Przez cały czas myślałam o swoich, o Polsce. O bombach spadających na nasze domy...

Po jakimś czasie życie wróciło do względnej normy. Staliśmy na redzie. Wśród członków załogi różne krążyły wieści. Jedni szeptali, że do końca wojny pozostaniemy w Pernambuco, inni zaś — że nasz kapitan nigdy się na to nie zgodzi. Jak się później okazało — jedni i drudzy mieli rację.

Tymczasem na statku zaczęły się jakieś rwetes, jakieś porządki, przemalowywanie statku na kolor ochronny, odbijanie becziek z farbą, noszenie pak i skrzyń żywnościowych. Skąd ja, siostra szpitalna, miałam wiedzieć, na co się zanosi?

Wśród pasażerów zawierano nowe znajomości; z ładą przyjeżdżali do nas rodacy mieszkający w Pernambuco lub okolicy. Przeważnie przybywali po to, by nas zapewnić o solidarności, o tym, że chętnie nam pomogą, wezmą nas do swoich domów, a i o pracę się postarają.

— Nie martwcie się, my tu żyjemy od wielu lat. Nie jesteście sami. Gdy przed laty myśmy tu przyjeżdżali — pusto było, głucho, a o Polakach tyle tu wiedzieli co o Turkach. Teraz jest inaczej...

### NOTATKI Z DZIENNIKA

**10 PAŹDZIERNIKA.** Po 40 dniach stania na kotwicy odcumowaliśmy od mola w Pernambuco przy zgaszonych światłach. Szalał wiatr, sycząc było szum morza i nieregularny huk fal. Padał deszcz. Płyniemy w nieznaną; myślę, że tylko jeden kapitan wie dokąd. Po północy gubimy z oczu światła portu. „I że mój statek nie do portu płynie, smutno mi Boże” — powtarzam za Słowackim. Naszej ucieczce sprzyja sztorm. Na statku jest cicho. Pasażerów niewiele. Przeważnie młodzi mężczyźni. Zarówno oni, jak i cała załoga, otrzymaliśmy przydział do łodzi ratunkowych. Każdy z nas ma swoją porcję prowiantu spakowaną w łodziach i podjętą bagaż.

Objęłam nocny dyżur. Jest kilku chorych. Najwięcej urazów nerwowych i psychicznych. Są też chorzy na żołądek. Przez kilka dni kluczymy po morzu. Dokąd płyniemy? Tu i ówdzie pojawiają się okręty podwodne. Często zmieniamy kierunek.

Przepluwamy równik.

**15 PAŹDZIERNIKA.** Dzień jest upalny. Na pokładzie uroczystość. Obchodzimy imieniny trzech solenizantek, dziś przecież Jadwigi. Obiad ma charakter uroczysty. Specjalne dania akcentują nastroj niecodzienny. Rozlegają się toasty, tu i ówdzie słychać „sto lat”. Nagle alarm. Ktoś z biesiadników próbuje go zignorować, tłumacząc: „to próbny, nie ma się co przejmować!”

Biegnę na pokład. Widzę, że zbliża się ku nam z odkosami fal przy dziobie jakiś czarny potwór i sygnalizuje „stop”. Tu nie ma żartów — myślę — biegnę do kabiny, zabieram podręczny bagaż, nakładam kamizelkę ratunkową i pędzę do przydzielonej mi uprzednio łodzi. Pokład jest już pełen pasażerów i marynarzy. Wszyscy oblegają swoje

łodzie ratunkowe. Atmosfera nerwowa i napięta. Ktoś pyta, czy spuścić łódź. Kapitan Pacewicz każe czekać. Najwięcej energii w tym kilkusetosobowym tłumie wykazują młodzi mężczyźni, którzy na wieść o wybuchu wojny chcieli się dostać do najbliższego punktu poborowego. Teraz dopiero dowiedziałam się, że nasz „Chrobry” miał zamiar przedostać się do francuskiego Dakaru, a stamtąd do Anglii. Jednakże w obawie przed hitlerowskimi piratami nadkładaliśmy dziesiątki mil morskich.

### NIEMIEC, ANGLIK CZY FRANCUZ?

Tymczasem jakby prosto w ślepią naszego statku zairażali dwa reflektory wojennego okrętu. Słyszymy szum motorów, nadlatują samoloty. Przy szalupie siostry Rościszewskiej histeryczny krzyk, potem płacz. I cisza na pokładzie. Tylko huk motorów samolotowych. Odbieramy ciągle rozkazy świetlne z wojennego okrętu. I od tej chwili nastąpił nowy ważny etap w życiu „Chrobrego”. Już „Chrobry” musi słuchać obcych rozkazów, bo oto poczuł się, jak na sygnał z wojennego okrętu zastopował maszyny i statek pomału stanął w bezruchu na środku morza. Z uczuciem trwogi zapatrzeni w kierunku sygnalizującego do nas stale okrętu, widzieliśmy, jak marynarz wachtowy podnosi nowiutką banderę na główny maszt. Znać, ostrożny dowódca krążownika, nie mogąc nas poznać, nadał rozkaz kapitanowi podniesienia bandery. Dopiero po dłuższej chwili okazało się, że to krążownik brytyjski. Gdy upewnił się kim jesteśmy, ruszył w swoją drogę.

**16 PAŹDZIERNIKA.** W drodze do Dakaru płyniemy koło francuskich okrętów wojennych. Są to na biało wymalowane kolosy. Spatrzałam dwa ogromne krążowniki najeżone armatami oraz lotniskowiec, na pokładzie którego było kilka samolotów, kontrtorpedowce oraz dwa ciężkie wodnosamoloty, a także okręty podwodne. To tylko część floty wojennej, która była w zasięgu naszego widzenia. A dalej?

Godzina 5.30. Na trawersie prawej burty na horyzoncie widać góry. Słońce wynurza się jakby zza dziobu „Chrobrego”. Zbliżamy się do Afryki. Przed nami wojenny port angielski w Afryce Środkowej — Freetown. Stoimy na redzie. Z prawej strony brytyjski krążownik. Na ląd nie możemy wyjść. Kpt. Pacewicz pojechał z tłumaczem do kapitanatu.

Anglicy nakazywali nam zostanie na redzie, koło Freetown, do końca wojny. Zażądali od nas prowiantu. Ma się rozumieć, nasz kapitan nie przyjął takich warunków i powiedział Anglikom, że podda się ich rozkazom dopiero w Londynie, dokąd właśnie zamierza płynąć. Targ w targ stanęło na tym, że z naszych magazynów zabrano część zapasów żywności, a reszta żywności została u nas. Wkrótce mamy płynąć do suchego doku w Dakarze na czyszczenie kadłuba „Chrobrego”.

Do Anglii popłyniemy już w konwoju. Tak też się stało. Czyszczenie kadłuba było konieczne, gdyż przez te 40 dni kotwiczenia w Pernambuco statek obrósł wodorostami tak, że zamiast 18 węzłów w drodze do Dakaru robił tylko 12.

Różnie ludzie gadają. Niektórzy mówią, że kapitan stchórzył. Ja w to nie wierzę. On wszystkich wykółuje, byle swoich i statku nie skrzywdzić.

**Dakar.** Wchodzimy do zatoki. Mijamy „Sobieskiego”, który stoi tu na redzie już od wielu tygodni. Jego, tak jak i nas, wybuch wojny spotkał na morzu. Załoga „Sobieskiego” wita nas okrzykami, podnoszeniem rąk, śpiewami i muzyką. Wzruszające spotkanie dwóch skrawków ojczyzny. „Sobieski” podobnie jak nasz statek przemalowany jest na kolor ochronny, tylko różni się od nas czerwony pasem wymalowanym wzdłuż środkowej części kadłuba.

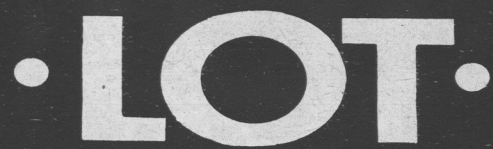
**19 PAŹDZIERNIKA.** W nocy była straszna wicherura. O godz. 12 w południe statek nasz wchodzi do doku. Nie pamiętam, jak długo trwało czyszczenie i malowanie kadłuba. Po wyjściu z doku przeszliśmy znów koło „Sobieskiego”. Załoga żegnała nas okrzykami i hymnem narodowym. Pożegnany ryk syren z naszego statku i z „Sobieskiego”. Minęliśmy falochron. Dobijamy do konwoju. Szerok statków sunęło w zwartym szyku, a obok nich niczym dwa psy pilnujące stada owiec, dwa okręty. Gdy dołączyliśmy do konwoju, kapitan rozmówił się z komandorem konwoju. Podpłynął do nas mały stateczek, z którego wszedł na pokład oficer brytyjski, informując, w jakim miejscu konwoju mamy zająć pozycję. Miałam wrażenie, że kapitan nie jest zadowolony z tego ślimaczego tempa, w jakim posuwaliśmy się ku brzegom Anglii.

Na pokładzie panował spokój. Niektórzy obserwowali konwój, inni rozlokowali się w kabinach. Nagle zrobił się hałas. Wpadł p. Grabowski z krzykiem:

— Zgasić światła! Zasłonić okna!

Okna były zasłonięte! Ale komandor konwoju pieklił się, że nasz statek jest oświetlony, a na pokładach jakoby paliły się reflektory. Trzeba dodać, że było już późno. Niebo było ciemne, tylko blask pełni księżycy rozjaśniał morze. Wyjaśniliśmy, że mamy zaciemnienie. I wtedy znów podpłynął do nas mały stateczek.





**POLSKIE LINIE LOTNICZE**  
**LIGNES AERIENNES POLONAISES**

**życzy Czytelnikom „Tygodnika Polskiego”  
i wszystkim sympatykom  
wielu miłych podróży do Polski**



**nowymi, odrzutowymi samolotami TU-134**

**WESOŁYCH ŚWIĄT  
oraz wszelkiej  
pomyślności  
W NOWYM  
1970 ROKU**

**PARYŻ**



**1929-1969**

Oficer angielski wydał rozkaz wyjścia z konwoju. Jak się okazało, zaciemnienie nasze było dobre, ale tylko w naszym przekonaniu. Bo oto z powodu pośpiechu i zapewne niewiedzy, okna naszej świetlicy i innych pomieszczeń zaciemnione były tylko od wewnątrz, a nie z zewnętrznej strony. W szybach, jakby w lustrach, odbijały się promienie księżyca, dając złudzenie pełnego oświetlenia widocznego z dużej odległości na morzu. Otrzymałszy rozkaz natychmiastowego odłączenia od konwoju.

Kpt. Pacewicz dał rozkaz zwiększenia szybkości i pośpiesznie wyszliśmy z kolumny statków. Jakiś czas jeszcze widać było na morzu ich sylwetki, potem już tylko dym snuł się po niebie w blaskach księżyca.

### TUŁACZKA PO MORZU

I zaczęła się nowa tułaczka po morzu. Był już listopad. Na Wszystkich Świętych urządziłam sobie mały ołtarzyk w kabinie, zapaliłam świece i zanurzyłam się we wspomnieniach. Ileż to grobów moich najbliższych znajduje się w świecie. Grób Rutkowskich jest w Chinach, moi przodkowie ze strony ojca pochowani są w ziemi smoleńskiej, zaś nad Berezyną i na Wileńszczyźnie są rozsiane groby moich krewnych ze strony matki. Europa... Azja... A gdzie będą nasze groby?

Szczęśliwie przepłynęliśmy Kanał la Manche, gdy zamajaczyły przed nami kontury Anglii. Mijałymi wyspę Wight, zaś dostać się do portu Southampton. Mieliśmy sporo szczęścia, bo jak się później okazało, wejście do portu było zaminowane.

Wkrótce po przybyciu do portu naszego transatlantyka doszło do poważnych zaburzeń. Wybuchł strajk głodowy. Wszyscy nasi marynarze otrzymali bowiem na polecenie władz emigracyjnych zaledwie połowę należności. A że i tak wszyscy byliśmy podenerwowani i niepewni jutra, wiadomość ta wywołała istną burzę na statku. W kilka dni później, po głodówce, władze emigracyjne musiały ustąpić, zwłaszcza że decyzje polskie nie spotkały się ze zgodą władz brytyjskich.

Zima 1939 r. była w Anglii bardzo sroga. Spadł nawet śnieg, którego Anglicy nie widzieli parę lat. W kilka dni później otrzymaliśmy specjalne dokumenty angielskie. Naszą kilkusetosobową grupę podzielono na kilka mniejszych. Część zabrano do Londynu autokarami, część zostawiono w Southampton. Tu pozostały przeważnie kobiety — stewardessy, praczki, służba hotelowa, pielęgniarki. Wszystkie dostałyśmy przydział do specjalnego domu dla wychodźców. Ale tylko na kilka czy kilkanaście dni. Z Southampton przewieziono nas do Londynu.

### W LONDYNIE

Z londyńskiego notatnika zachowały mi się tylko niektóre fragmenty. Oto one:

**16 LISTOPADA.** Otwiera się nowa era w moim życiu. O godzinie ósmej wieczorem autobusy podwoziły nas pod gmach Konsulatu Polskiego. Tu

wsiada do naszego autobusu maszynistka z konsulatu pani Skrzyńska i odwozi nas do pensjonatu. Mieszkam teraz na Albany Street nr 13. Mężczyźni odwiezieni zostali dalej pod nr 213. Jest nas w pensjonacie 6 osób ze statku: siostra Rościszewska, ja, Janina Stefanik, Czeszka, która pracowała na statku jako matka okrętowa, Jadwiga Mickiewiczówna, studentka medycyny; Hanka Kontkowska, która prowadziła sklep z pamiątkami na statku; pasierbica Kazimierza Kadenacego (Kazimierz Kadenacy — syn siostry J. Piłsudskiego); Bronisława Wiernikówna, jedna z pasażerek, która wszystko sprzedała i wybrała się „Chrobrym” na zwiedzanie świata.

Mieszkam na pierwszym piętrze, w dużym luksusowym pokoju. Zamiast łóżek mamy tapczany, służba co kilka dni zmienia nam pościel. Posiłki przynosi pokojówka, choć można było zejść do stołówki, gdzie był tzw. Boarding House. Całą noc snił mi się mój mąż, z którym Bóg raczy wiedzieć, co się teraz dzieje, oraz moje dzieci.

Następnego dnia otrzymujemy adres Towarzystwa Angielsko-Polskiego Pomocy Uchodźcom. Cóż? Nie jesteśmy uchodźcami, ale nie mamy ciepłego ubrania, płaszczy, obuwia, a tu już jest jesień, prawdziwa angielska mgła, wilgoć i siąpiący chłodny deszcz. Wanda Skrzyńska prowadzi nas do tego Towarzystwa. Mieści się ono w bardzo ładnym pałacu. Przyjmują nas tu starsze panie — Angielki. W salonie fortepian, piękne fotele. W kominku pali się ogień, wygodne miękkie meble, sufit udekorowany freskami. Wśród interesantów różnej narodowości jest i nas sześcioro rozbitków bez ojczyzny, bez domu. Przynajmniej ja jałmużnę...

Już przy wejściu do tego pałacu zobaczyłam naszą białoczerwoną chorągiew z orłem. I to podkreśliło uczucie obcości i jałmużny. Rozplakałam się. Jedną z maszynistek — Polka — zapiekurowała się mną, zaczęła nas pocieszać. Inne panie tymczasem wybierały jakieś sukienki i sweterki. Jedną z pań mówiła trochę po polsku, pytała, z jakiej miejscowości pochodzę. Gdy powiedziałam, że ze Smoleńska, szepnęła mi, że znała tam kogoś.

Czułam, że nie chce teraz mówić, kazała przyjąć następnego dnia. Jak się dowiedziałam potem, Towarzystwo Angielsko-Polskie wysyłało statkami ubranie do Rumunii, Francji i innych krajów dla polskich uchodźców. Wysyłano stąd także paczki żywnościowe.

Następnego dnia znów udałam się do Towarzystwa. Okazało się, że ta życzliwa Angielka, która zna kogoś na Wileńszczyźnie — była matką pierwszej żony ambasadora.

Któregoś dnia przyszedł do nas ksiądz, zaprowadził nas do kościoła. Całe szczęście, bo same zabłądziłybyśmy. Londyn jest tak dziwnie zbudowany, że bardzo łatwo w nim zabłądzić. A jeśli zapyta się policjantów o drogę do jakiejś ulicy — to odpowiadają: Tu stoją taksówki, to was zawiozą.

### WIGILIA

Straszna mgła. Poruszam się w niej jak w wacie. W pensjonacie było kilku polskich lotników. Tak samo jak inni żołnierze starali się przedostać do Anglii, ale, niestety, propaganda wmówiła ludowi, że winni są Polacy, bo nie chcieli oddać „korytarza” Niemcom i chcieli zabrać Gdańsk, miasto niemieckie. I Anglicy nie powinni walczyć o Gdańsk.

Od tego dnia stale bito na ulicach polskich wojskowych, bo nie mieli cywilnych ubrań. Jeden z lotników był pobity. Policja angielska udawała, że nie widzi tych incydentów. Po kilku dniach podano przez radio, żeby Polacy chodzili tylko w grupach nie w pojedynkę. Ale Polacy, jak to Polacy, przeszli zaraz do ofensywy, więc wkrótce zmieniły się role. I po paru dniach zaczęli Anglicy odwozić... do szpitali. I znowu były komunikaty w radio do Anglików, żeby dali spokój, bo Polacy to bitny naród.

Byliśmy zaproszeni do kościoła polskiego na Wigilię. Wyszliśmy w kilkoro na najbliższy postój taksówek, ale żadnej nie udało nam się zatrzymać. Trzeba było pojechać kolejką podziemną, zanim jednak dotarliśmy do kościoła, było już po Wigili. Jednakże ksiądz polski przyjął nas bardzo serdecznie, złożył nam życzenia zdrowia i rychłego powrotu do Ojczyzny. Wszyscy mieliśmy ściśnięte gardła, tak że trudno było przełknąć nawet odrobinę opłatka.

W rogu pokoju stała choinka z palącymi się świeczkami. Stoły pięknie były nakryte, ale nakrycia były nie ruszone. Wprowadził ksiądz zapraszał nas, częstował, ale wszyscy byliśmy myślami gdzie indziej...

Podano kawę i dużo rozmaitych słodczy. Nikt prawie nie brał niczego do ust. Rozmowy nie kleiły się. O czym można było mówić? Tylko o Kraju i bliskich. A tu przecież obca, choć gościnną ziemią!

Bóg się rodzi, moc truchleje...

Na początku wszyscy podjęliśmy nucenie koledy. Ale gdy chcieliśmy śpiewać ostatnią zwrotkę:

Podnieś rękę Boże Dziecię,  
Błogosław Ojczyznę miłą,

— wszyscy wybuchliśmy spazmatycznym płaczem. Gdzie nasz „Dom i majątność cała? i wszystkie wioski z miastami?”

Ze łzami w oczach opuszczaliśmy kościół, zanurzając się w gęstą londyńską mgłę.

Opr. Krystyna KOZŁOWSKA

\*) Są to wspomnienia polskiej pielęgniarki, która opiekowała się emigrantami udającymi się za ocean. Pierwszą część wspomnień ze statku „Pułaski”, wydrukowaliśmy w „Tygodniku Polskim” 12.X.1969 (nr 41) pt. Bunt emigrantów na „Pułaskim”.



POLSKI ODDZIAŁ BIURA PODRÓŻY

**TRANSTOURS**

życzy

swoim Klientom

pomyślnego Nowego Roku 1970

Przypominamy, że również w nowym roku:

- Organizujemy wyjazdy do Polski w odwiedziny do rodzin
- Załatwiamy wszelkie formalności dla wyjeżdżających indywidualnie i grupowo, samochodem, koleją, samolotem
- Dokonujemy przekazów pieniędzy do Polski po bardzo korzystnej relacji
- Sprowadzamy krewnych na urlop z Polski do Francji

ZORGANIZOWANE WYJAZDY NA BOŻE  
NARODZENIE ORAZ NA WIELKANOC

informacje:

**TRANSTOURS**

PARIS: 22, rue du 4 Septembre — PARIS 2-ème  
LILLE: 53, rue des Arts — 59 — LILLE  
— Mme Janina ZUWAL  
NILVANGE: 6, rue des Vosges — 57 — NILVANGE  
— M. Roman WAWER  
oraz korespondenci terenowi

PARYŻ • PARYŻ

HOTEL OPERA - LAFAYETTE

CATEGORIE \*\*A

**RESTAURANT**

Dyrekcja: Zenon LUBINSKI

80, rue Lafayette-PARIS 9-ème

Métro: CADET lub POISSONNIERE

Téléfon: 770-43-43 824-41-50

(Face Square MONTHOLON)

Mówi się po francusku oraz po polsku, angielsku, niemiecku, hiszpańsku, rosyjsku i włosku

**JAK TO DAWNIEJ  
BYWAŁO...**

**G**DY w dzień Wigilii zapada zmrok, a na firmamencie za-  
błyśnie pierwsza gwiazda,  
wówczas milionowe rzesze emi-  
grantów siadają do tradycyjnej  
wieczerzy wigilijnej. Jak świat  
długi i szeroki, pod każdą szeroko-  
ścią geograficzną, wszędzie tam,  
gdzie serca biją miłością Ojczyzny,  
gdzie zostały choć okruszki tra-  
dycji wyniesionych z domów ro-  
dzinnych, tam do stołu nakrytego  
białym, najczęściej przywiezio-  
nym z kraju rodzinnego obrusem,  
na którym prócz potraw wigilij-  
nych francuskich, angielskich czy  
amerykańskich widnieje rzecz  
najważniejsza, to jest opłatek, ze  
łzami w oczach siadają emigran-  
ci. Białe jak śnieg opłatek wysy-  
łany w listach z Ojczyzny do ro-  
dzin na całej kuli ziemskiej jest  
duchowym łącznikiem między  
narodem polskim a Emigracją, on  
z nas czyni jedną czterdziesto-  
milionową rodzinę. Gdy ojciec lub  
matka biorą do drżących rąk ten  
opłatek, wówczas łza zalśni w oku  
i spłynie nieraz po zoranej bruz-  
dami od pracy i tęsknoty za Kra-  
jem rodzinnym twarzy, dowód  
łączności ze swoimi w Kraju. Ła-  
miąc się opłatkami wspominamy  
najbliższych i w myśli posyłamy  
im życzenia poprzez morza, łądy,  
góry, rzeki i lasy — do tego Kra-  
ju, który jest częścią naszego ży-  
cia. A gdy dzwon na wieży kościel-  
nej rozdzwoni się wzywając na  
pasterkę, to wszędzie tam, gdzie  
są większe skupiska polonijne,  
wychodzą z domów Rodacy, aby  
wspólnie zaśpiewać jak ongiś w  
tym starym Kraju, który trzeba  
było opuścić za kawałkiem chle-  
ba. Stoją postacie pochylone, si-  
wizną przyprószone, i patrząc w  
te szczerze oczy niebieskie, żarem  
gorejące, można w nich odczytać,  
iż serca tych wszystkich potomków  
Piasta związane są wspólnotą  
krwi z Ojczyzną, która jest matką  
dla wszystkich swoich dzieci, bez  
względu na ich przekonania poli-  
tyczne lub religijne, że w tych  
sercach czczone jest imię tej mat-  
ki — słowo Polska.

Gdy wybije północ, gdy ze  
świętyń lub domów odezwie się  
śpiew naszych ulubionych kolęd:  
„Bóg się rodzi, moc truchleje” lub  
„Wśród nocnej ciszy”, wówczas  
na twarzy niejednego starego  
emigranta łzy ciurkiem lecą, łzy  
żału za Krajem, rodziną, wówczas  
niejeden myśli: czy ja jeszcze ten  
Kraj ojców zobaczę, czy też dane  
mi będzie złożyć w ziemi rodzi-  
nej sterane tułaczka po obcych  
krajach kości? Bije się człowiek z  
myślami i tak schodzą Święta i  
nadchodzi ostatnia noc grudniowa.  
Cicho, z poszumem wiatru przez  
sioła i lasy odchodzi od nas stary  
rok i miliony ludzi witają Rok  
Nowy — zwiastuna lepszej doli i  
spełnienia naszych marzeń.

W tych dniach świątecznych ma  
człowiek czas na zadumę: przesuw-  
wa się przed oczami naszymi Pol-  
ska Piastów, barwna husaria,  
sztafki nasze na polach Grun-  
waldu, pod Wiedniem, wszystkie  
te pola chwały, gdzie Polacy wal-  
czyli o Naszą i Waszą Wolność.  
Myśli się o owych stu pięćdziesię-  
ciu latach niewoli, o odzyskanej  
w 1918 roku wolności, po której  
znowu nastąpiła ciemna noc niewoli  
1939 roku, noc więzień, rozstrze-  
liwań, krematoriów, męczeństwa i  
strachu. Myśli się o tym, że po tej  
straszliwej wojnie wróciliśmy na  
ziemię Piastów, zniszczoną, zdep-  
taną, spaloną, że naród polski o  
głodzie i chłodzie budował nową  
Polskę, Polskę przemysłową, da-  
jąc pracę wszystkim, aby nikt już  
nigdy nie musiał emigrować za  
kawałkiem chleba zroszonego nie-  
raz gorzkimi łzami. W tych uro-  
czystych chwilach wszyscy podaje-  
my dłoń Rodakom w Kraju i na  
Emigracji wołając: Ojczyźnie na-  
szej Cześć!

Witold NOWAK

Generalny Sekretarz  
Związku Bractw Kurkowych  
we Francji**FIRMA DANIEL KSIĄŻEK  
REVÊTEMENTS  
DE SOLS**Pokrywanie podłóg moquette, gumą, plastykiem  
i wszelkiego rodzaju tworzywami sztucznymi.

8, rue du Soleil-93-STAINS; tél: 243-63-79]

**Sклада**wszystkim swoim Klientom  
serdeczne życzenia**SZCZĘŚLIWEGO****NOWEGO ROKU 1970**





# GWIAZDKOWE OPOWIADANIE HENIA



MOŻE MNIE PAMIĘTACIE. Ja się nazywam Heniu, Heniu Zubrzycki. Mieszkamy pod Paryżem. Ja mam dwanaście lat, a moja mama ma czterdzieści lat, bo urodziła się w roku 1929. Ale kiedy ktoś pyta moją mamę, ile

ma lat, to ona odpowiada, że ma ich trzydzieści pięć. Wtedy mój tata i mój dziadzia śmieją się z mojej mamy i mówią, że ona sobie dodaje. Ja nic z tego nie rozumiem. Przecież mama sobie nie dodaje, tylko sobie odejmuje. Ja, gdybym mógł, to dodałbym sobie jakieś dziesięć lat, bo gdybym miał dwadzieścia dwa lata, to mógłbym być nauczycielem i postawić Stefcia Cieślaka do kąta. Stefciu Cieślak to jest mój kolega, ale to jest niedobry kolega, bo kiedy gramy w koniki albo w kulki, to on zawsze wygrywa, więc ja chciałbym móc postawić go do kąta.

Ja już napisałem w „Tygodniku Polskim” jedno opowiadanie na Wielkanoc i mój dziadzia mówił, że to moje opowiadanie ludziom się podobało, bo tak mu powiedział jeden pan z „Tygodnika”, który go odwiedził. Dziadzia mnie zachęca do napisania nowego opowiadania na Gwiazdkę. Obiecał mi, że jeśli coś napiszę, i jeśli napiszę ładnie, to Gwiazdor przyniesie mi za to prawdziwe koło. Co on sobie myśli, ten mój dziadzia. Że ja jestem dziecko, czy co? Czy on sobie wyobraża, że ja nie wiem, że Gwiazdor to jest wuj Franek? Ale na koło to ja mam chrapkę od dawna. Będę jeździł jak szewc. Tata mówi, że jeśli będę jadł dużo sałaty i cukru, to może zostanie takim asem jak Anquetil albo Bartali. Ale dziadzia mówi, że sałata dobra jest dla osłów, a cukier dla koni, a dla ludzi najlepsze są pyрки i chleb z metką albo sama metka.

Już wczoraj chciałem pisać to opowiadanie, ale nie mogłem, bo byłem z dziadzią i babusią w Paryżu. Pojechalśmy do polskiego sklepu, który nazywa się „La Boutique Polonaise”. Dziadzia nabył płyty z kolędami i stajenkę, a babusia kupiła mi książkę, która nazywa się „Wspomnienia niebieskiego mundurka”. Już ją zaczęłem czytać, jest ona naprawdę bardzo ładna.

Dzisiaj poszliśmy z dziadzią po choinkę. Po drodze dziadzia nauczył mnie nowej kolędy. Podobno tę kolędę ułożyli polscy górnicy na Nordzie. Ja nigdy Nordu nie widziałem, ale dziadzia tam był, bo kiedy przyjechał do Francji, to tam przez parę lat robił w kopalni i chodził cały umorusany jak kominarz. Ta kolęda to jest tak:

„A wczoraj z wieczora  
Złapali Gwiazdora.  
W Sallaumines na moście,  
W Sallaumines na moście,  
bo jadł kiszki w poście...”

Mnie się ta kolęda podoba jeszcze bardziej niż „Wśród nocnej ciszy”, ale dziadzia mówi, że ona jest paskudna i żebym jej czasem, broń Boże, nie śpiewał, kiedy polski ksiądz będzie chodził po kolędzie, bo ksiądz by się przeżegnał. No to po co mnie jej nauczył, skoro jest paskudna.

Za parę dni będzie Wigilia. My w Wigilię jemy śledzie i kluski z makiem, a potem do późnej nocy śpiewamy kolędy i wcinamy mandarynki, orzechy i placek. Ja bardzo lubię kluski z makiem i tak je futruję, aż mi się uszy trzęsą. Ja bym chciał, żeby babusia z mamą częściej robiły te kluski, ale dziadzia twierdzi, że kto chce być prawdziwym Po-

lakiem i mocno kochać Polskę, temu kluski z makiem wolno jeść tylko raz w roku. Szkoda, że to tak jest, bo te kluski są naprawdę pyszne, no ale mówi się: trudno. Ja jestem Francuzem, ale prawdziwym Polakiem też chcę być i Polskę też chcę mocno kochać, bo dziadzia mi wytłumaczył, że każdy porządny człowiek powinien Polskę kochać. Podobno na Gwiazdkę cała Polska otulona jest śniegiem, a niebo nad Polską jest całe wyiskrzzone gwiazdami. Podobno przy każdym stole zachowane jest w Polsce w Wigilię miejsce dla tych Polaków, którzy z dala od Kraju, za granicą obchodzą to święto, to znaczy dla nas. Dziadzia mówi, że Polska to jest bardzo piękny kraj i że w Polsce jest pełno lasów, świeże powietrze, dobre pyрки i maślanka. Może w przyszłym roku wszyscy pojedziemy na wakacje do Polski, to napijemy się maślanki i nawcinamy się tych dobrych pyrek. Ja bym także bardzo chciał pojechać do Puszczy Białowieskiej, bo w tym ogromnym lesie żyją żubry, a we Francji żubrów nie ma. Wiem również od dziadzi, że Polacy to jest dobry naród, ale ten naród dużo wycierpiał. Mnie jest żal tych wszystkich Polaków, którzy zginęli w czasie wojny. Dziadzia mówi, że jemu też jest ich żal jak nie wiem co i że teraz trzeba się starać, żeby już nigdy nie było wojny. Jak podrosnę, to też będę się o to starał.

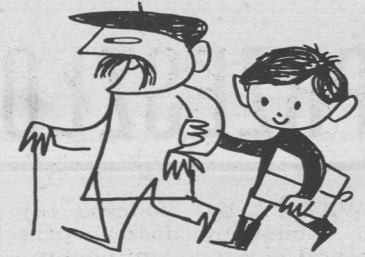
W Wigilię dzielimy się także opłatkiem i składamy sobie życzenia. Podczas dzielenia się opłatkiem wszyscy — dziadzia, babusia, tata i mama — mają w oczach łzy. Dziadzia powiedział mi, że podczas dzielenia się opłatkiem każdy, kto ma w żyłach polską krew, wzrusza się i ma ochotę płakać. Mnie do tej pory nie chciało się jeszcze nigdy płakać, ale w tym roku zmuszę się i będę płakał jak stary.

A kiedy będą już dorosłym chłopem, to będą płakał naprawdę.

Ja bardzo lubię wieczór wigilijny, bo nikt mnie w ten wieczór nie wygania spać z kurami i dostaje prezenty. A poza tym w ten wieczór zawsze przychodzi do nas stary Piotr. Stary Piotr to jest kolega mojego dziadzi. Jego kobieta umarła i teraz jest sam, więc w Wigilię przychodzi do nas i płacze tak samo jak dziadzia. To jest śmieszny chłop. Zna on całą kupę bajek i opowiastek. W zeszłym roku opowiedział nam po wieczery wigilijnej bardzo komijną historię o takim jednym parobku, co się nazywał Antek. Ten Antek w samą Wigilię ukradł podobno komuś pieniądze i schował je w oborze,

w żłobie, a potem poleciał na pasterkę. Wszedł do kościoła, a tu ludzie śpiewają: „W żłobie leży, któż pobieży...” Więc ten Antek myślał, że ludzie już wiedzą o tym, że on schował pieniądze w żłobie, i zaraz wyprysł z kościoła i poleciał skryć je w stajni. Wraca potem na pasterkę, a tu jak na złość śpiewają: „Pójdźmy wszyscy do stajenki...” Więc on znowu myślał, że ktoś go widział, jak chował te pieniądze w stajni, i poleciał skryć je pod bożą mękę. Ledwo stamtąd wrócił, zaraz organista zaczął śpiewać: „Już się ono spełniło, co pod figurą było...” Jak tam było dalej, nie wiem, bo akurat w tym miejscu Piotrowego opowiadania usnąłem na krześle, aie to i tak jest śmieszne. Piotr opowiadał mi kiedyś także, że dawniej w Wigilię zwierzęta w Polsce gadały o północy jak ludzie, ale mnie się wydaje, że on coś kręci, bo nasz pies też po polsku rozumie, a przecież nic w Wigilię nie chce gadać, choć dostaje placka.

Bardzo lubię też śpiewać kolędy. Dziadzia mówi, że w Wigilię wszyscy Polacy na całym świecie śpiewają polskie kolędy. Szkoda, że ci wszyscy Polacy nie mogą zebrać się w ten wieczór w jednym miejscu, bo to dopiero byłby śpiew. Dziadzia powiada,



że oni się tak właśnie zbierają, bo wszyscy są w ten wieczór myślami w Polsce. Ja tego nie rozumiem, bo jak można być gdzie indziej nogami, a gdzie indziej myślami. Dziadzia twierdzi, że jeśli jest się Polakiem, to niejedno można. No to widocznie można. Najbardziej lubię śpiewać „Wśród nocnej ciszy” i „Anioł pasterzom mówić”.

Dziadzia każe mi się Was zapytać, czy Wy też macie wnuczków i czy Wasze wnuczki też śpiewają w Wigilię polskie kolędy? Ja myślę, że wnuczków macie, bo przecież każda babusia i każdy dziadzia mają wnuczka albo przynajmniej wnuczkę. Mnie się wydaje, że lepiej mieć wnuczka niż wnuczkę, bo chłopcy są rozumni, a dziewczuchy nie potrafią usiedzieć na miejscu i zawsze coś broją. No ale chyba lepiej mieć wnuczkę niż nic. Myślę też, że Wasze wnuczki śpiewają polskie kolędy, bo polskie kolędy są ładne i podobają się nawet naszej sąsiadce, która jest Francuzką.

Muszę już kończyć, bo już jest piąta, a jeszcze nie jadłem podwieczorku. Dziadzia każe życzyć Wam od nas wszystkich wesołych Świąt i szczęśliwego Nowego Roku. Czy Wy też będziecie w pierwsze święto mieć na obiad kaczkę? Bo my tak. Chciałem jeszcze napisać, że my z dziadzią święta za pieczoną kaczką nie widzimy, ale dziadzia mówi, żebym lepiej tego nie pisał, bo to głupio wygląda, no to nie będę pisał. Mocno ściskam wszystkie polskie babusie i wszystkich polskich dziadziów we Francji i Belgii.



Heniu  
Zubrzycki

Piątek, 9 stycznia 1970 roku, godzina 20  
**NOWOROCZNE SPOTKANIE W REDAKCJI**

Ubiegłorocznym zwyczajem redakcja „Tygodnika Polskiego”

organizuje

w piątek, 9 stycznia 1970 roku, o godzinie 20 w lokalu  
redakcji 23, rue Taitbout, Paris IX-e, métro: Chaussée d'Antin

**SPOTKANIE NOWOROCZNE**

na które jak najserdeczniej zaprasza

Przyjaciół i Czytelników „Tygodnika Polskiego”



Urszula KOZIEROWSKA

# STEFANA CHLEBOWSKIEGO PODRÓŻ W PRZESZŁOŚĆ

**N**IEWAŻNY był podczas tej podróży ani zacinający deszcz, przechodzący czasami w ulewę, ani wichura. W końcu, rzeczywiście nawet w najskromniejszym samochodzie na ogół nie pada — mówi Chlebowski. Każdy kilometr przybliżał go natomiast do miejsca, gdzie jechał teraz, po dwudziestu dwóch latach. Po drodze zaś skrętnie notował w swej pamięci najdrobniejsze szczegóły podróży: gęsty potok samochodów u wyjazdu z Paryża na autostradę, nowe domy podparyskich miejscowości, które witał okrzykiem: „O, takie same jak u nas w Wadowicach!” place budowy i wreszcie piękne okolice Fontainebleau. Jedno natomiast zdziwiło go już wkrótce, jako że za swego pierwszego pobytu w Francji nie jeździł autostra-



W barakach na Saint-Paul mieszkał z rodziną 21 lat. Tu urodziło się troje jego dzieci, tu się wychowały. Chlebowski żył tu od 1926 do 1947 roku wśród Ciupków, Grzegorowskich i innych Polaków

da, iż nie ma przy niej swojskich kafejek, które zachował sprzed lat w pamięci.

Podniecenie jego wzrastało w miarę oddalania się od Paryża. W tyle już pozostało Auxerre, następnie Avallon i oto wkrótce koniec autostrady. Kierunek Autun, potem Le Creusot, Montceau-les-Mines...

Od Autun każdy następny odcinek drogi, hałda, dom coś Chlebowskiemu przypominały. Tutaj przecież, w tych okolicach spędził dwadzieścia jeden lat. Chaotycznie już odtąd na usta cisnęły się okrzyki:

— Tu na lewo powinien być dworzec... Tutaj jeździłem rowerem podczas wojny, żeby dla dzieci zdobyć trochę żywności... A tu jeszcze jest ta kafejka... W tych lasach byli partyzanci...

Do każdego zaś takiego okrzyku dochodziło krótkie opowiadanie, jak to w pobliskich miejscowościach i koloniach osiedlili się Polacy, którzy przyjechali tu, do Francji, za chlebem, jak Niemcy podczas wojny złapali go z kózka, którą wioził do domu, czy też jak francuski żandarm-patriota zastał w domu Chlebowskiego partyzantów i namyślał im, że nie są ostrożniejsi...

Wjazdu do Montceau-les-Mines Stefan Chlebowski nie poznał. Wszystko się tu zmieniło — stwierdził jakby z żalem. Dopiero gdy zobaczył kanał, stary zwodzony most, poczuł, że jest w Montceau-les-Mines, które na całe życie utrwaliło się w jego pamięci. Mieszkał przecież swego czasu kilka kilometrów stąd, w kolonii St. Paul.

Teraz już niczym stary film cisnęły się przed oczy te najważniejsze dla niego sprawy i wspomnienia.

— Co to było dla nas wszystkich za przeżycie — wspominał wzruszony — gdy tutaj właśnie, w Montceau-les-Mines, już w lipcu 1945 roku obchodziliśmy pierwsze Święto Lipcowe odrodzonej Polski. Jaki tłum wtedy już ściągnął ze wszystkich pobliskich kolonii na manifestację! Na czele pochodu niostem sztandar. Szliśmy rue Carnot, Jean Jaurès... Radośni i dumni, że nowa Polska stała się prawdziwą ojczyzną dla takich jak my — ludzi pracy, z której nie trzeba już będzie wyjeżdżać za granicę za chlebem...

Te ostatnie dwa lata pobytu Stefana Chlebowskiego we Francji, od zakończenia wojny do wyjazdu do Kraju w 1947 roku, pozostały szczególnie żywe wspomnienia. Jakże aktywne wtedy było życie polonijne! Ile powstało organizacji społecznych! Roboty po pracy zawodowej było wtedy tyle, że na własne sprawy czasu nie zostawało w ogóle, ale przecież właśnie te sprawy społeczne wiążące Chlebowskiego i jemu podobnych z nową Polską były odtąd w ich życiu na pierwszym miejscu.

W Sanvignes-les-Mines, w Gautherets wszystko stało się dla Chlebowskiego jeszcze bliższe. Ciupkowie, sąsiedzi z kolonii baraków Saint-Paul powitali Chlebowskiego rodzinnie i serdecznie. Mimo że nikt się do tego nie przyznawał, wzruszenie nie pozwalało w pierwszej chwili składować formułowań zdań. Bo od czego tu zacząć taką rozmowę po dwudziestu latach, gdy poprzednie dwadzieścia lat spędziło się obok siebie wspólnie, przeżywało wszystkie troski i radości. Razem wychowywało dzieci? Potem do tego wzruszenia doszedł smutek. Bo przecież starych Grzegorowskich z baraków Saint-Paul już nie ma, zmarli, a przed dwoma miesiącami zmarł bliski przyjaciel Włodek Nowocień, nie żyje już Bucki, stary Zmorek, Kubiak, Czajkowsy...

Przy nazwiskach tych najczęściej padało słowo: pylica. Ta choroba górników ogromne żniwo zebra-

ła wśród polskich wychodźców, którzy przed czterdziestu laty przyjechali za chlebem do Francji. Franek Ciupek, Tomek Krakowiak i wielu innych zaś od lat już są z powodu pylicy na emeryturze.

— W Wałbrzychu i na Śląsku, spośród tych, którzy powrócili do Polski z Francji, też już wielu nie żyje. Niestety, ciężki zawrót górnika nieczęsto pozwala dożyć sędziwej starości — dorzucił Chlebowski.

Toteż wielką radość sprawiło mu spotkanie z jednym z najbliższych kolegów — Franciszkiem Sobczakiem. Jest on dziś w tym okręgu jednym z najstarszych polskich górników. Liczy 79 lat i mimo 29 lat pracy pod ziemią nie zna silikozy.

— Miałeś szczęście, chłopie — powiedział wzruszony Chlebowski. — Z najstarszych zostałeś Ty i Koński...

Nie mniej szczęśliwy był Sobczak, wzruszony tą niespodziewaną wizytą w swojej samotności. W ilu organizacjach społecznych pracował przecież razem z Chlebowskim!

— Pamiętasz — wspomina głośno Chlebowski — jak na zebraniach, gdy zabierałeś głos, ja zawsze mówiłem: słuchajcie uważnie, bo Sobczak to poważny człowiek i to, co powie, ma swoją wagę...

Potem Sobczak z kolei wypytывał Chlebowskiego, jak tam jemu w Polsce się wiedzie.

— Też już przecież jestem na rencie — odpowiedział. — Ale ty wiesz, że nadal czuję się potrzebny i użyteczny. Jestem radnym miejskim w Wadowicach, gdzie mieszkamy z żoną w ładnym domku, jestem tawnikiem w sądzie, no i ile tylko mogę, uczestniczę w pracy partyjnej i społecznej. Najważniejsze, że dzieci mają już dziś inne życie. Helcia — najstarsza córka, niestety, już nie żyje, ale Raoul jest mistrzem tkackim w Andrychowie, ma żonę, synka i dobrze mu się powodzi. A Krysią zaszła wysoko. Zrobiła w Polsce maturę, studiowała w Związku Radzieckim — co nic mnie nie kosztowało — dostała stypendium, a dziś jest na poważnym stanowisku w międzynarodowej organizacji UNESCO w Paryżu. Do niej to przyjechałem w odwiedziny i dzięki temu spełniło się moje marzenie, by Was wszystkich jeszcze zobaczyć i zobaczyć te miejsca, gdzie tyle trudu, tyle znoju kosztowało nas wszystkich stworzenie sobie jakiejś egzystencji.

— A ty, Sobczak, byłeś w Twoich stronach, pod Płockiem, w odwiedzinach? — zapytał z kolei Chlebowski.

— Nie — odpowiedział z pewnym żalem Sobczak. — Zmarła mi żona, ostatnio córka. Już chyba nie pojedę do Polski, by zobaczyć Płock... Ale wszystko o nim, jak i o całej Polsce wiem. Czytam regularnie „Tygodnik”, a więc stale dowiaduję się czegoś nowego z Kraju — tam zbudowali nową fabrykę, tam szkołę, no i jak wygląda obecnie Płock. Pewnie bym go dziś nie poznał...

W ciągu minionych dwudziestu dwu lat, kiedy Chlebowski wyjechał z okręgu Montceau-les-Mines, wiele zmieniło się wszędzie — to potwierdziły wszystkie rozmowy. W Montceau-les-Mines również. Ale wszyscy Polacy mieszkający we Francji wiedzą, że szczególnie ogromne zmiany zaszły przede wszystkim w Polsce, że Kraj, z którego kiedyś musieli wyjechać w poszukiwaniu chleba, rozbudował się potężnie i każdy dziś znajduje tam dla siebie miejsce.

Takie spotkania po latach, konfrontacje z przeszłością, zmiany te szczególnie uwypuklają. I z tych zmian w Polsce i Chlebowski, i Sobczak, i Ciupkowie, i Nowocieniowa, i Krakowiak, i Koński — są dumni. Niezależnie od tego, że Chlebowski mieszka w Wadowicach pod Krakowem, a inni w Sanvignes-les-Mines, Gautherets czy Montceau-les-Mines.



Maria Nowocieniowa na widok bliskiego przyjaciela zmarłego niedawno męża rozplakała się. Oto jego zdjęcie z rodziną — pokazuje Chlebowskiemu

Helena i Władysław Woźniakowie prowadzą obecnie kafejkę „Café de Salons” w Saint-Vallier. Chlebowski pamiętał kafejkę, gdy prowadziła ją pani Lorient. Zobaczył salkę, w której kiedyś odbywały się zebrania, zainteresował się zespołem polskiego tańca ludowego „Karliczek”, który prowadzili Woźniakowie, a obecnie syn Tomasz Krakowiak





# Z okazji 25-lecia Polski Ludowej UROCZYSTOŚCI W LE HAVRE

**N**IEJEDNOKROTNIE już gościnny Le Havre podejmował u siebie Polskę. Mieszkańcy miasta mieli możliwość zapoznania się już z Polską poprzez wystawy, występy znakomitych polskich zespołów pieśni i tańca czy też poprzez bezpośrednie kontakty z przedstawicielami Polski, z załogami statków, które zawitały do portu w Le Havre.

Ostatnio, z okazji 25-lecia Polski Ludowej, odbyły się w Le Havre „Dni Polskie”, którym patronował mer, p. René Cance oraz konsul PRL w Paryżu p. Jerzy Łukomski. Na program „Dni Polskich” złożyły się: interesująca wystawa w hallu merostwa, obrazująca różne aspekty życia w Polsce, ze szczególnym uwzględnieniem portów polskich, rybołówstwa, życia na wybrzeżu morskim, występy polonijnego zespołu folklorystycznego „Krakowiak” z Beauvais, przyjęcia w merostwie oraz na polskim statku „Domeyko”, który w tym czasie zawitał do portu w Le Havre, seanse polskich filmów, kiermasz polskich towarów przemysłu ludowo-artystycznego, polskich znaczków itp.

Na otwarcie wystawy polskiej w merostwie Le Havre przybyło wiele osobistości: mer Le Havre — P. RENÉ CANCE, pierwszy zastępca mera, deputowany P. ANDRÉ DUROMÉA, zastępcy mera PP. LECAT, SCHLEWITZ, COLLARD i BOISARD, radny miejski P. NAZE, mer Harfleur — P. DUQUENOY, dyrektorzy instytucji, szkół, ośrodków naukowych, dziennikarze itp. Z Paryża na otwarcie wystawy przybył sekretarz generalny Stowarzyszenia „France-Pologne” P. ALEX KRAKOWIAK, zastępca sekretarza generalnego Stowarzyszenia Obrony Granic na Odrze i Nysie P. RENÉ DURAND. Polskę podczas uroczystości w Le Havre reprezentował konsul PRL P. JERZY ŁUKOMSKI, i sekretarz Ambasady P. ADAM KLACZYŃSKI oraz p. wicekonsul SZAFRANIEC.

W swych przemówieniach podczas otwarcia wystawy pierwszy zastępca mera, deputowany p. André Duroméa, jak i konsul PRL w Paryżu p. Jerzy Łukomski podkreślili bliskie i serdeczne więzy przyjaźni, jakie od wieków łączą naród francuski z narodem polskim, pragnienie lepszego wzajemnego poznania się, czemu tak pięknie służą i osobiste kontakty, i polskie uroczystości organizowane w gościnnym Le Havre.

Okazją do bezpośrednich rozmów, wymiany zdań i bliższego wzajemnego poznania się były również przyjęcia wydane z okazji „Dni Polskich” przez mera Le Havre p. René Cance w merostwie oraz na statku polskim „Domeyko” przez konsula PRL p. Jerzego Łukomskiego. Na przyjęciach tych wzniesiono również liczne toasty za przyjaźń francusko-polską, za pomyślność Polski i Francji, za pokój.

Plansze wystawowe, udekorowane białoczerwonymi i trójkolorowymi chorągiewkami, przyciągają uwagę licznych zwiedzających, zarówno Polaków, jak i Francuzów. Na pierwszym planie statua Franciszka I



Liczne oficjalne osobistości podczas zwiedzania wystawy



Serdeczne słowa pod adresem Polski i Polaków wypowiedział w swym przemówieniu podczas otwarcia wystawy polskiej p. André Duroméa



Na pokładzie statku od prawej p. Thicullent — prezes portu autonomicznego Le Havre w rozmowie z sekretarzem generalnym Stowarzyszenia „France-Pologne” panem Aleksym Krakowiakiem

Młodzi mieszkańcy Le Havre, być może przyszli marynarze, z wielkim zainteresowaniem oglądają polski statek szkolny, fregatę „Dar Pomorza”



Wystawę o Polsce komentował i objaśniał p. Alex Krakowiak sekretarz generalny Stowarzyszenia „France-Pologne” (na zdjęciu pierwszy od lewej)







Bramkarz Grotyński piątkuje główkę Herbina. W głębi widać zgrupowanie polskiej obrony na tle licznie zgromadzonej publiczności



Deyna, bohater spotkania z AS St. Etienne, otoczony był nieustannie przez tłum kibiców

# ECHA WIELKIEGO



Za chwilę rozpocznie się sensacyjny mecz. Kapitanowie drużyn słuchają pilnie uwag sędziego — Rumuna, pana Mitescu

## 40 TYSIĘCY NA STADION

Mecz, który warszawska „Legia” rozegrała z AS Saint-Etienne na francuskim terenie i który zakończył się jej sukcesem 1:0, ma poważne konsekwencje dla obu drużyn. Łącznie z wynikiem osiągniętym parę tygodni wcześniej w Warszawie (2:1) „Legia” — mistrz Polski — odniosła zdecydowane zwycięstwo nad ASSE — mistrzem Francji, eliminując tę drużynę z dalszych rozgrywek o Coupe d'Europe des Champions. Przed „Legią” otworzyła się zatem droga do rozgrywek ćwierćfinałowych o Puchar Mistrzów Euro-py.

KOŁO CZTERDZIESTU TYSIĘCY ludzi zapełniło trybuny stadionu Geoffroy-Guichard w Saint-Etienne. Okrzyki, skandowanie, śpiew, gwizdy wywoływały tak straszliwy hałas, że słychać go było w oddalonym o parę kilometrów centrum miasta. Wyjątkowe napięcie i rozgorączkowanie opanowało tłumy zebranych kibiców. Trwało ono od chwili wejścia na stadion pierwszych widzów przez całą pierwszą część meczu.

Napięcie nerwowe udzielało się wszystkim i — pisał jeden z recenzentów sportowych — trzeba było mieć mocne serce, aby wytrzymać do końca. W atmosferze napięcia kibice Saint-Etienne oczekiwali jednego, jedyne-go celnego strzału w polską bramkę. Ten jeden upragniony punkt wyrównałby niekorzystny dla ASSE wynik i uchroniłby przed eliminacją. Pragnęło tego punktu nie tylko St.-Etienne. Były z nim związane nadzieje wszystkich miłośników piłki nożnej we Francji.

Strategia ekipy francuskiej nastawiona więc była na atak. Rozpoczął się on natychmiast i trwał niemal nieprzerwanie przez całą pierwszą część meczu. Gra toczyła się przeważnie na polskiej stronie boiska, a bardzo często tuż pod polską bramką. Bereta (11), Revell (9), a zwłaszcza nadzwyczajnie zwinny Keita (10) byli — zdawało się — już bardzo blisko zdobycia upragnionej bramki. W tych momentach okazała się skuteczność obrony „Legii”. Trzaskowski (4) pięknym uderzeniem głową odparł pierwszy, bardzo niebezpieczny strzał Keity. Z następnym poradził sobie błyskawicznie reagujący bramkarz Grotyński.

St. Etienne jednak nie zrezygnowało z dalszych prób ataku. Następują jedna po drugiej niefortunne próby ułokowania piłki w polskiej bramce. Próby te wyczerpują w sposób widoczny ekipę ASSE nerwowo i fizycznie. Ataki stają się coraz bardziej gorączkowe, nie zorganizowane.

Druga połowa meczu rozpoczyna się w ten sam sposób: gra toczy się w pobliżu polskiej bramki, atak St-Etienne nie słabnie, ale staje się coraz mniej skuteczny. Polska obrona jest ciągle niezawodna, od czasu do czasu zrywa się atak.

Publiczność odczuła doskonale groźbę sytuacji. Nastój na trybunach zmienił się całkowicie. Doping, w początkach meczu niesłychanie gwałtowny, ustąpił miejsca





Drużyna warszawskiej „Legii” przed zwycięskim spotkaniem z drużyną francuską

Drużyna francuska prawie była pewna swego zwycięstwa nad piłkarzami polskimi

# MECZU

## GEOFFROY-GUICHARD

przysięgnięciu. Powtórzyły się wprawdzie jeszcze ataki, mniej lub bardziej skuteczne, wśród nich doskonały strzał Keity, ale czujny Grotyński reagował w porę wraz z doskonałą ekipą obrony Blaut (6), Trzaskowski (4), Zygmunt (5) i Stachurski (2) zastąpiony potem przez Niedziółkę (14).

Wreszcie na 5 minut przed końcem meczu nastąpił decydujący moment. Podana przez Żmijewskiego (7) piłka, cełnym strzałem znakomitego Deyny (8) ląduje w bramce francuskiej. Mecz kończy się na tym jednym cełnym strzale.

\*\*\*

Wydaje się, że prasa lokalna w St. Etienne i nastroje kibiców na trybunach stworzyły wokół meczu atmosferę przesadnie gorączkową. „Ce fut un match extrêmement crispant” — pisał specjalny wysłannik „L'Equipe”. Niepotrzebnie ukazały się horoskopy (zupełnie błędne) oraz nietrafna ocena obu drużyn. Podczas, gdy reporterzy sportowi z St. Etienne przestrzegali swą ekipę przed polskim atakiem podając w wątpliwą wartość obrony „Legii” i w ten sposób wywierali nacisk na ASSE, aby za wszelką cenę starał się zdominować przeciwników, w rzeczywistości obrona polska okazała się niezawodna, zaś atak znacznie mniej ruchliwy od francuskiego.

Wynik meczu, który rozegrał się w ten zimny listopadowy wieczór, jest niewątpliwie zasłużonym sukcesem dobrej, inteligentnej, spokojnej i taktycznej gry „Legii”. Jest on jednak również potwierdzeniem dużych walorów ekipy francuskiej, spośród której Bosquier, Broissart, Mitoraj i Keita wyróżnili się szczególnie.

Nie trzeba jednak zapominać, że był to mecz wchodzący w ramy rozgrywek 1/8 finału. Droga do Pucharu Europy jest daleka... Przyszłość pokaże, czy „Legia” będzie w stanie potwierdzić swe dotychczasowe osiągnięcia dalszymi sukcesami.

\*\*\*

W St. Etienne i okolicach mieszka dużo rodzin polskich. Jest nawet wśród nich załóżek życia organizacyjnego, a mianowicie młodzieżowy zespół folklorystyczny „Mazury”. Zespół ten nie zapomniał o meczu. W przeddzień, a następnie w dniu meczu zorganizowano



Młodzież z zespołu „Mazury” w ludowych strojach przed rozpoczęciem meczu w korowodzie tanecznym weszła na stadion

Zdjęcia — Władysław SŁAWNY

Spotkanie ze zwycięską drużyną polską było wielkim przeżyciem dla Rodaków z Saint-Etienne. Toastom nie było końca





# SIEDEM ODPOWIEDZI JOHNA TRZCIŃSKIEGO



John Trzcinski urodził się w Nowym Jorku w dzielnicy Manhattan. Przed wojną przez krótki okres czasu przebywał w Polsce. W 1940 r. wrócił do USA i osiadł na stałe w Buffalo. Ojciec Trzcinskiego wyemigrował z Polski jako mały chłopiec, lecz po śmierci żony, matki Johna, w 1928 roku powrócił do Kraju i został tu na stałe. Obecnie mieszka na ziemiach nadodrzańskich.

J. Trzcinski interesuje się problematyką polonijną i doskonale zna strukturę organizacyjną Polonii amerykańskiej. W czasie ostatniej wojny był jednym z organizatorów Polskiej Armii w Kanadzie. Jako przedstawiciel Polonii amerykańskiej brał udział w kilku spotkaniach prezydenta Roosevelta z generałem Sikorskim w sprawie werbunku do armii polskiej na emigracji. Ostatnio John Trzcinski przebywał w Kraju z serią odczytów o Polonii amerykańskiej.

— Czy Amerykanom nie przysparza kłopotów wymawianie pańskiego nazwiska? — pytamy Johna Trzcinskiego.

— Nigdy z tego czy innego powodu nie miałem zamiaru zmieniać nazwiska, ani go amerykańzować. Oczywiście Amerykanie sami to nazwisko upraszcza. Obecnie w Ameryce nie ma tendencji do zmiany nazwisk. To tylko stara emigracja w pierwszym i drugim pokoleniu zmieniała nazwiska. Obecnie Polacy noszą z dumą polskie nazwiska. Znana była w Ameryce wypowiedź pewnego piosłki stanowego polskiego pochodzenia, Skibińskiego. Przemawiając w parlamencie powiedział: „Ja nie tylko nie zmienię swego nazwiska, ale jestem tak z niego dumny, że w nazwisku mam dwa razy „ski” — na początku i na końcu...”

— Jak przedstawia się w liczbach — zdaniem Pana — obecnie Polonia amerykańska?

— Jest to trudne do ustalenia. Statystyki polskie i amerykańskie podają, że ok. 10 mln. Moim zdaniem jest to liczba niepełna. Zadałem sobie wiele trudu, żeby wreszcie być bliskim prawdy.

Z moich skromnych obliczeń wynika, że w Ameryce obecnie mieszka ponad 12 mln Polaków, względnie Amerykanów polskiego pochodzenia. Właściwie nie ma miasta w Ameryce, żeby nie spotkało się Polaków. Na przykład w takim stanie jak Pensylwania, a jest to stan bardzo duży, nie ma urzędu, w którym nie pracowałby Polak. Na wszystkich większych cementarzach amerykańskich spotyka się tysiące polskich nazwisk.

— Jaki jest stosunek Polonii amerykańskiej do Kraju?

— Stosunek Polonii do Kraju był zawsze dobry. To znaczy szczerzy i serdeczny. Niektórzy z nowej emigracji wojennej chcieli odwrócić tę sytuację, ale nie bardzo im się to udało. Po 1956 roku ci mądrzejsi sami zmienili zdanie, zresztą Polonia zaczęła masowo odwiedzać Polskę. Po powrocie do Ameryki wszyscy przyznawali, że w Polsce wiele zostało zrobione.

— Może coś o Buffalo, mieście stałego pańskiego pobytu?

— W Buffalo mieszkam od dwudziestu lat i czuję się tam dobrze. Zresztą nie jestem sam. Mieszka tu ponad 300 tys. Polaków, jest to 40% ludności miasta. Nasza Polonia ma niebagatelny wpływ na życie polityczne Buffalo. Na ekonomikę jednak większy wpływ mają miejscowi Niemcy. Wynika to z tego, że są po prostu zamożniejsi. Kontrolują oni takie kluczowe przemysły, jak młynarski i browarniany, a trzeba wiedzieć, że największe młyny na świecie znajdują się w Buffalo. Mieszkają tu cztery pokolenia Polaków, ale dopiero trzecie i czwarte pokolenie zaczęło się wybijać. Obecnie mamy już wielu ludzi wykształconych: lekarzy, inżynierów, adwokatów, profesorów... Jest też 14 milionerów pochodzenia polskiego. To właśnie ci wykształceni zajmują stanowiska w aparacie administracyjnym miasta.

— Może parę słów o swych przeżyciach wojennych?

— W 1940 roku przyjechałem z Polski do USA jako obywatel amerykański i zwróciłem się do Rządu Polskiego w Londynie o przyjęcie mnie na ochotnika do Polskiej Armii na terenie Wielkiej Brytanii. Długo czekałem na odpowiedź.

Dopiero po kilku miesiącach dostałem list od szefa Polskiej Misji Wojskowej w Ottawie, że na terenie Kanady będzie tworzona Armia Polska. Szef misji zapytywał w liście: „Czy mógłbym pomóc przy organizowaniu tej armii?” Oczywiście pojechałem natychmiast do Ottawy i tam zgłosiłem się do płk. Arciszewskiego; byłem pierwszym ochotnikiem i dostałem legitymację nr 1. I tak zaczęła się organizacja Polskich Sił Zbrojnych w Kanadzie w drugiej wojnie światowej.

— Z jakiego tytułu towarzyszył Pan gen. Sikorskiemu w rozmowach z prezydentem Rooseveltem?

— Jako przedstawiciel Polonii amerykańskiej i z tytułu moich prac organizacyjnych przy werbunku do wojska w 1941 r. brałem udział w takich

dwóch spotkaniach. Prezydent Roosevelt w zasadzie wyraził zgodę na rekrutację Polaków do nowo powstającej armii w Kanadzie. Prosił jednak, aby oficjalnie nie nazywać tego rekrutacją. Rozumieliśmy obawy prezydenta. Ameryka nie była wtedy w stanie wojny. Mogły więc podnieść się głosy krytyczne w Kongresie Amerykańskim, w którym przecież nie brakowało kongresmenów pochodzenia niemieckiego. Prośba prezydenta została spełniona. Zaczęliśmy we wszystkich miastach amerykańskich tworzyć Komitety Przyjaciół Żołnierza Polskiego. Nie były one niczym innym jak normalnymi biurami werbunkowymi do Polskiej Armii w Kanadzie. Często odwiedzaliśmy większe skupiska Polaków zamieszkanych w Ameryce. Sam gen. Sikorski miał wiele takich spotkań. Niestrudzony był także mistrz Paderewski, który na parę miesięcy przed śmiercią przemawiał do Polaków na wielkich zebraniach w Nowym Jorku, namawiając ich do wstępowania w szeregi Polskiej Armii w Kanadzie. Zgłosiło się ponad 7 tys. ochotników.

Ilościowo nie był to sukces, propagandowo jednak miało to wielkie znaczenie. Nie zapominajmy, że prawie z każdej polskiej osady, miasteczka czy miasta — służył w armii przynajmniej jeden przedstawiciel polskiej Polonii. I tak po paru miesiącach powstała Polska Armia w Kanadzie, a dowódcą jej został gen. Bronisław Duch, który w 1940 roku był dowódcą I Dywizji Grenadierów we Francji. Wszyscy ochotnicy musieli przybyć do Kanady, gdzie otrzymywali przeszkolenie rekruckie. Ubierni byli w mundury kanadyjskie, otrzymywali żółtą kanadyjską i wyposażenie armii włącznie z bronią było też kanadyjskie. Po zakończeniu prac rekrutacyjnych wstąpiłem do Kanadyjskiej Szkoły Nawigacyjnej.

— Czy była to szkoła oficerska?

— W Kanadzie jest to inaczej pomyślane. Po ukończeniu szkoły, żeby otrzymać stopień sierżanta, trzeba uzyskać przynajmniej 70% punktów na sto możliwych. Jeżeli ktoś zdołał uzyskać 85%, automatycznie otrzymywał

szlify oficerskie. W szkole tej było nas sześciu Polaków, ale tylko czterem udało się otrzymać powyżej 90% punktów. A więc tylko czterech nas zostało oficerami. Po ukończeniu szkoły przyjechał do nas płk Sznuć z Ottawy. Był on nowym szefem Polskiej Misji Wojskowej na miejsce płk Arciszewskiego. Ku naszemu wielkiemu zdziwieniu powiedział nam: „Panowie, według polskich przepisów wojskowych nie możecie być oficerami. Żeby być polskim oficerem, trzeba wpiersi skończyć podchorążówkę. Dlatego rozkazuję wam natychmiast zdjąć oznaki oficerskie, a ja w imieniu Polskiej Rzeczypospolitej mianuję was starszymi strzelcami...”

Po przeszkoleniu armia wyjechała do Anglii i tam została rozparcelowana. Część trafiła do piechoty, inni do lotnictwa RAF i do Marynarki Wojennej. Mnie przydzielono do lotnictwa. Byłem nawigatorem. Ale przeżyć wojennych nie będę panu opowiadał.

Nie lubię wracać do tamtych dni. Po wojnie swój mundur i wszystkie pamiątki spaliłem w piecu. Mogę panu powiedzieć, że przy końcu wojny znalazłem się w armii amerykańskiej na terenach Niemiec a zwalnianie z wojska do cywila odbywało się na zasadzie punktacji.

Każdy żołnierz, który służył w armii i przebywał na terenach USA za jeden miesiąc służby otrzymywał jeden punkt. Żołnierz, który służył w wojsku poza USA otrzymywał dwa punkty za jeden miesiąc. Za każdy medal przyznawano pięć punktów. A po wojnie, żeby dostać się do cywila, potrzebne było 85 punktów. Ponieważ Amerykanie zaliczyli mnie służbę w Wojsku Polskim, nabrałem aż 111 punktów.

Na tym przykładzie chciałem opowiedzieć panu, jakie było moje zaangażowanie w tej wojnie. Proponowano mi pozostanie w armii na bardzo dobrych warunkach, ale ja miałem już dość wojska. Byłem zmęczony wojną. Więc zwinąłem manatki i wróciłem do Buffalo.

Rozmawiał:

Krzysztof PROCHNICKI

## Po tragicznym wypadku w Pecquencourt

### ŻAŁOBA NIE TYLKO WŚRÓD GÓRNIKÓW

W piątek 30 listopada br. o godzinie 7.30 w jednym z chodników KOPALNI BARROIS W PECQUENCOURT (NORD), runął strop, przysypując czterech górników. Po dwudniowych wysiłkach ratownicy zdołali w nocy z niedzieli 31 listopada na poniedziałek 1 grudnia wydostać ze zwałiska zwłoki naszego Rodaka JÓZEFA ZIELEŃSKIEGO, a następnie zwłoki trzech pozostałych ofiar katastrofy — MAURICE BERTON, EDWARD ULRYKA i KAZIMIERZA FISZKOWSKIEGO. Przed samą Barburką okrutny los okrył stary, opisany przez Emila Zolę w „Germinalu” region górniczy Douai i całe w ogóle zagłębie Nord i Pas-de-Calais kirem żałoby.

Buntujemy się przeciw każdej śmierci, każda śmierć zawiera jakiś element wywołujący sprzeciw. Ale śmierć górników w kopalni wywołuje w nas sprzeciw o wiele większy aniżeli wszelka inna śmierć, wydaje się nam ona stokroć bardziej okrutna, stokroć bardziej niesprawiedliwa niż na przykład śmierć spowodowana chorobą czy wypadkiem samochodowym. Bo też w górnikach widzimy, i słusznie, jednych z najwspanialszych i najodważniejszych na świecie ludzi. Wiemy, że mimo postępów techniki, praca ich jest nadal niezwykle ciężka, i że nadal narażają oni w każdej chwili swoje życie. Dlatego właśnie ich śmierć przyprawia nas o tak wielki żal, o tak wielką gorączkę. Dlaczego — pytamy — ta ziemia, z której wydobywają oni dla nas ciepło, światło i dziesiątki innych rzeczy — dlaczego ta ziemia górnicza jest taka niesprawiedliwa, taka niewdzięczna? Dlaczego zabija tych dzielnych i odważnych ludzi podstępem, zniwiedza, i to w kwiecie wieku? Dlaczego pozbawia ich nawet obecności przyjaznej dłoni, która zamknęłaby im oczy? Czy na to nie zasłużyli — oni — najdzielniejsi z ludzi?

Smutna była w tym roku Barburka na Nordzie. Smutni byliśmy także i my wszyscy w „Tygodniku”, którzy mamy wielu przyjaciół wśród górników i dobrze znamy ich radości i kłopoty, i podobnie jak cała brać górnicza i wszyscy obecni w pierwszych dniach grudnia w Pecquencourt dziennikarze, z głębokim żalem myśleliśmy o ofiarach katastrofy — o trzydziestoletnim KAZIMIERZU FISZKOWSKIM, który osierocił czworo dzieci, o JÓZEFIE ZIELEŃSKIM, którego śmierć zabrała w czterdziestym pierwszym roku życia i który zostawił żonę i dziecko, o trzydziestoletnim EDWARDZIE ULRYKU, który również zostawił żonę i dziecko, o MAURICE BERTON — i o ich pograżonych w bólu bliskich.

Rodzinom zabitych w Pecquencourt górników składamy wyrazy szczerzego współczucia. A Im, którzy odeszli od nas na zawsze, niechaj ta surowa północna ziemia, w której wnętrzu tyle się napracowali, lekką będzie!

Przedstawiciele Konsulatu Generalnego PRL w Lille złożyli kondolencje rodzinom polskich górników oraz wzięli udział w pogrzebie.

## ECHA WIELKIEGO MECZU

Dokończenie ze str. 20-21

w salach kina i kawiarni „Pax” spotkania towarzyskie. Umożliwiły one miejscowej Polonii dowiedzenie się wielu ciekawych wiadomości o „Legii” i jej długiej, 53-letniej historii. Opowiadał o tym dyr. Stanisław Pękala, członek prezydium zarządu oraz liczni dziennikarze, przybyli z drużyną do St. Etienne — wśród nich dawni gracze tego klubu. Spotkanie z „Legią” uzupełnione było seansem ciekawego filmu turystycznego „Jedno lato w Polsce”. Nie obyło się oczywiście i bez tradycyjnej lampki wina.

Rodacy z regionu St. Etienne przyjęli z radością sukces drużyny warszawskiej. Śpiewano hymn narodowy i „Sto lat” piłkarzom. Wypytywano się ich, jak im się żyje w Kraju, jakie mają nadzieje na przyszłe mecze w 1/4 Pucharu Europy. Ale bezstronnie stwierdzić trzeba, że życzliwość i sympatia dla „Legii” nie wywoływały wśród Polaków z St. Etienne najmniejszego szowinizmu. „Que le meilleur gagne!”

— mówiono we wtorek wieczorem, a w środę, po meczu, z sympatią i pewnego rodzaju współczuciem wspominano zawziętą walkę ambitnej, dynamicznej drużyny ASSE.

Zresztą inaczej być nie mogło. Mieszkając w tych okolicach od dziesiątków lat, Polonia wrosła w całość społeczeństwa miejscowego, żyje jego troskami i jego radościami. Czyż można było obojętnie śledzić wysiłki drużyny z St. Etienne, która została mistrzem Francji i która tak dzielnie walczyła dotąd o Coupe d'Europe? Zresztą część członków drużyny ASSE to Polacy z pochodzenia: Bereta, Polny, Roland Mitoraj... Jedna z gazet miejscowych stawiając sobie pytanie, jakie nastroje panują w przeddzień meczu wśród ludności pochodzenia polskiego, napisała: „Le coeur de 4.000 Stéphano-Polonais balance...”

Bardzo miłym momentem przed meczem było wręczenie przez zespół „Mazury” kwiatów wszystkim graczom obu drużyn. Gest ten wywołał aprobatę całej publiczności.



# PIERWSZA WIGILIA we FRANCJI

**N**O I CO, ludziska kochane? Zimno, no nie? Dopiero co paradował człowiek rozebrany do rosołu, a tu już Gwiazdka za pasem! Jak ten czas leci! Ale nie tylko czas pędzi z zawrotną szybkością. Ja też ostatnio latam po kolonii z niewieszonym językiem i uwijam się jak mucha w ukropie, i u Was w domu pewnie też alarm, rwetes, i urwanie głowy, prawda? Z mojej to zrobiła się prawdziwa tygrysyca. Nic, ino się psiajucha złości i komenderuje: „Walek, idź po mak, ale tak na jednej nodze!”, „Waloś, leć no po miodzie, ale czasem nie wstępuj mi do gościńca, bo słułkę cię tym tu oto wałkiem na kwaśne jabłko!”, itd., itd. Denerwuje mnie to głupie gadanie — no bo co to za mowa: czy to ja jestem jeszcze taki gibki, jak jaka siusiumajtkka, żeby latać na jednej nodze? Albo czym to ja ojca i matkę zabił, żeby mi już nie wolno było sobie od czasu do czasu jednego wytutkać, czy co? — ale siedzę cicho jak mysz pod miotłą, bo z babami lepiej przed Świętami nie zaczynać. Zresztą, ja dobrze to jej zdenerwowanie rozumiem. Ona po prostu chce — jak każda kobieta — żeby w Wigilię i w Święta zarówno dom nasz jak i stół wyglądały tip-top. No i z pewnością wszystko będzie tip-top. Dom będzie lśnił od czystości, placki, babki i makowce będą takie, że palce lizać, słowem, rozkosznie zapachnie w chałupie Gwiazdką. Ja, kiedy już wszystko zapięte jest, jak to się mówi, na ostatni guzik, kiedy już poczuje tę świąteczną aurę, to aż posapuje sobie z zadowolenia. Myślę, że zadowolenie to wspólne jest wszystkim na świecie chłopom. A że się tam trochę na Was, kobietki, przed Świętami boczmy, że mruczmy i psiozcmy na Was — to po prostu dlatego, że taka już jest nasza chłopiska natura.

Kiedy tak chodzę po kolonii za sprawunkami na Święta, kiedy patrzę na krzątanie się mojej po kuchni i wszystkich innych izbach i cieszę się na widok zgromadzonych zapasów, staje mi przed oczami moja pierwsza Wigilia na ziemi francuskiej. Było to w roku bodajże dwudziestym drugim. Byłem świeżo upieczonym emigrantem. Do Francji przyjechałem w listopadzie — sam — moja z dziećmi miała przywędrować dopiero w parę miesięcy później (tak to wtedy było, chłop jechał pierwszy i wysyłał kobiecie do Polski pieniądze, i potem dopiero kobieta wybierała się do Francji). Pamiętam, że podróż trwała dziesięć dni. W kolonii, do której zostałem skierowany, pełno już było takich samych jak ja samotnych chłopów. Po francusku żaden z nas nie umiał i nic nam się we Francji nie podobało. Po szychcie wiara waliła do Muszyńskich.

Muszyński to był taki sam górnik jak i my, ale on już zdążył być sprowadzić z Polski swoją kobietę. Ponieważ miał żyłkę handlową, więc poży-

czył od paru kolegów kilkaset franków i otworzył w swoim baraku interes, jak to się wtedy mówiło, czyli sklep spożywczy, oraz estaminet, czyli gościniec. Jako że ze sklepikarzami francuskimi mało kto mógł się wtedy porozumieć, więc wszyscy zaczęli chodzić do Muszyńskich, tym chętniej, że można było u nich także zalać robaka i że Muszyńska — kobieta przy kości, która też miała nie byle jaką żyłkę do interesów — jak ją tam który gdzie uszczypnął czy poklepał, to tylko śmiała się i filuternie mrugała oczyma. Ile tam u tych Muszyńskich tacy samotni emigranci jak ja wypili gorzałki i zostawili pieniądze, tego by i na byczej skórze nie spisał. A jak już który był dobrze ululany, to Muszyńska zamiast gorzałki lała mu do kielicha wodę. Tak się ludzie dorabiali. Tak w tamtych pionierskich czasach było.

Ja mieszkałem w pobliżu kopalni. Mieszkanie dzieliłem z nieboszczykiem Piotrem Zielińskim, którego zwano Emigrantem, i z Frankiem Błaszczkiem, który zaraz po wojnie zginął w wypadku kopalnianym. Mebli nijakich nie mieliśmy: spało się na połowych łózkach, siedziało się na przyniesionych z kopalni kłocach. W Wigilię — pamiętam — po zakupy do Muszyńskich poszedł Emigrant, a my z Frankiem zabraliśmy się do sprzątnięcia. Kiedy Emigrant wrócił, wszyscy trzej odświeżnie się ubraliśmy i zaczęliśmy czekać na pierwszą gwiazdę. Czekaliśmy długo. Minęła szósta, potem siódma, wreszcie ósma — i nic. Całą kolonię spowiła gęsta mgła. Zrobiło się nam okropnie markotno. Pierwszy odezwał się Emigrant: „Jakże to tak — bez gwiazdki?” — powiedział smutnym głosem. A Franek dodał zaraz: „No i bez opłatka...” Bo opłatka też nie mieliśmy: w kolonii nie było jeszcze wtedy polskiego księdza. W końcu ja wziąłem kawałek chleba, sznyczkę, jak to my mówimy, zbliżyłem się do Emigranta, zaczęliśmy dzielić się tą sznyczką. Łzy kapały nam z oczu jak z jakiego źródlika. Tacy się czuliśmy biedni i opuszczeni, że nie wiem. Ja myślałem o Polsce, o kobiecie i o dzieciach, no i oni pewnie też. Potem zaczęliśmy jeść przyniesione przez Emigranta wędzone śledzie i popijać gorzałkę. Tacy byliśmy smutni, że wcale nam ta wódka do głowy nie szła, choć bardzo chcieliśmy upić się, żeby o tym całym naszym sieroctwie zapomnieć. Emigrant kłął i wyrzekał na polskich panów, na nasze tułactwo, na cały w ogóle świat, Franek cały czas powtarzał: „I nawet na pasterkę człowiek nie może pójść!”, a ja przysięgałem, że po Nowym Roku spakuję manatki i wrócę do Polski...

Nie wróciłem, bo po co miałem wracać, kiedy nie było wtedy dla nas w Polsce ani pracy, ani chleba. Zostałem tutaj i pokochałem Francję, jak cała nasza polska biedota. Ale zanim wrostem we Francję, przeżyłem niejedną ciężką chwilę.

Myślę, że warto, aby nasze wnuki i nasi Rodacy w Polsce wiedzieli, że my, starzy emigranci, nie pijaliśmy ptasiego mleka i że życie nas po głowie nie głąskało, i dlatego właśnie opisałem tę swoją pierwszą Wigilię na ziemi francuskiej.

Zyczę Wam wesolych Świąt.

WALENTY GAWĘDA

## Najlepiej

a  
j  
t  
a  
n  
i  
e  
j

kupisz

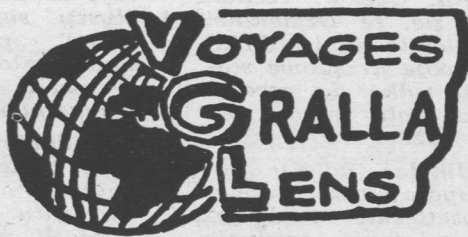
W DOMU

TOWAROWYM

NOBAL

9, RUE DE PARIS  
62, LENS

LENS



LICENCE 530  
Koresp.:

# AGENCE DE VOYAGES GRALLA

DYREKCJA 62, LENS Face à la Gare Tél. 28-24-03 i 28-16-14

ODDZIAŁY:

**BRUAY-EN-ARTOIS**

Voyages GRALLA  
35, rue Ch. Marlard  
62, BRUAY-en-ARTOIS  
Tel. 26-46-60

**PARYŻ (2e)**

Voyages GRALLA  
48, rue Vivienne  
75, PARIS (2<sup>e</sup>) Tel. 508-50-42  
Métro: Montmartre

**METZ**

Voyages GRALLA  
43-45, rue Serpennoise  
57, METZ, Tel. 68-24-01

organizuje

INDYWIDUALNE I GRUPOWE WYJAZDY DO POZNANIA, WROCŁAWIA I KRAKOWA  
W ODWIEDZINY DO RODZIN ORAZ 3—4-TYGODNIOWE LUB 2-MIESIĘCZNE

## z LENS, LILLE, PARYŻA i METZ

- OD WIELU LAT WYSYŁAMY BEZ OPŁATY CŁA PACZKI DO RODZIN ORAZ PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI
- BIURO PODRÓŻY GRALLA załatwia wszelkie formalności paszportowe, wize, wizy pobytowe i tranzytowe itp.

**Biuro Podróży GRALLA jako oficjalny i akredytowany przedstawiciel linii LOTNICZYCH, MORSKICH i KOLEJOWYCH posiada i wystawia:**

- WSZELKIE BILETY SAMOLOTOWE, OKRĘTOWE i KOLEJOWE ZE ZNIŻKAMI URLOPOWYMI, RODZINNYMI I TURYSTYCZNYMI.
- BILETY KOLEJOWE DO WSZYSTKICH STACJI W POLSCE.
- Wystawianie na miejscu BONÓW ORBISU oraz BONÓW BENZYNOWYCH z 30% ZNIŻKĄ.
- Sprowadzamy krewnych z Polski do Francji na WAKACJE.
- Załatwiamy wszelkie tłumaczenia oficjalne itp.



**BANQUE ROY**

64, rue Faidherbe — LILLE

■ ZAKUP I SPRZEDAŻ ZŁOTA  
(ANONIMOWO)

■ GIEŁDA (BOURSE)

■ WYMIANA OBCYCH WALUT  
(CHANGE)

Nasz specjalny  
Oddział Nieruchomości  
załatwia sprawy:

- POŻYCZEK
- KUPNA  
I SPRZEDAŻY  
DOMÓW

**LION DES FLANDRES**

„Chez Léon”

**LEON ZWOLIŃSKI**

7, Place des Patiniers, 59, Lille Tél. 55.16.39

- ▶ POTRAWY PRZEDNIEJ JAKOŚCI
- ▶ ORYGINALNE POLSKIE TRUNKI WYBOROWE
- ▶ RENDEZ-VOUS POLAKÓW



Dyrekcja: Stanisław BRONIARZ — Tłumacz przysięgły  
8, rue du Pont des Comines 59 — LILLE — Tél. 55.11.05  
Oficjalny przedstawiciel „Orbisu”

**Załatwia:**

- BILETY lotnicze — okrętowe — kolejowe po cenach oficjalnych — zniżki urlopowe — rodzinne i turystyczne
- Dla AUTOMOBILISTÓW sprzedaje mapy samochodowe, BONY HOTELOWE i BENZYNOWE z 30% zniżką w Polsce
- PRZEKAZY PIENIĘŻNE do Kraju po KORZYSTNYM KURSIE
- PACZKI DO POLSKI bez CŁA (żywność, tekstylia węgiewiel)
- SPROWADZANIE KREWNYCH z Polski do Francji na urlop po najtańszych cenach
- TŁUMACZENIA urzędowe, porady oraz wyrabianie dokumentów podróźnych i wiz.

PODRÓŻE INDYWIDUALNE DO WSZYSTKICH  
KRAJÓW ŚWIATA  
WYCIECZKI ZBIOROWE DO POLSKI W 1970

WYJAZDY ODBYWAJĄ SIĘ W KAŻDĄ SOBOTĘ  
z LILLE, VALENCIENNES, St. QUENTIN-AULNOYE  
PARYŻA I METZ

**„MISS COUTURE”****A. HUDYKA**

Magazyn: 55, rue de Bouvines LILLE (Fives)

Siedziba: 199, rue de Paris LILLE,

Telefon: 53-10-03

Konfekcja męska,  
damska i dziecięca

■ Suknie ■ spódnice

■ swetry ■ bluzki

■ popeliny ■ tergal

PIERZE ▲ WSYPY ▲ POSZWY ▲ DAMASY

**Ceny niskie**

Na żądanie wysyłamy próbki

★ Metamorfoza świętego Mikołaja ★ Prawo do życzeń ma każdy

**Tygodniowa  
GAWEDA**

★ WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO!

W latach powojennych w Polsce Ludowej święty Mikołaj dostał przejściową dymisję. Co prawda prywatnie przychodził w dalszym ciągu do większości grzecznych dzieci z podarunkami, ale czynił to niejako nieoficjalnie. W funkcjach urzędowych zastąpił go Dziadek Mróz. Ale Mikołaj — to uparty staruszek, cierpliwy i doświadczony. Czekał, czekał, aż doczekał się, że Dziadkowi Mrozowi znudziło się, i Mikołaj wrócił na swoje urzędowe stanowisko, nie tylko do grzecznych dzieci, ale nawet do grzecznych gazet.

Święty Mikołaj należy bowiem do obyczajowości uświęconej wieloletnimi tradycjami. A grudniowe tradycje świąteczne są nawet starsze od Mikołaja i wszystkich jego kolegów. Polski rok obrzędowy rozpoczynał się bowiem w przedchrześcijańskiej Polsce tzw. Godnymi Świętami, zwanymi w skrócie Godami. Było to stare pogańskie święto, które przemieniło się potem w Boże Narodzenie. Również znane nam właśnie z chrześcijańskiego obyczaju kołędowanie sięga w swych prapoczątkach starego obrzędu jeszcze z okresu wcześniejszego. Był to obrzęd przede wszystkim składania życzeń. Prawo do życzeń miał każdy, bez względu na stan, a nawet wyznanie.

To przetrwało. Dziś w Polsce w Wigilię nie tylko w fabrykach, w biurach i urzędach, ale i na ulicy, w tramwaju, w autobusie w przeddzień świąt Bożego Narodzenia, na każdym kroku widać obrazki ściskających sobie ręce i całujących się z dubeltówki ludzi, składających sobie życzenia: „Wszystkiego najlepszego”, „Zdrowia, panie, przede wszystkim zdrowia, bo to jest najważniejsze”, „Szczęścia, pociechy z dzieci, pogody ducha”, „Wesołych, zdrowych świąt”, „Aby ten rok był lepszy od poprzedniego, zawsze lepszy” i tak dalej. Ludzie są sobie w tym czasie przychylni, mili dla

siebie, zda się, codzienne troski i kłopoty opadają, stają się nieważne. Ba, nawet w zatłoczonych tramwajach i autobusach, tym bardziej właśnie w tym dniu zatłoczonych i niewygodnych, ponieważ mnóstwo pasażerów obciążonych jest mnóstwem paczek z wiktuałami na stół wigilijny i z podarkami pod choinkę — króluje uśmiech; znacznie częściej słyszy się słowa „przepraszam”, „proszę uprzejmie”, a nawet młodzi ludzie z brodami ustępują miejsca bezbrodym staruszkom!

A dopiero w domu! Tam, gdzie dzieci są jeszcze małe, choinka musi być obowiązkowo do sufitu, co w nowych mieszkaniach, nie tak znowu wysokich, nie jest specjalnie trudne. Obowiązkowe zamieszanie z tłumionym gwałtownie miejscowym pożarem w wyniku zapalenia się od świeczki czy zimnych ognia „anielskiego wosa” ustępuje w momencie, gdy wszyscy, cała rodzina, siada do wigilijnego stołu, gdy łamią się opiatkiem, składając sobie wzajemnie życzenia. Bo Boże Narodzenie jest przede wszystkim świętem rodzinnym. Koleje i Polska Komunikacja Samochodowa są w dniach przedświątecznych przeładowane. Rodziny, które przez cały rok nawet nie tylko nie widują się, lecz również rzadko do siebie piszą, czują w tym czasie gwałtowną potrzebę spotkania się, zobaczenia, pogadania o minionym roku i planach na przyszłość, okazania sobie serdeczności.

Takie to już święto, w którym — jak w dawnych pogańskich czasach — uczestniczą wszyscy. Wierzący, niewierzący, inaczej wierzący, cały naród. Dobrze to święto, jakoś człowiekowi potrzebne. Kochani, pozwólcie zatem, że i Wam, wszystkim miłym Czytelnikom, znajomym i nieznanym, a mimo to bliskim, złożę najlepsze życzenia Wesołych i zdrowych Świąt Wasz

MARIAN



## SERDECZNE ŻYCZENIA ZUPRO

Zarząd Główny Związku b. Uczestników Polskiego Ruchu Oporu w Francji składa swym CZŁONKOM i ich RODZINOM, SYMPATYKOM, BRATNIM ORGANIZACJOM, KOMBATANTOM POLSKIM w Kraju i za granicą serdeczne życzenia WESOŁYCH ŚWIAT i SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU.

Za Zarząd:

Sekretarz Generalny  
(—) mec. Denizart

Prezes  
(—) Paweł Poziemski

## STOWARZYSZENIE B. UCZESTNIKÓW POLSKIEGO RUCHU OPORU w FRANCJI — ZUPRO w PARYŻU

zaprasza Rodaków na

## BAL SYLWESTROWY

w środę, dnia 31 grudnia 1969 roku

w salonach Merostwa 4 Dzielnicy Paryża Place Baudoyer,  
Metro: Hôtel de Ville

Orkiestra prof. Daniela Krawczyka

Bufet własny

## ŻYCZENIA

### ŚWIĄTECZNO-NOWOROCZNE

Zarząd Główny de la „Fédération des Combattants Alliés en Europe” przesyła ORGANIZACJOM KOMBATANTÓW alianckich w Europie i ich RODZINOM, SYMPATYKOM serdeczne życzenia WESOŁYCH ŚWIAT BOŻEGO NARODZENIA i SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU.

Président de la Fédération des Combattants Alliés en Europe

(—) Paweł Poziemski

## „OPLATEK” ZUPRO w ROUBAIX

Związek b. Uczestników Polskiego Ruchu Oporu w Francji (ZUPRO) staropol-

skim zwyczajem zaprasza członków Związku wraz z rodzinami na tradycyjny oplatek, który odbędzie się w niedzielę, dnia 28 GRUDNIA 1969 roku O GODZINIE 16 w lokalu Hôtel des Mutilés 3, rue de l'Espérance w Roubaix.

ZARZĄD



Z ŻYCIA

RÓŻNYCH

KOLONII

### NAGRODY MUZYCZNE

**ST. VALLIER.** Z okazji święta patronki muzyki odbyło się tutaj wręczenie nagród za tegoroczne wyniki w Ecole Municipale de Musique. W klasie CM dyplom otrzymała Anna Idzik, w klasie CM-2 Jean-Paul Beplik, w klasie CS-2 Yvon Pietraszko, Jean-Marc Borowski, Pascal Paszek. Wszyscy oni otrzymali również nagrody w klasie instrumentacji.

**LIÉVIN.** Tradycyjnym zwyczajem tutejsza szkoła muzyczna zorganizowała ostatnio

święto z okazji dnia patronki muzyki, podczas którego rozdano dyplomy za dobre wyniki. Otrzymali je m.in. na kursie „initial” Micheline Jędraszek, na kursie „préparatoire” Muriel Idkowiak, na kursie „élémentaire” — Philippe Borowiec, François Markwicz, Fryderyk Czeslewski i Marie-Dominique Idkowiak.

### JUNICODE

**NOYELLES-sous-LENS.** Około 500 dzieci szkolnych stanęło do konkursu regionalnego w zakresie znajomości przepisów ruchu drogowego. W szkole Jean Moulin dla chłopców J.-Pierre Przybylski zajął w konkursie pierwsze miejsce przed Michałem Pawłowskim, a dla dziewcząt dyplom otrzymała Katarzyna Przybylska i Annick Mostowy. W Centre Garçons et Filles wyróżnili się bardzo dobrymi wynikami: Patrick Tarczyński, Fryderyk Zimny,

### DEUXIEME CHAINE — COULEUR

(C) — couleur, (CN) — couleur et noir et blanc, émissions sans aucune mention sont exclusivement en noir et blanc.

ACTUALITES REGIONALES ET COURT METRAGE — 19.00 (sauf jeudi)

COLORIX — EMISSIONS POUR LES JEUNES (C) — 19.20 (jeudi à 19.00)

24 HEURES SUR LA II — (informations TV Couleur) — 20.30.

### MERCREDI 24 DECEMBRE

18.10. (C) Le monde merveilleux de la couleur — „Elsa et Yani chiens errants”.

19.40. (C) „Ma sorcière bien-aimée” nr 13.

20.10. (C) Les Animaux du monde. Aujourd'hui: „Les Animaux d'Etrennes”.

21.05. (C) Les contes du sapin vert — une émis. du Service des Variétés, réal. Jean-Paul Sassy.

21.20. (C) „L'Envolée belle” d'Alexandre Rivemalle et Jean Prat, réal. Jean Prat.

22.55. (C) Paix sur la terre aux hommes de bonne volonté — une émission de Frédéric Rossif, réal. Frédéric Rossif et Jean-René Vivet.

23.55. (C) Noël Meditation.

24.00. (C) Show Nana Mouskouri — une émis. de Robert Velin, réal. Pierre Jourdan.

### JEUDI 25 DECEMBRE

14.45. (C) Notre Dame des Chemins — émission et scénario de Marianne Oswald, réal. Gérard Pignol.

15.30. (C) „Le Voyage en ballon” — un film d'Albert Lamorisse, musique: J. Prodomides.

16.50. (C) „Grand Mère Noël” — une émis. de J. Chouquet et Dupont réal. François Chatel.

19.40. (C) „Ma sorcière bien-aimée” nr 14.

20.10. (C) Le mot le plus long.

21.05. (C) Les contes du sapin vert — réal. Jean-Paul Sassy.

21.20. (C) „Le Songe d'une Nuit d'Été” de Shakespeare, adapt. Jean-Christophe Averty, réal. Jean-Christophe Averty.

23.20. (C) Coda Spécial Noël — une émis. du Serv. de la Recherche ce soir „Hiver” — un film de Piotr Kalmer.

„Nuages fous” — un film d'Henri Lacam.

### VENDREDI 26 DECEMBRE

18.10. (C) Le monde merveilleux de la couleur.

19.40. (C) Jouez sur deux tableaux — une émis. de Fernande Bergerac.

20.10. (C) L'Amour le Part.

21.05. (C) Les contes du sapin vert.

21.20. (C) „D'Artagnan” nr 2 „Młody” d'après „Les Trois Mousquetaires” d'Alexandre Dumas, réal. Claude Barma.

22.50. (C) Dim, Dam, Dom 70 — une émis. de Daisy Galard.

23.50. (C) A propos de Michel Droit.

## AU FUMET SAVOUREUX

### Piernik ou pain d'épices



L'atmosphère est aux fêtes: choix des cadeaux, élaboration des menus, la pensée de quelques jours de congé (parler de détente n'est pas le terme adéquat pour cette période de l'année)... Le sapin des enfants sera bientôt en place et répandra dans la maison cette bonne odeur de résine. La féerie demande de l'organisation, le Réveillon aux bougies verra des visages radieux. En attendant la cuisine s'anime déjà et accumule les réserves.

Que diriez-vous d'un bon „piernik” ou pain d'épices? Rien de commun avec le pain d'épices acheté pour le goûter des enfants!

Travaillez ensemble le contenu d'une tasse de sucre une cuillerée à soupe de beurre et quatre jaunes d'oeufs, jusqu'à l'obtention d'une crème. Ensuite ajoutez un verre de miel à cette crème et travaillez de nouveau. Versez un verre de rhum, une petite cuillerée de bicarbonate, un peu de noix de muscade, des amandes effilées, des pelures d'orange et de citron confites, le blanc de quatre oeufs montés en neige et quatre verres de farine. Mélangez bien délicatement le tout, versez dans une forme et laissez au four de trois-quarts d'heure à une heure.

Un autre procédé consiste à faire cuire trois grands verres de miel jusqu'à ce qu'il prenne de la couleur, sans qu'il ne brûle, toutefois. Le miel refroidi, ajoutez-y cinq jaunes d'oeufs, une cuillerée de bicarbonate, une demi-livre de farine, quelques clous de girofle pilés, un peu de poudre de cannelle et, pour finir, le blanc des oeufs battu en neige. Comme pour la première formule, mélangez bien le tout, versez dans une forme et laissez au four trois-quarts d'heure ou plus.

Si je vous dis que la plus grande spécialité de pain d'épices se situe à Toruń, si je vous rappelle que c'est la ville de Kopernik, une cité fort jolie et ancienne à la vie estudiantine animée, vous aurez envie d'emporter — lors d'un prochain voyage en Pologne — un de ces pains d'épices représentant carrosse ou personnage, élément décoratif fort beau dans sa couleur brûlée et utilisé comme tel, au même titre qu'une céramique. En attendant goûtez le piernik de votre fabrication, je sais bien que vous ne resterez pas insensible à son arôme et à sa saveur.

ERNESTINE DODUE

Serge Senyk, Laurent Rybczyński, Brigitte Mazur, A.-Marie Lengowska, Yvette Fleszar, Brigitte Rybczyńska i Edith Mazur.

### NAGRODY ZA DOMY PRZYBRANE KWIATAMI

**LABUISSIERE.** W dużej, reprezentacyjnej sali miejskiej odbyło się wręczenie nagród za tegoroczny konkurs na domy przybrane kwiatami. P. Emil Rybarczyk zdobył nagrodę 6, a p. Andrzej Sobociński — 11.

### ŚWIĘTO KATARZYNEK

**MONTCEAU-Ies-MINES.** Z okazji święta Katarzynek wyróżnienia za pomysłowe stroje otrzymały w zakładach GERBE m.in. p. Jeannette Zabawska, Teresa Kapelska, Magdalena Stachel.

**FRAIS-MARAIS.** Noc Katarzynek w dzielnicy La Solitude skończyła się pełnym sukcesem p. Annick Klemczak i p. Danieli Kupiec, które otrzymały wyróżnienia za oryginalne stroje.

### NOWE ZARZĄDY

**MONTCEAU - Ies - MINES.** Członkowie tutejszego klubu sportowego „C.S. Orion” odbyli ostatnio swoje doroczne walne zebranie. Po ożywionej dyskusji do nowego zarządu zostali wybrani m.in. p. Robert Wiesło — jako sekretarz, p. Józef Konieczny i p. Ludwik Skorupiński — jako asesorzy.

### DAWCY KRWI

**VENDIN-le-VIEIL.** Podczas walnego zebrania tutejszej sekcji dawców krwi srebrne medale otrzymali: p. Wanda Mycko i p. Monique Sosnowska.

### B. DOWOJNA-BIENAIME

TŁUMACZKA  
PRZYŚIĘGŁA  
PRZY WYŻSZYCH  
SĄDACH W PARYŻU

Tłumaczenia urzędowe  
ważne w całej Francji

23, quai de la Tournelle  
PARIS (5<sup>e</sup>)

TELEFON: ODEon 41-17  
METRO: PONT-MARIE

## TV DU 24 AU 26 DECEMBRE 1969

### PREMIERE CHAINE

TELE-MIDI — 13.00, TELE-SOIR — 19.45, TELE-NUIT — à la fin du programme.

MIDI-MAGAZINE — 12.30 et 13.15 la suite (mercredi et vendredi)

DERNIERE HEURE — 18.15 (mercredi et vendredi)

LE SCHMILBLIC — 18.20 (mercredi et vendredi)

POUR LES PETITS — 18.55 (mercredi et vendredi)

ACTUALITES REGIONALES — 19.00 (jeudi et vendredi)

LE PETIT MONDE DE MARIE PLAISANCE — 19.25 (jeudi et vendredi)

### MERCREDI 24 DECEMBRE

13.30. Cours de la Bourse.

16.00. Emissions pour les jeunes: C'est Noël.

18.40. La piste aux étoiles — réal. Pierre Tchernaia.

20.20. „L'Arbalete de Noël” — une émis. de Guy Lux et Jean-Paul Blondeau, présenté par Guy Lux.

20.35. Au théâtre ce soir: „L'Amour de quatre colonels” de Peter Ustinov, mise en scène: Jean-Pierre Grenier, réal. TV. Pierre Sabbagh.

22.50. A la rencontre des bergers — une émis. d'André Voisin.

23.35. Eurovision: Messe de Minuit à Pleyben (Finistère)

1.00. Folklore Breton.

### JEUDI 25 DECEMBRE

10.55. Eurovision: Messe de Noël transmise de Rome.

11.55. Eurovision: Message du Pape Paul VI.

13.15. Variétés: Gilbert Beaud.

13.45. Séquence du jeune spectateur.

15.15. „Le Massacre de Fort Apache” — un film de John Ford (John Wayne, Henry Fonda, Shirley Temple, Pedro Armendariz, Ward Bond).

20.20. „L'Arbalete de Noël” — une émis. de Guy Lux.

20.35. „Jean-Roch Coignet” — 2e épisode — scénario, adapt., dialogues Albert Vidalie d'après „Les Cahiers du Capitaine Coignet” et documents d'époque. Danses réglées par Max André, Combats réglés par Frank Estange, réal. Jean-Claude Bonnardot. Premier épisode est diffusé 23.XII.69.

21.35. „Variétés: Une nuit à Paris” — une émis. de Jean Krechbron.

23.45. „Noël 70” — une émis. de Claude Santelli.

### VENDREDI 26 DECEMBRE

16.00. Emissions pour les jeunes: C'est Noël.

20.20. L'Arbalete de Noël.

20.35. Salves d'Or, une émis. d'Henri Salvador.

22.00. „Provinciales” — „Les derniers moines de Senanque” — une émis. d'Hubert Knapp et J. C. Bringuier.

23.00. Noël 70 — une émis. de Claude Santelli.



**LISTY** Józefa Grzybka

## NASZE EMIGRACYJNE WIGILIE



PANIE REDAKTORZE!

Zabrałem się do pisania życzeń świątecznych i ponieważ jakoś mi to nie szło ponieważ w głowie zrobiło mi się jak na złość tak pusto jak, nie przymierzając, w naszej domowej kabzie przed pensją, więc postanowiłem zajrzeć do kasetki, w której od niepamiętnych już lat przechowujemy kartki świąteczne od krewnych, przyjaciół i znajomych — w nadziei, że znajdę w niej jakieś mądre i oryginalne życzenia, które mógłbym przepisać podając je, rzecz jasna, za twój własny mój wyobraźni. Kiedy człowiek niczego nie może z siebie wycisnąć, staje się bezczelny. Niestety. Sam wielki Szekspir, kiedy mu pisanie nie szło, rzucił z innych autorów, i to jeszcze jak! Ale mniejsza z tym, bo koniec końców wszystko i tak ułożyło się zupełnie inaczej, aniżeli ja to sobie w swojej łepetynie uplanowałem. Owszem, natchnęły mnie te kartki do pisania, ale nie do pisania życzeń — dały mi one asumpt do skomponowania tego tu oto gwiazdkowego utworu.

Zyczenia świąteczne to jest skrót tego, co czujemy, co myślimy, czego sami pragniemy i czego życzymy bliskim nam ludziom. O historii danego kraju czy też danej grupy ludzi dużo mogą nam opowiedzieć także i rzeczy tak na pozór białe jak kartki świąteczne. Przekonałem się o tym właśnie w trakcie szperania w tej naszej kasetce. Na kartkach, które w niej przechowujemy, zapisana jest w telegraficznym skrócie cała historia naszych emigracyjnych Gwiazdek, naskicowany jest na nich obrys naszej emigranckiej duszy, łącznie na podstawie tych kartek można by odtworzyć całe w ogóle nasze wychodzące dzieje.

Mam oto przed sobą obwiązaną poźółtką wstążką paczuszkę kartek z lat przedwojennych. Wielu z tych, którzy je nam przysyłałi od parunastu już teraz lat gryzie ziemię. Tacy Cichoccy na przykład. On zmarł w pięćdziesiątym siódmym na „silikoze”, a ona pojechała w jakiś miesiąc po nim na skutek zawału serca. Zyczenia przysyłałi regularnie na każdą Gwiazdkę i zawsze tej samej treści. „Zyczymy wam, żebyście wreszcie mogli przestać tyrać wśród obcych i żebyście w przy-

szłym roku mieli już dosyć pie-niędzy na domek i mogli wrócić do naszej kochanej Ojczyzny!” Tego samego życzyli nam Przybylscy, Nawroty, Piekłaki i wszyscy inni znajomkowie, i takie same my im wysyłałiśmy życzenia. W tamtych przedwojennych latach słowa o powrocie do Kraju powtarzały się również w każdym polskim domu przy łamaniu się opłatkiem. Kiedy nadchodziła uroczysta pora wieczornej wigilijnej, każdy emigrant myślał sobie w duchu: „Ach, żeby tak móc w przyszłym roku dzielić się z rodziną opłatkiem na swoim — w Polsce!” Rychłego powrotu do Kraju życzył chłop kobiecie, kobieta życzyła tego chłopu, rodzice dzieciom, wnuki dziadkom... Tym żyłiśmy, tym oddychaliśmy, na tym właśnie pragnieniu koncentrowało się całe nasze życie wewnętrzne, to ono sprawiało, że w wieczór wigilijny niejednemu z nas szklili się w oczach łzy. Pamiętacie?

Ale w roku 1939 wybuchła wojna i zgnite jej tchnienie zwarzyło te tak długie i tak tkliwie hotubione w emigranckich sercach marzenia. W tym okresie „nocy i mgły” chodziło nam tylko o jedno: aby jak najszybciej ugodzona została śmiertelnie wściekła hitlerowska bestia, aby możliwie najszybciej przestały krwawić obie nasze ojczyzny — właśnie w latach wojny pojęliśmy, że ta ziemia francuska też musi być naszą ojczyzną, skoro także i za nią gotowiśmy oddać życie — i wszystkie inne okupowane kraje. Marzenie o własnym kawałku ziemi i o własnym domku w Polsce odsunięte zostało na dalszy plan. Przy łamaniu się opłatkiem wdychano przede wszystkim do wolności. Smutne i nad wszelki wyraz postne były te okupacyjne Wigilie. Wiele rodzin oplakiwało rozstrzelanych bądź też zakatowanych ojców, mężów, synów czy krewnych. Cokolwiek otuchy wlała w nas dopiero wiadomość o niemieckiej klęsce pod Stalingradem. Wszystko to można wyczytać z kartek świątecznych z tamtego ponurego okresu. Poprzestawialiśmy wtedy na życzeniu sobie, aby nie zabrakło nam chleba i abyśmy doczekali pokoju.

Kiedy wojna się skończyła, w rodzinach emigrantów z miejsca odżyła myśl o powrocie do Kraju. Mam oto przed sobą życzenia od Kaczmarków z grudnia 1944 r. „Kiedy już cała Polska zostanie wyzwolona, my zaraz wrócimy do Polski i wam też, Kochana Zosiu z Mężem i dziećmi, życzymy, abyście mogli powrócić na ziemię ojców” — pisała Kaczmarkowa. Kaczmarki wróciły transportem repatriacyjnym w roku bodajże 1946. Byłem przy ich odjeździe. Pamiętam słowa, jakimi żegnał ten transport pisarz Jerzy Putrament, który podówczas pełnił w Paryżu funkcję ambasadora Polski. „Nie jedziecie na ptasie mleko — mówił. — W Kraju jest bieda i wszystko jest zniszczone. Zastanówcie się. Możecie nie jechać...” Ale o tym, żeby nie jechać, nikt nawet nie myślał. Tam w Polsce było morze ruin. Kto to miał uprzętnąć? Kto miał tę umęczoną Ojczyznę odbudować? „My Ją dźwigniemy — sami!” — napisał wtedy w jednym z wierszy Władysław Broniewski. Podobnie myślała także i większość emigrantów polskich we Francji.

Pamiętam, że w r. 1946 Wigilię obchodziliśmy w wyjątkowo pogodnym nastroju. Miała to być ostatnia nasza Wigilia na ziemi francuskiej. Na-

zajutrz — w pierwsze święto — w „salle des fêtes” odbyła się uroczystość gwiazdkowa, w trakcie której wszyscy śpiewaliśmy: „Odpocznijmy po swej pracy w ojczystej zagrodzie...” Ale życie pokrzyżowało nasze zamiary. Podobnie jak Wy, Drodzy moi, zostaliśmy we Francji, wrośliśmy w nią mocno, serdecznie, i związałiśmy się wszystkimi niemi z jej narodem.

Takie były nasze Wigilie, takimi żywiłiśmy się pragnieniami, takimi obysyłałiśmy się niegdyś życzeniami. A dzisiaj? Czy przetrwało w nas coś z atmosfery tamtych lat? Myślę, że z całą pewnością — tak. O, pewnie — dzisiaj nie piszemy już do znajomych: „Zyczymy wam, żebyście mogli przestać tyrać wśród obcych i żebyście w przyszłym roku mieli już dosyć pieniędzy na domek i mogli wrócić do naszej kochanej Ojczyzny”. Nie piszemy tak dlatego, że wszyscy i tak już jesteśmy na emeryturze, a poza tym dzisiaj we Francji nie czujemy się już obco, Francja to jest nasz kraj, a naród francuski — to są nasi przyjaciele, nasi znajomi i — nasze dzieci. Nie piszemy tak także i z tej przyczyny, że doskonale zdajemy sobie sprawę z tego, że na stałe do Kraju już i tak nie wrócimy. Jesteśmy dzisiaj ludźmi steranymi, nierzadko schorowanymi, tu mamy rodzinę, tu kazałiśmy pobudować sobie na cmentarzach grobowce...

Nie piszemy już takich życzeń, ale pragnienie powrotu do Polski i złożenia kości w ziemi ojców żyje w nas nadal, i w okresie świątecznym staje się ono szczególnie żywe, bowiem poezja gwiazdkowa przypina mu skrzydła. Choćby emigrant był nie wiem jak chory, to w okresie gwiazdkowym, a zwłaszcza w wieczór wigilijny tęsknota za ziemią rodzinną tak potrafi zatamować jego sercem, że wstaje i zaczyna płakać i iść w kierunku Kraju. Pewnie, jemu — emigrantowi — jemu się tylko wydaje, że podąży do Polski, to jest tylko urojenie. Ale jego łzy są prawdziwe i urojenie to przeżywa on tak dojmująco, jak gdyby było ono bardziej rzeczywiste niż cały otaczający go świat.

Zyczę Wam, Drodzy moi, pogodnych i opromienionych wspomnieniem Kraju ojczystego Świąt.

Józef Grzybek  
z Nordu

### ROUBAIX

#### RADIOODBIORNIKI — TELEWIZORY

■ Lodówki, maszyny do prania i inne artykuły gospodarstwa domowego ■

#### LENG-PICARD ET C-ie

16, Place de la Liberté; 423, rue de Lannoy

Telefony; 73.39.43, 73.29.47 ROUBAIX (Nord)

DOUAI

### Bizuteria

#### REYDELLET & Fils

29-31, rue de Bellain-DOUAI

piękna selekcja

PIERŚCIONKÓW ZARĘCZYNOWYCH  
i OBRĄCZEK ŚLUBNYCH

#### PALOMA DANCING

właściciel

### JAN HOMA

35, rue CHARLES MARLARD

(naprzeciwko szpitala Ste Barbe)

BRUAY - en - ARTOIS

WYNAJMUJE  
SALE NA:

bankiety ■ wesela ■ zabawy ■  
zebrania towarzyskie itd.

BRUAY EN ARTOIS

#### Tygodnik Polski

LA SEMAINE POLONAISE

23, rue Taitbout, Paris IX

Tel.: TAI 76-44, TAI 76-51

C.C.P. 92.20 - 76 Paris

34/7 rue Chausteur-Lodelinsart

Mme Ol. Kuc

C.C.P. 92.20 - 76 Paris

Cena prenumeraty:

kwartalnie: 7 F. — 70 Fr. B.

półrocznie: 12 F. — 120 Fr. B.

rocznie: 20 F. — 210 Fr. B.

Président Directeur

Général: Danuta

JAGOSZEWSKI Bienaimé

IMPRIMERIE

Zakłady Graficzne „Tamka”,  
Zakł. nr 1, Varsovie, Tamka 3.





DES guirlandes électriques décorent les rues et les places les plus passantes de notre petite ville minière. Les commerçants ont rendu leurs vitrines si attirantes que même les hommes ne peuvent se tenir de les lécher. Quant aux femmes... Vous me comprenez, n'est-ce pas? Que ne donnerais-je pas pour pouvoir me rendre à la messe de minuit dans ce superbe manteau de fourrure par exemple que j'ai vu à l'étalage du „Chic Parisien”, dans la rue de la République. Je suis sûre qu'en me voyant mes copines Marie-Thérèse et Emilienne piqueraient une véritable crise de rage et qu'el-

## La semaine des Jeunes

les n'en fermeraient pas l'œil de la nuit! Il faut vous dire que chez nous les femmes et les filles regardent la messe de minuit comme une occasion de faire assaut d'élegance. C'est une vraie „présentation de nouvelles collections” à l'échelle locale. Tout le monde se fait un point d'honneur d'en mettre plein la vue aux voisins, aux amies, aux ennemies, etc. Cela

sommes que de faibles et faillibles femmes. Et puis il ne faut pas non plus vouloir être plus catholique que le pape. N'est-ce pas que j'ai raison?

Mais à dire vrai, ce ne sont pas les devantures des magasins de confection qui m'impressionnent le plus, mais bien les étalages des marchands de jouets. C'est un

dénigrer notre enfance, car elle était vraiment la beauté, la luminosité et la tendresse même. Ce qu'on était bien sous son aile! Vous vous souvenez? En ce qui me concerne, l'approche de Noël fait toujours glisser ma mémoire et mon imagination vers cette époque de ma vie. Je me revois compatissant aux misères des héros de „Sans Famille”, „Le Petit Chose”, „Poil

préféré — je lui chantais encore „Wśród nocnej ciszy”, ou bien: „A wczoraj z wieczora”. Vous connaissez, n'est-ce pas? Et pour finir je lui récitais un „wierszyk”, c'est-à-dire un petit poème qui commençait ainsi: „Kto ty jesteś? — Polak mały. — Jaki znak twój? — Orzeł biały” („Qui es-tu? — Un petit Polonais. — Quel est ton emblème? — L'aigle blanc”). C'est mon grand-père qui me l'avait appris. Je me souviens que le mot de „Polak” m'avait fait regimber. „Je ne suis pas un «mały Polak», mais une «mała Polka»” — lui disais-je. „Cela ne fait rien — répondait-il. — Apprend ce poème par coeur, et c'est tout. Tu es aussi un «Polak»...”



## JOYEUX NOËL!



suffit à alimenter les conversations jusqu'à Pâques. Il se peut que ce désir d'éblouir nos connaissances dont nous brûlons toutes ce soir-là soit marqué au coin d'une frivolité que d'aucuns jugeront peut-être condamnable, mais, mon Dieu, après tout, nous ne

véritable poème. J'y ai vu une „arche de Noé” sur roues, entièrement démontable, avec deux personnages et vingt-six animaux, un poupon qui peut devenir malade, un camion téléguidé avec benne basculante qui franchit tous les obstacles, un „vrai” bébé-fille de cinquante centimètres environ qui s'appelle „la petite soeur” et ferme les yeux et bat des mains quand on le saisit, etc. Ah, les mi-ches d'aujourd'hui ont bien de la chance! On peut dire qu'en comparaison de leurs jouets à eux, les restes des poupées et des meccanos que le Père Noël nous a apportés il y a maintenant quinze, dix-huit ou vingt ans de cela font aujourd'hui figure de pitoyables gadgets paléontologiques, vous ne trouvez pas? Et les livres! Comme les contes sont merveilleusement illustrés! Comme les livres d'enfants d'aujourd'hui sont riches, frais, attrayants et intéressants! Et les disques! Ah, nul doute que si notre enfance avait été nourrie de splendeurs pareilles, à l'heure qu'il est nous serions tous des génies, pas vrai?

Je plaisante, bien sûr. Nous serions mal venus de vouloir

de Carotte”, chantant avec mes petites camarades d'école: „De bon matin j'ai rencontré le train de trois grands rois qui allaient en voyage...” „annonçant misérablement devant la maîtresse et toute la classe: „En ce temps que j'ai dit devant, Sur la Noël, morte saison, Que les loups se vivent de vent, Et qu'on se tient en sa maison, Pour le frimas, près du tison...” ou encore tremblant devant le père Noël qui me demandait d'une voix caverneuse: „A umiesz ty po polsku?”

C'était la première chose qu'il demandait. Sûrement qu'il en allait de même chez vous aussi, n'est-ce pas? Il fallait lui montrer que je connaissais bien le polonais et comment j'aime la Pologne, autrement il pouvait se fâcher et retourner au ciel sans m'avoir remis les jouets qu'il portait dans sa hotte. Comme je ne tenais vraiment pas à courroucer ce saint personnage, je faisais tout pour le contenter. Après „Lulajże Jezuniu” — c'était son Noël

Tout cela est déjà bien loin. Aujourd'hui, le père Noël ne me rend plus visite, nul ne m'oblige plus de réciter des poèmes ou de chanter des Noël — et pourtant je les chante et les récite toujours. Aujourd'hui, nul ne me force plus à dire combien j'aime la Pologne — et pourtant je le dis quand même — a moi-même. Et je sais que lorsque viendra la „Douce nuit”, je me l'imagerai — la Pologne — tout comme autrefois — sous les espèces d'une immense plaine blanche où se suivent les pas étoilés des personnages de la crèche. Bien sûr que cette Pologne-là n'a rien à voir avec la vraie Pologne. Mais cette Pologne imaginaire constitue comme une manière de chemin. C'est justement ce chemin-là qui a mené la petite fille qui pleurait tout de bon sur Poil de Carotte à l'amour de la Pologne réelle.

Joyeux Noël!

MARTINE.

### Michalinka ma głos

## CO CI KUPIĆ NA GWIAZDKĘ?

Rozmawiałam z Genusią na temat Gwiazdki. Pytałam ją, czy wybrała już jakieś upominki dla bliskich i przyjaciół. Ale ona tylko machnęła ręką.

— Nic nie kupuję w tym roku. Nic i nikomu!

— Nawet własnemu mężowi nie?

— A właśnie! Jemu przede wszystkim! Strasznie mnie rozczarował w ubiegłą Gwiazdkę. Oho, to się już więcej nie powtórzy.

— Co mianowicie?

— Opowiem ci, jaki z niego niewdzięcznik. Ja zawsze myślałam o tym, jaką mu sprawić przyjemność. Tamtego roku, przed świętami łamałam sobie od miesiąc głowę, co mu kupić. Może krawat? Nie krawat, bo nasze gusta się różnią. Może portfel? Nie portfel, przecież pieniędzy dużo przy sobie nie nosi, bo pierwszego oddaje mi całą pensję. A więc co?

Otóż przypomniałam sobie, że mi kiedyś powiedział — „Kochanie, jeśli chcesz mi zrobić przyjemność, to nie noś tej czerwonej bluzki, której bardzo nie lubię”.

Hm, zrobię mu więc przyjemność. Wyrzucę tę czerwoną bluzkę i kupię zieloną, jedwabną, na którą raz zwrócił uwagę na wystawie. Ucieszy się, że tak pamiętam o tym, co on lubi.

Ale jeden upominek to za mało, gdy się tak męża kocha jak ja. Więc co mu jeszcze kupić? Papierosnicę? On nie pali, tylko ja kurzę paczkę gauloisów dziennie. Biedak bardzo się na to skarży, bo nie znosi dymu. Ale trudno mi się od palenia odzwyczaić. Aby mu zrobić przyjemność jednak... Mogłoby mi się to może udać, gdybym zamiast papierosów brała do ust cukierki lub czekoladę. O, właśnie! Dobry pomysł. Kupię pudełko czekoladek, takie z rumem, które bardzo lubię. Mąż mój wprawdzie nie jada czekoladek, bo mu to szkodzi na wątrobę, ale jaki będzie szczęśliwy, że tak staram się dla niego odzwyczaić od palenia papierosów!

Ale to wszystko za mało dla mojego mężulka na Gwiazdkę. Muszę się na coś jeszcze zdobyć. Wiem. Piecyk elektryczny! W naszym domu tak słabo grzeje to centralne ogrzewanie. Wprawdzie mąż mój zawsze się ze mnie śmieje, że taki ze mnie zmarzluch, bo on to w samej koszuli po mieszkaniu chodzi. Właśnie dlatego obawiam się, że się zaziębi. Kupię piecyk. To spory wydatek, ale czy dla niego będę żalować?

Tak więc widzisz, moja kochana, jakie to bogate upominki zakupiłam w ubiegłym roku jemu na Gwiazdkę. I myślisz, że był mi wdzięczny? Zajrzał do paczek, pokłamał głową nad bluzką, piecykiem i paczką czekoladek i nawet mi porządnie za to wszystko nie podziękował. Dlatego też w tym roku niczego mu nie kupię. I tak żadnej wdzięczności nie ma.

— Ale on ci na pewno sprawi jakiś upominek — powiedziałam do Geniusi.

— No chyba! A czy na to nie zasługuję?

MICHALINKA



SZANOWNA PANI ANNO!

Mam bardzo poważne kłopoty z moją młodszą córką. Zle idzie jej nauka. Chociaż się bardzo stara, niewiele z tego wychodzi. Gdyby nie robiła, gdyby nie pracowała, rozumiałabym, ale jest odrobinie. Dziewczynka zatakuje się i traci chęć do nauki. Nie wiem, jak postępować. Nigdy przedtem nie było takich trudności, bo starsza córka radziła sobie zawsze z łatwością. Jest na pewno zdolniejsza od młodszej, ale przecież w szkole każde dziecko powinno dać sobie radę. Szkoła nie jest tylko dla najmądrzejszych. Ta sprawa bardzo mnie martwi i ogromnie mi żal córki, dla której każde niepowodzenie jest bolesnym ciosem. Co robić, jak pani uważa, pani Anno!

MATKA

DROGA PANI!

Wydać mi się, że powinna pani być w ścisłym kontakcie z nauczycielami. Oni na pewno pani poradzą. Przypuszczalnie poznali dobrze dziewczynkę i zorientowali się, jakie ma braki i z cze-

go wynikają. Może należałoby się także porozumieć z psychologiem. Może dziecko jest nerwowe, peszy się, denerwuje i nie umie sprzedać posiadanych wiadomości. Zdanie specjalistów-pedagogów jest tu b. ważne. Nie wiem, jakie stosuje pani metody, w każdym razie nie należy, myślę, gniewać się na małą za jej złe noty. Trzeba przekonywać ją, że niepowodzenia są przejściowe, że miną, że wszystko będzie dobrze. Warto także zastanowić się nad ewentualnymi korepetycjami.

ANNA

KOCHANA PANI ANNO!

Mam od wielu lat przyjaciela. Różne względy zdecydowały o tym, że nie wyszłam za niego za mąż. Dziś to nie ważne, bo już i tak za późno na zmianę decyzji, którą ja sama kiedyś podjęłam. Chodzi mi o co innego. Żyję w dość trudnych warunkach materialnych. Mam na utrzymaniu chorą matkę. Leczenie bardzo drogo kosztuje. Ledwo mogę związać koniec z końcem. Mój przyjaciel jest człowiekiem ogromnie zamożnym. Wiem, że bez zmruczenia oka dałby mi każdą potrzebną sumę. Ambicja nie pozwala mi jednak od niego brać. Udaję przed nim, że świetnie sobie radzę, że na wszystko mi starcza. Nie mogę się modnie ubierać, więc często, gdy mam z nim gdzieś wyjść, pożyczam od przyjaciółki kostium, sukienkę, czy futro. I on myśli, że ja mam na wszystko. Nieraz głoduję prawie przez kilka dni, by, gdy on przyjdzie na obiad, było wszystko jak trzeba. Mę-

czy mnie to okropnie i w związku z pogarszającym się stanem zdrowia matki coraz rzadziej mogę sobie pozwolić nawet na takie małe luksusy. Wiem, że ten człowiek mnie kocha, wiem, że wszystko by dla mnie uczynił, ale nie mogę wziąć od niego pieniędzy, nie mogę być jego utrzymanką. Myślę więc, choć to bardzo ciężko, że muszę zerwać z nim, chociaż go kocham ponad wszystko.

NĘDZARKA

DROGA PANI!

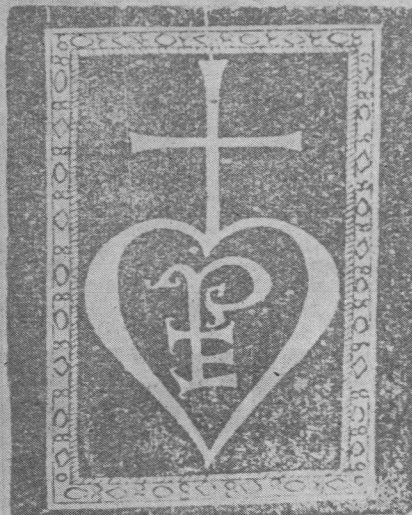
Jest pani niekonsekwentna. Pani przesadna ambicja sprawia na mnie wrażenie jakiegoś dziwnego kaprysu albo wynika ze staroświeckich przesądów. Sama pani pisze, że ten człowiek jest bardzo zamożny. Jeśli więc pani by pomagał, nikomu przez to nie będzie działa się krzywda. Pisze pani, że kocha go ponad wszystko i że on kocha panią. Cóż to za miłość, droga pani, w której obowiązują nieszczerłość, kłamstwo, udawanie? Niechże pani wreszcie z tym skończy. Niech mu pani wyzna wszystko, obnaży swoje nieszczerstwo i biedę. Trudno. Jeśli tyle lat żyje się z człowiekiem jak z mężem, nie wolno się przed nim zgrzywać. Nie wolno udawać. Nie mogę pojąć, jak to się stało, że on niczego nie domyślił się przez tyle lat. Czyżby był ślepy? Zapatrzony w siebie? Nieczuły? Ale przecież takiego by pani nie kochała. Proszę zerwać z tą zabawą w chowanego. To nie ma sensu. Pojęcie utrzymania to pojęcie nie z naszego wieku.

ANNA





Le grant testament villon et le petit.  
Son codicille. Le iargon i ses balades



Le con beau que feist  
le dit villon quant  
il fut iugie

De suis francois Bont ce me poise  
De se partie empica pontoise  
Qui d'une coide d'une toise  
Saura inun col que mon cul poise



Seria ilustracji z wydań Franciszka Villona w różnych okresach czasu. Z lewej — reprodukcja karty tytułowej wydania utworów Villona z r. 1503, obok z najstarszego w ogóle wydania Villona z 1489 r., dalej drzeworyt przedstawiający autora z tego samego bardzo starego wydania z fragmentem wiersza i z prawej — jedna z kart ilustracyjnych M. Hiszpańskiej polskiego wydania „Wielkiego Testamentu” z 1950 r.

# TESTAMENT WŁÓCZĘGI VILLONA

## W UJĘCIU BOYA-ŻELEŃSKIEGO

*En l'an trentième de mon âge  
Que toutes mes hontes j'eus bues,  
Ni du tout fol, ni du tout sage,  
Nonobstant maintes peines eues,  
Lesquelles toutes j'ai reçues  
Sous la main Thibault d'Aussigny...*

*W trzydziestym życia mego lecie,  
Hańbą do syta napojony,  
Ni żrały małż, ni puste dziecię,  
Mimo iż ciężko doświadczony  
Każnią, scirpianą z ręki krwawey  
Tybota, pana Ossyńskiego...*

Tymi słowami Franciszek Villon zaczyna swój „Wielki Testament”, dzieło które włóczędztwo i zło-czyńcy miało przynieść sławę i nieśmiertelność. Życie Villona, które wywarło ogromny wpływ na jego twórczość, owiane jest już dziś legendą. Tajemnicze i niespokojne, daje pole do licznych domysłów i fantazji. Postarajmy się przypomnieć kilka najważniejszych faktów. O niektórych wydarzeniach mówi on sam, o innych dowiadujemy się z kronik sądowych, w których nazwisko Villona zbyt często, niestety, się powtarza.

Franciszek z Moncorbier, zwany Villonem, przychodzi na świat w roku 1431, w rodzinie paryskich nędzarzy. Po śmierci ojca zostaje oddany na wychowanie swemu krewnemu, kanonikowi Wilhel-mowi de Villon. Obdarzonego żywą inteligencją chłopca posłano na Uniwersytet w Paryżu (na wydział Sztuk Wyzwolonych), pragnąc mu zapewnić dostatnią przyszłość.

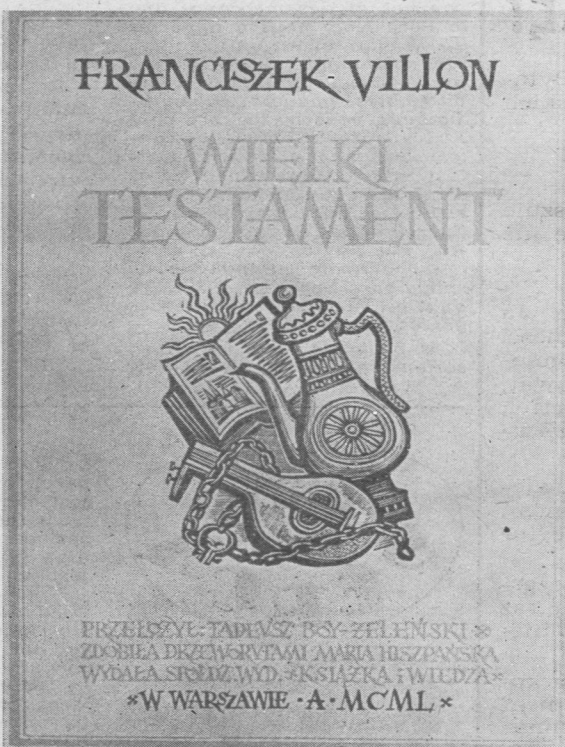
W 1449 r. Villon otrzymuje stopień bakałarza, a trzy lata później „licencjata Sztuk”. Jednak zbyt żywy temperament nie pozwala mu jeszcze myśleć o własnym „domu i postaniu miętym”, o czym marzy później w celi więziennej.

Tymczasem pociąga go wesołe towarzystwo pa-ryskich studentów i włóczęgów, zdolnych do nie-jednej psoty, ale też i do przestępstwa. Villon staje się duszą kompanii, jest pełen inwencji i niewy-czerpanych pomysłów w zdobywaniu pieniędzy (najczęściej niezbyt legalną drogą), które szybko rozchodzą się na „karczme y dziewczęta”, jak sam szerzej wyznaje. W kilka lat później wspomina te lata nie bez ironii, ale też i z odrobiną żalu za wesołą młodością, która już nie wróci:

*„Nadtom brał wiernie, co powiada  
Mędrzec, y Pismam wierzył słowu:  
„Baw się, używaj, synu (gada),  
W młodości swojej”; ale znowu  
Indziej zaświadcza barzo iśnie,  
Ze „czas młodości kwiatnych latek”  
(To iego słowa, takie właśnie!),  
Ot, sama głupiość y niestatek”.*

W 1455 r. wpada Villon w pierwszy poważniejszy konflikt z prawem: podczas bójki (o niejaką Iza-beau) zabija człowieka. Sprawę umorzono ze wzgle-du na okoliczności łagodzące (Villon działał w obronie własnej) — jednakże jest to pierwszy krok na drodze występku. Kontakty z włóczęgami i oprysz-kami, liczne awantury i kradzieże sprawią, że Villon jeszcze wielokrotnie będzie stawał przed trybunałem sędziowskim. Znają go wszędzie, a goszczą w więzieniu w Paryżu, Orleanie, Meung... Jednocześnie, właśnie w tym okresie, powstają je-go najbardziej znane utwory: Legaty (nazwane później Małym Testamentem) oraz największe dzie-ło jego życia, Wielki Testament (1461). Oba utwo-ry, a zwłaszcza Wielki Testament, zyskały ogromną popularność.

Druk w owym czasie nie był jeszcze zbyt- nio rozpowszechniony, toteż Wielki Testament krążył w odpisach lub przekazywany był z ust do ust.



Okladka „Wielkiego Testamentu” Franciszka Villona w przekładzie Tadeusza Boya-Żeleńskiego, wydane w Warszawie w 1950 r. Okładkę wykonała, jak zresztą całą szatę graficzną tego wydania Maria Hiszpańska

Wielu ludzi znało na pamięć całe ustępy Villona... Jednakże poecie nie dane było cieszyć się zasłu-żoną sławą i rozgłosem. Niebawem dawni kompani wciągają go w nowe kłopoty. Nocna bójka, śmierć człowieka i raz jeszcze bramy więzienia zamykają się za Villonem. Tym razem, mimo że poeta nie brał bezpośredniego udziału w zabójstwie, wyrok jest ostateczny: więzień ma ponieść śmierć przez „powieszenie i zaduszenie”. W oczekiwaniu na egzekucję Villon pisze przejmujące strofy słynnej Ballady Wisielców:

*„Bracia: z was, coście ostali na świecie,  
Niech nienawiści nikt ku nam nie czuje;  
Gdy miętkie serce mieć dla nas będziecie,  
Y was Bóg radniey kiedyś się zlituje;  
Widzicie nas tu, wiszące straszliwie:  
Ciało, o które dbaliśmy zbyt kłiwie,  
Zgnite, nadżarte, wzrok straszny i hydzy:  
Kości zwolna w popiół y proch się przemienia;  
Niech nikt z naszego nieszczęścia nie szydzi,  
Lecz proście dla nas wszystkich odpuszczenia!  
Jeśli błądzący was, toć się nie godzi  
Odpłacać wzgardą, mimo iż skazano  
Was prawem. Wiedźcie, po ludziach to chodzi,  
I że nie wszystkim w głowie statek dano;  
Wspomożcie tedy biednych modły swemi,  
U Syna Maryey, Pana wszelkiej ziemi,*

*lżby nie chybił łaski y pomocy,  
Od czartostkiego broniąc nas płomienia.  
Zmarcie iesteśmy: tu kres ludzkiej mocy;  
Lecz proście dla nas wszystkich odpuszczenia!  
Deszcze nas biednych do szcztetu wypraty,  
Do cna szernito, wysuszyło słońce;  
Sępy i kruki oczęta zdziobały,  
Włoski w brwiach, w brodzie wydarły chwieiace,  
Nigdy nam usześć ni spocząć nie wolno;  
Tu, tam, na wietrze kołyszem się wolno;  
Wciąż nami trąca wedle swego dechu,  
Ptactwo nas skubie raz wraz bez wytchnienia:  
Nie day Bóg przystać do naszego cechu,  
Lecz proście dla nas wszystkich odpuszczenia!*

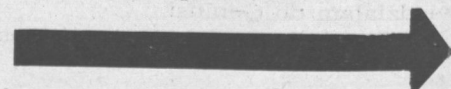
*Przestanie:  
Ty, Xiążę Iezu, nad wszem państwem możny,  
Chroń dusze nasz od Piekiel rozszczenia:  
Niaak mieć z nimi nie chcemy zbliżenia;  
Ludzie, nie czas tu na pośmiech bezbożny,  
Lecz proście dla nas wszystkich odpuszczenia!*

Nie mając prawie nadziei apeluje jednak, nieo-czekiwanie apelacja odnosi skutek: karę śmierci zamieniono na dziesięcioletnie wygnanie z Paryża. I odtąd nie wiemy, jakie były dalsze losy Villona. Prawdopodobnie wrócił umarł, w przeciwnym ra-zie pozostawiłby jeszcze jakiś ślad w literaturze lub ... w archiwach sądowych. Takie było „niespo-kojne, zbrodnicze i nędzne życie Franciszka z Mon-corbier zwanego Villon... próżniaka, pijaka, gracza, rozpustnika, darmozjada, oszusta, złodzieja, włamy-wacza”. Zapamiętajmy jednak także te słowa z Wielkiego Testamentu:

*„Czemu mnie zbójcą nazywacie?  
Dlatego że na iedney łodzi?  
Gdybych miał statków choć ze dwieście,  
Nie byłbych, jako jestem, złodziey,  
Lecz cysarz „jako w iesteście”.*

Tym, co czyni Wielki Testament dziełem wybit-nym, jest właśnie jego głęboko ludzki charakter. Czytając strofy Villona, mimo, a może właśnie dzięki temu, że przesiąknięte są subiektywizmem, zapomina się o autorze, a widzi człowieka, czło-wieka z jego wiecznymi tęsknotami, marzeniami, a nade wszystko strachem przed tym, co ma na-dejść nieuchronnie — przed śmiercią. Średnio-wieczie często porusza problem śmierci, lecz to, co głównie interesowało ówczesnych myślicieli, życie pozagrobowe, nie jest przedmiotem rozmyślań Villona. Patrzy na to z całkiem innej strony, widzi ból i cierpienie, przesładuje go widmo starości, a widok rozkładającego się ciała napełnia przera-żeniem i rozpaczą. To uczucie potrafił oddać Villon niezwykle sugestywnie w swoich utwo-rach, a zwłaszcza w cytowanej już „Balladzie Wi-sielców”. Villon za bardzo jest przywiązany do życia, ażeby móc dobrowolnie pogodzić się ze śmiercią. Pragnie czerpać z niego wszystko, pełnym rękoma, tęskni za tym, czego nie dane mu było zaznać; tęskni za prawdziwą miłością i dostatkami.

Po raz pierwszy w literaturze francuskiej poeta świadomie i z całkowitą szczerością wyraża się w swojej twórczości, inspirowany tym, co sam rzeczywiście przeżył, nie upiększając ani nie dramatyzując faktów. Wielki Testament jest li-ryczną spowiedzią z życia, wyrazem żalu za zmarnowaną młodością, odbiciem wszystkich nie zaspoko-jonych pragnień oraz doznanych zawodów, słabości i niepokojów. Po latach spędzonych na tu-lacze i w więzieniach napisze:





# SPOTKANIE z SYNEM WIELKIEGO ADAMA

Dokończenie ze str. 12

Staralem się, aby śpiewać właściwym głosem. Jakoś udanie przeszło: „Komu ślubny splatasz wieniec...” i wreszcie:

„Idź, może znajdziesz na brzegach Niemna  
Tę, której już nie obaczę,  
Może jej piosenka będzie przyjemna,  
Może nad listem zapłacze...”

Usłyszałem jakieś ciche, głuche westchnienie, przestałem więc patrzeć na czubki moich butów i spojrzałem na mego sąsiada. Niby nadal patrzył na dach katedry, ale od szklanych oczu oderwała mu się jedna i druga łza i, zostawiając błyszczące na policzkach smużki, spłynęły i zawisły na siwej brodzie.

„Zatuuję czasu meę młodości:  
— Barziej niż inny iam weń szalał! —  
Aż do mych lat podeszłych młodości  
Iam pożegnanie z nią oddał;  
Odeszła, ba, ni to piechota,  
Ni konno, pomkła iako zaiac;  
Tak nagle uleciała oto,  
Nic w darze mi nie ostawiając”.

Ta poezja na wskroś osobista jest zjawiskiem odosobnionym w wieku, w którym tworzy Villon. Przed nim i długo po nim nie znajdziemy jej śladu, w pełni rozkwitnie dopiero w epoce romantyzmu oraz czasach nam współczesnych, stając się istotą twórczości poetyckiej.

Jak już wspominałem, Wielki Testament cieszył się we Francji od razu ogromnym powodzeniem, świadczy o tym fakt, że w ciągu stosunkowo krótkiego czasu (lata 1489—1542) pojawiło się aż trzydzieści wydań tego dzieła. Później Villon popada w niełaskę na przeszło dwa wieki. Dopiero romantycy odkrywają go na nowo, a podziw dla niego wzrośnie jeszcze w drugiej połowie XIX wieku; Wielki Testament porównywał się będzie do poezji twórców tej miary co **Beaudelaire** i **Verlaine**. Równocześnie pojawia się szereg prac monograficznych i literackich biografii poety, świadczących o rosnącym wciąż zainteresowaniu Villonem i jego dziełem.

Zanim spuścizna literacka Villona dotarła do Polski, minęło ponad cztery wieki. Fakt ten może wydać się dziwny, biorąc pod uwagę duże zainteresowanie Polaków literaturą światową. Na usprawiedliwienie można jednak dodać, że trudności jakie nastroczał przekład Villona były znaczne.

Trzeba było dopiero wielkiego talentu Tadeusza Boya-Zeleńskiego, aby je przewyciężyć. Pierwsze wydanie Wielkiego Testamentu w przekładzie i ze wstępem tego wybitnego znawcy literatury francuskiej ukazało się w roku 1917 (Kraków, wyd. Gebethner i Wolff). Wydanie to wzbudziło duże zainteresowanie, zarówno ze względu na walory samego dzieła, jak i wartość tłumaczenia. Rodzi to potrzebę panowanego wydania, które pojawia się w roku 1927 (Warszawa, wyd. F. Haesick).

W Polsce Ludowej ukazały się następne dwa wydania Wielkiego Testamentu (Warszawa 1950, Książka i Wiedza oraz Warszawa 1954, PIW), oczywiście obydwą w oparciu o tłumaczenie Boya.

Powróćmy jednak do roku 1917, do okoliczności w jakich wybitny tłumacz i humanista, zarazem pisarz i lekarz dokonał pierwszego przekładu Villona. Odpowiedź, jakże ciekawą, daje sam Boy pisząc w przedmowie do drugiego wydania Wielkiego Testamentu następujące słowa:

„Jesień roku 1916, zima, najciemniejszy okres wojny. Byłem wówczas jako „lekarz pospolitego ruszenia” przydzielony do tzw. Stacji Opatrunkowej i spędzałem co drugą dobę w baraku z desek skleconym między szynami kolejowymi... Barak, w którym spędzałem wówczas więcej niż pół życia, był straszny. Tłum pluskiew, do których się z czasem przyzwyczaiłem, żar od żelaznego piecyka, ziab od okna i szpar w ścianach, myszy, szczyry, jęki i stękania chorych, zaduch... Może ta rama zbudziła we mnie tęsknotę za przełożeniem Villona. Zgromadziłem całą „wilonologię”, która na szczęście była w Bibliotece Jagiellońskiej dobrze reprezentowana, gdy wieczór uspokoiło się nieco, gdy ustawało warczenie telefonów i tylko od czasu do czasu przeciągłe sygnały pociągów przerywały ciszę, wydobywałem książki i zatapiałem się w ten świat. W owej izdebce, gdzie deszcz bił w cienki dach i wicher wył za oknem, w atmosferze śmierci i rozpaczliwie dziwnie mocno czuło się te strofy”.

Bez wątplenia warunki, w jakich pracował Boy nad przekładem, przyczyniły się do pełnego odczucia i zrozumienia Villona, sprawiły że potrafił doskonale oddać atmosferę i styl dzieła. Wcielił się nieomal w autora, podpatrując jego najbardziej in-

— Co się stało? Co panu jest? — zerwałem się z ławki.

— Nic, nic... Przywidzenie, chwila zapomnienia... Znalazłem się mimo woli w moim świecie cieniów...

A widząc, że parę dzieci podeszło blisko do nas, uśmiechnął się do nich i rzekł:

— Czas. Chodźmy już stąd.

Wstaliśmy i powoli poszliśmy w stronę mostu. Ogarnął mnie niepokój, że może w jakiś tajemniczy sposób zraniłem uczucie tego miłego starca. Przerwałem więc milczenie i począłem usprawiedliwiać się. Starszy pan — bo tak go w myśli nazywałem — wziął mnie za rękę i patrząc mi w oczy rzekł:

— Ależ nie... Wzruszyła mnie tylko jedna prawda więcej... i, Adam Mickiewicz to mój ojciec.

Stanąłem przed nim zdumiony. Coś niecoś zrozumiałem. Władysław Mickiewicz trzymał mnie ciągle za rękę i powiedział:

dywidualne i najistotniejsze środki pisarskie. Jak wyglądała praca nad samym przekładem, jakie były trudności i zamierzenia tłumacza, pisze sam Boy we wspomnianym już wstępie:

„Dążeniem moim była, jak zawsze, najściślejsza wierność, ale przede wszystkim wierność ducha. Ze cały szereg ustępów, które i w oryginalnie są dziś najzupełniej martwe, tym bardziej musiał ujawnić martwość swą w przekładzie, z tym trzeba było się z góry pogodzić, pocieszałem się tym, iż znajdują się inne, które i w przekładzie dadzą dość wierne pojęcie o tonie i charakterze utworu. Formę oryginału zachowałem wszędzie ściśle, z wyjątkiem prawidła ballady, które każę opierać wszystkie strofy na identycznych rymach. Warunki rymu w polskim wierszu są zupełnie odmienne niż we francuskim, gdyby nawet swobodnie poutórzenie czternaście razy w 28 wierszach tegoż samego rymu było możliwe, wywołałoby ono miast harmonijnej asonancji, jak w języku francuskim, po polsku wrażenie słuchowe przykre”.

Warto dodać że polskie wydanie Villona zawiera prawie wszystko z jego literackiej spuścizny (oprócz Legatów, które przestały być zajmujące ze względu na swój aktualno-lokalny charakter). Wielki Testament przełożony został w całości (z pominięciem jedynie około dwudziestu oktafów). Z Kodycyła (zbiór ballad okolicznościowych, dołączonych po śmierci Villona do Wielkiego Testamentu) zamieścił Boy cztery najciekawsze ballady. Tak więc polskiemu czytelnikowi zostało udostępnione wszystko to z twórczości Villona, co stanowi jej największą wartość. Dlatego jeszcze raz należy tutaj podkreślić ogromne zasługi Boya.\*) Dzięki niemu Villon stał się w Polsce nie tylko w ogóle czytelny, ale żywy i porywający, przede wszystkim zaś czytany.

Barbara MOLAK

\*) Boy Zeleński zamordowany został przez hitlerowców latem 1941 r. wraz z grupą profesorów lwowskich z Uniwersytetu Jana Kazimierza i Politechniki.

Drzeworyt z polskiego wydania „Wielkiego Testamentu” z 1950 r. Marii Hiszpańskiej



— A teraz doprowadzi mnie pan tuż obok do Biblioteki Polskiej i proszę przyjść pojutrze to pokażę pamiątki po ojcu.

Oglądałem pamiątki po Adamie, przedstawione przez syna, którego słuchałem jak człowieka, który teraz mnie począł się zwierzać i przypominać sobie to i owo z owych odległych lat.

Byłem dwa razy jeszcze, ale już w domu Władysława Mickiewicza. Raz na ogólnym popołudniowym przyjęciu, na którym było parę osób przybyłych z kraju. Gospodarz, choć otoczony, znalazł chwilę czasu, aby mi podarować poezje Adama Mickiewicza, drukowane w Paryżu i powiedzieć wiele ciepłych słów.

Następnym razem miałem u niego w domu znów opowiadać jak wtedy w ogródku. Ale skoro tylko wszedłem, wprowadził mnie do pokoju i zostawił na kilka chwil samego, przeprasając, że ma kogoś, z kim musi omówić ważną sprawę. Aby mi się nie nudził, wręczył mi trzymaną w rękę broszurę. Tytuł brzmiał: „O mojej matce”. Począłem przeglądać stronicę, gdy w tej chwili coś zgrzytnęło i jakiś dziwny głos zawołał: „Que veux-tu”, a zaraz potem: „au revoir”.

Co chcesz, do widzenia?... Podniosłem się z krzesła zdziwiony i począłem rozglądać się po pokoju. I gdy znów odezwało się „au revoir” zauważyłem dopiero dużą papugę, która przechyliła głowę ozdobioną krzywym czarnym dziobem i równie czarnymi ślepkami patrzyła na mnie złośliwie. Przesstraszyła mnie!...

Ale — jak mi to opowiadała zeszłego roku pani Irena Gałęzowska, obecna dyrektorka Biblioteki Polskiej w Paryżu — papuga ta potrafiła i rozbawić gości, nie mogących stworzyć na przyjęciu przyjemnej atmosfery, gdy wołała nagle: „Quelle charmante soirée!”, czym rozweseliła wszystkich. Potrafiła też w czasie głośniejszej pogawędki krzyknąć: „Tais-toi, Ladis!”.

Powróciwszy do pokoju Władysław Mickiewicz zastał mnie jeszcze przy papudze i śmiał się, gdy opowiedziałem, jak mnie ona chciała wyprosić. Pogroził jej palcem, a ptak w odpowiedzi strzepnął piórami i krzyknął chrapliwie coś, co przypominało „oui”.

Przy szklaneczce białego wina znów rozmawialiśmy trochę o Polsce, ale więcej o mnie, bo tego samego dnia rano jakby z nieba spadła mi w liście nieoczekiwana propozycja objęcia dobrze płatnej pracy w drukarni dziennika lyońskiego „Le Nouvelliste”. Wahałem się, bałem się nieznanego, ale Władysław Mickiewicz dodawał mi odwagi i zachęcał:

— Trzeba umieć wytrwać i z każdej chwili czerpać naukę, a do każdej pracy włożyć pierwiastek umiłowania — mówił.

Zachęcony radami obiecałem na miejscu, że pojedę do Lyonu. I znów przy rozstaniu, i już na pożegnanie, pan Władysław podarował mi swą książkę „O mojej matce”, podobno dopiero co otrzymaną, dopisując bardzo miłą dla mnie dedykację.

Trudno. Zrezygnowałem z urojonego kwiatu paproci. „Lepszy wróbel w ręce niż gołąb na dachu”. Opuściłem Paryż. I tak rozpoczął się nowy, najdłuższy etap w moim życiu.

Gdy po dwóch miesiącach napisałem o swym powrocie i postępie w pracy, krótko potem dostałem w odpowiedzi od Władysława Mickiewicza ojcowski list z zachętą do wytrwania i dobrymi radami. Dołączyłem go do dwóch otrzymanych przedtem książek, a które niestety zaprzepaściły się u nieodpowiedzialnych ludzi.

Ow list stanowił ostatni kontakt. W jakiś czas potem, podreperowany finansowo i ożywiony wiarą w siebie, pojechałem w odwiedziny do Paryża, gdzie dowiedziałem się, że Władysław Mickiewicz opuścił już ten zagmatwany świat i od miesiąca spoczywa w grobie na cmentarzu Polaków w Montmorency.

Taki przebieg miało moje przypadkowe poznanie najstarszego syna naszego największego poety — Władysława Mickiewicza, cenionego męża nauki i bojownika o niepodległość Polski, działacza politycznego i człowieka o złotym sercu wspomagającego moralnie i materialnie Polaków na obczyźnie, który od młodych lat aż do schyłku swego pracowitego — 88 lat trwającego — życia wkładał ogromny zapał i niesłabnący trud w opisanie twórczości i działalności swego wielkiego ojca.

Następnym razem napiszę o innym synu wielkiego Adama, tym zapomnianym, Józefie, którego też znałem osobiście.

Wiktor MACIEJEWSKI

#### WYJAŚNIENIA REDAKCJI

WŁADYSŁAW MICKIEWICZ (ur. w Paryżu 23.VI.1838, zm. w Paryżu 9.VI.1926) był najstarszym z sześciorga dzieci Adama Mickiewicza; biograf ojca, publicysta i tłumacz, autor wielu własnych dzieł w języku francuskim m. in. „Pamiętników”, tłumaczył m. in. Z. Krasieńskiego, J. I. Kraszewskiego i E. Orzeszkową. W latach 1866—80 kierował Księgarnią Luksenburgską w Paryżu, która wydała wiele poloników, a w latach 1899—1926 Bibliotekę Polską w Paryżu.

IRENA GAŁĘZOWSKA (ur. 1892) prof. ewulizacji polskiej w Centrum Studiów Słowiańskich Uniwersytetu Katolickiego w Paryżu, archiwistka i bibliotekarka, autorka wielu prac z dziedziny socjologii, filozofii i literatury (m. in. o Norwidge), obecna kierownik Biblioteki Polskiej w Paryżu.





„HIPPIES” to ruch obejmujący dosyć szerokie kręgi młodzieży. Powstał w Ameryce, ale przeniósł się już i do Europy (największe skupiska: w Skandynawii, Niemczech Zach., Francji i Belgii). „Hippies” to młodzież obojga płci w wieku 16-19 lat, przeważnie z zamożnych środowisk mieszczańskich, która na znak protestu przeciwko istniejącemu porządkowi społecznemu porzuca domy, szkołę, pracę i wędruje grupami, żyjąc w zupełnej abnegacji. Po „blousons noirs” „Hippies” wydawali się być zjawiskiem pocieszającym; mili, uśmiechnięci, z kwiatem w dłoni, głoszący dość płytką mistykę: „Świat winien być rajem, a człowiek człowiekowi bratem” — ci ówczycy jogę „świeci” ery kosmicznej początkowo budzili nawet sympatię. Niestety, jak alarmuje prasa światowa, także francuska, ruch ten w gwałtownym tempie przeradza się w ogniska zbiorowej narkomanii: LSD, marihuana, heroina, opium, morfina... Nałóg wciąga młodzież na dno upadku, prowadzi do samozatrącenia i zbrodni: morderstwa, prostytucja...

Drukowany poniżej reportaż ze zjazdu polskich „Hippies” w Kazimierzu nad Wisłą dowodzi, że w Polsce zjawisko to — na szczęście — ma formy niegroźne, nawet nieco humorystyczne. Jest zabawą niezbyt mądrych dzieciaków, która oby jednak...

## CZTERY DNI z „HIPPIES”

**N**IE STRZYGLĘM się przez miesiąc i nie goliłem przez dwa tygodnie. Na starych spodniach wymalowałem trochę napisów w pseudoangielskim, zaopatrzyłem się w łańcuch do wiązania krowy, dużą kłódkę. Nadeszła próba generalna, ubrałem się w to-to, włos zmierzwiłem, pytam koleżkę:

— Dobrze będzie?

— Wiesz... czegoś tu brakuje. Jesteś za czysty...

A od czego zakurzony strych? Tarzałem się tam przez kilka minut pod czujnym okiem znawcy problemu. Brudny i zakurzony pytam:

— Dobrze będzie?

— Wiesz... czegoś brakuje...

I z tym dziwnym brakiem pojechałem na „zjazd”, i Hippies od razu poznali się na tym, czego brakuje. Leniwie, to siadając, to znów kładąc się na chodniku mówili:

— Wicie? Jemu czegoś brakuje...

Wyszło więc, że jestem fałszywym Hippie (może „Garownikiem”?) i przyjechałem po to, aby ich ordynarnie podejść. Może szło o inwigilację środowiska, a może o ustalenie ścisłych danych faktycznych? Hippies — łagodni ludzie — ale czegoś takiego też nie lubią...

Rzeczywistość była jednak inna. Wysiadłem bowiem z samochodu na rynku w Kazimierzu normalnie ubrany, w czystej białej koszuli, nawet z białą chusteczką w kieszonce marynarki. Prawdą natomiast pozostał ów brak: ten mianowicie, że gdybym znowu miał dwadzieścia lat i wakacje przed sobą, to takie ich spędzanie, jakie zaprezentowali Hippies, byłoby ostatnim z wyboru, jakiego mógłbym dokonać.

I tak, na zalanym słońcem kazimierskim rynku rozpoczęły się cztery dni z Hippiesami. Nie wśród nich, rzecz jasna, a obok — na tyle jednak obok nich, aby móc zanotować niektóre fakty zjawisku temu towarzyszące.

✱

Moim rozmówcom-Hippiesom obiecałem całkowity obiektywizm. Zresztą inaczej nie chcieliby, prawdopodobnie, w ogóle rozmawiać. — Mówiono już z nami wielokrotnie — powiadali — a później szkolowano nas w gazetach. Trzymajmy się zatem faktów, charakterystycznych wypowiedzi, atmosfery tego „złotu”, gdyż tak to chyba zostało pomyślane. Pierwsze rozmowy nie są niestety budujące. Oto młody chłopak, uczeń zdaje się, nawet nie tak bardzo brudny i obdarzony, usiłuje przedstawić racje „ruchu”.

— Pan jest Hippiesem?

— Tak, jestem.

— A w czym to się przejawia?

— No, noszę długie włosy...

— A gdyby je pan ostrzygł, to by pan przestał być Hippiesem?

— No, chyba tak...

— I przestałby pan uznawać racje Hippiesów za słuszne?

— No, chyba przestałbym...

Chłopak prezentuje tak żenująco niski poziom, że dostrzegają to inni. Trącają mnie znacząco.

— Niech pan z nim przestanie rozmawiać, on jest przypadkowy. Lepiej niech pan porozmawia z nami. Albo jeszcze lepiej... (tu padają pseudonimy) — jak przyjadą.

Oczekując na przyjazd tych zorientowanych, skracamy czas rozmową. Mówimy o ogólnym rozbrojeniu, o zaprzestaniu wojen, o braterstwie wszystkich ludzi. Dla kogoś, kto z boku przysłuchiwałby się temu chwile, mogłoby to nawet dość poważnie zabrzmieć. Ale oto padają takie m.in. stwierdzenia:

— Gdyby uszyscy byli tacy jak my, to nie byłoby wojen...

Albo: — Nasza postawa biernej negacji jest właśnie czynnikiem konstruktywnym...

Hippiesi usiłują przy tym coś zrobić, choć większość leży po prostu na chodniku i częściowo na ulicy. Taki widać styl. Co robią? Ano — bez większego, wydaje się, zainteresowania efektem swych poczynań, grzmolą kolorowymi kredkami jakieś bohomy na chodniku. Widzieli to gdzieś zapewne, na jakimś filmie, w jakimś piśmie, i teraz bezmyślnie naśladowują. O naśladownictwie świadczy i to, że obok tych grzmołów piszą: 10 zł, 20 zł. Jakby tu, w Kazimierzu, miał przejeżdżać za chwilę ulicą bogaty lord, który wzruszony losem „dzieci-kwiatów” rzuci im odpowiedni datkę.

Wszystko zresztą — cudaczny strój, jego rekwiizyty, podpatrzone manery i gesty przypominają śmiertelnie poważną zabawę dzieci. Prawdziwe są tylko: niechlujstwo i abnegacja. Reszta jest udawaniem, stwarzaniem pozorów, chęcią zwrócenia na siebie uwagi i odcienienia za wszelką cenę. Wiedzą o tym, zdają sobie z tego chyba dobrze sprawę, skoro ciągle podkreślają:

— Wśród nas jest bardzo wielu ludzi przypadkowych...

Ale ta zabawa przybiera nieraz formy niepokojące. Jedną z ich dziewczyn opowiada zdarzenie, jakie miało miejsce w tym roku w Swinoujściu:

— Siedzieliśmy tak jak teraz i taki jeden, co był z nami od kilku dni, podszedł i mówi: dajcie złotówkę... Daliśmy mu złotówkę i poszedł do kiosku coś kupić. Za chwilę patrzymy, a on wraca — tryskając krwią. Kupił za złotówkę w kiosku żyłkę i podciął sobie nią żyły na rękach...

— Czy miał jakieś kłopoty, zmartwienia, chciał się targnąć na życie?

— Ależ skąd! Przed chwilą jeszcze grał na gitarze i śpiewał.

— Dlaczego więc to zrobił?

— Czy ja wiem? Może chciał na siebie zwrócić uwagę?

✱

Dziewczyzna, z którą rozmawiam, jest inteligentna. Okazuje się też, że jej pobyt wśród Hippiesów nie jest kwestią wyboru — lecz koniecznością. Jakies domowe nieporozumienia, kłopoty z rodzicami. Opuściła dom. Czy zostanie z nimi długo?

— Zamierzam się uczyć. Już załatwiłam sobie mieszkanie i jesienią wezmę stędo tego, znajdę jakąś pracę. A oni? Cóż — właściwie, to nie mają żadnej filozofii, żadnych poglądów na

swój ruch, zadowolają się pozorami i małowaniem. Mało jest wśród nich takich, którzy by w tym kilka lat wytrwali. Jedni odchodzą, inni przychodzą. Tak, bardzo wielu jest przypadkowych. Był nawet taki, co uprawiał złodziejstwo, a przy tym mówił: mój wygląd sprawia, że wszyscy patrzą na mnie, a nie na moje ręce...

— A inne dziewczyny?

— Prawie wszystkie znajdują się wśród nich w wyniku różnych życiowych niepowodzeń.

Pytam o sprawy, którymi ekscytowała się swego czasu część prasy: a więc orgie, zbiorowe narkotyzowanie się, „te rzeczy”.

— I to też nie jest prawdą — mówi dziewczyna — nie spostrzegłam tu większej swobody niż ta, która panuje w innych kręgowo różnych środowiskach. A narkotyzowanie się? To chyba także poza, która może jednak prowadzić do poważnych następstw. Podobno już ktoś zatrut się śmiertelnie...

Tak, rozmowę z dziewczyną należy zaliczyć do udanych. Po południu Hippiesi improwizują wieczorek jazzowy w miejscowym Domu Kultury. Polega to na tym, że część z nich leży na ziemi, kilku wali zaciekle w elektryczne gitary, jeden znęca się nad perkusją. Hałas straszny i dlatego nie udaje się usłyszeć, co jeden z nich wykrzykuje do mikrofonu. Szkoda, gdyż jest to jakby „wyznanie wiary” Hippies. Zaczynają mniej od tego wręcz boleć zęby, więc wychodzą. Zawsze podczas takiego hałasu bolą mnie zęby.

Wieczorem „dyskusja” z kilkoma Hippiesami w kawiarni. Jest to jednak, jak powiadają warszawiacy, takie „pomieszczenie z popłataniem” różnych poglądów, że rychło przechodzimy na inne tematy.

✱

Ani drugiego, ani trzeciego dnia nie zjawia się nikt z przybiecanych — tych „zorientowanych”, z którymi można by mówić. Dane mi jest za to przeżyć prawdziwą emocję, gdy z górki, od kościoła, Hippiesi wysyłają swego nowo przybyłego przedstawiciela. Oto schodzi do mnie dostojnie wysoki, chudy, w niebieskiej powłóczystej szacie do kostek, z włosami spadającymi na ramiona, z dużą brodą. Wygląda jak postać ze złego snu i wydaje mi się przez chwilę, że to jakiś „prorok” Hippiesów. Ale jest to zwykły młody człowiek, tyle że bardziej ekscentryczny. Także i on nie jest

w stanie powiedzieć mi o niczym ciekawym. Dowiaduję się za to, iż ruch polskich Hippiesów poprzedzi „Giganci”, którzy jeżdżili po kraju. „Giganci”! Brzmi to przecież jak określenie jakichś wielkich, ogromnych „proroków nowej wiary”! Okazuje się jednak, że idzie tu o zwykłych włóczęgów, ludzi bez domu, wafających się bez celu po kraju. To ich właśnie nazywają „Gigantami” — w odróżnieniu od „Garowników”, którym to mianem ochrzczono dawnych kryminalistów.

Podczas ogólnej „dyskusji” gromadzi się na rynku wielu ludzi, przygodnych słuchaczy. Ponieważ Hippiesi nie mają już chyba ochoty do rozmowy, pytam jednego ze słuchaczy, co o tym sądzi? Odpowiedź jest zastanawiająco lapidarna — ale i trafna: — Nie znam bliżej racji ani przesłanek, jakie spowodowały powstanie polskich Hippiesów — mówi ów pan — ale widać w każdym razie, że forma bardzo znacznie przerasta treść...

Tak. I to jest właśnie cała prawda o Hippiesach. O tych w każdym razie, których miałem możliwość obserwować przez cztery dni w Kazimierzu. Treści żadnej tam nie ma, wyjąwszy różne zagraniczne zapożyczenia, z których znaczenia Hippiesi sami sobie sprawy nie zdają (np. międzynarodowy znak pacyfistów nazywają „PKS-em” ze względu na podobny kształt!). I nie ma tam żadnych racji socjologicznych czy innych, poza tymi, że ci młodzi ludzie nic nie robią, starają się żyć na przekór uznanym normom społecznym i że ich przykład może być zaraźliwy dla tej części młodzieży, która pragnie w jakiś sposób uzasadnić swoje lenistwo i niechęć do nauki. I to jest wszystko.

✱

Nadeszła sobota. Kazimierz zaroził się innymi ludźmi. Na rynku pełno samochodów, z restauracji „Esterka” dobiegają dźwięki muzyki, bowiem Kazimierz dla pewnych kręgów, niekoniecznie ze świata artystycznego, stanowi swoiste miejsce sobotnio-niedzielnego wypadów. — Aleś lałunę poderwał — usłyszałem kiedyś — pewnie z nią na sobotę do Kazimierza pojedziesz, co?

Snują się więc cienie po rynku, z daleka słychać wrzaski pijaków. A Hippiesi? Nie ma ich. Już się widać wynieśli.

— Co pan chce — śmieje się mój znajomy z Kazimierza — to dobór naturalny zadziała. Prawo silniejszego zwyciężyło.

I to stwierdzenie trzeba chyba zapisać na korzyść Hippiesów, prawda?

Bohdan DYDENKO

Kto ma mieć kiedy serce, ma je zaraz z młodu.

Corneille, Cyd

Większość młodych ludzi myśli, że są naturalni, kiedy są jedyne niegrzeczni i gburowaci.

La Rochefoucauld, Maksymy

Młodość jest nieustannym upojeniem: jest to gorączka myśli.

La Rochefoucauld, Maksymy

Młodość się chełpi, że wszystko otrzyma, starość jest nieubлагana.

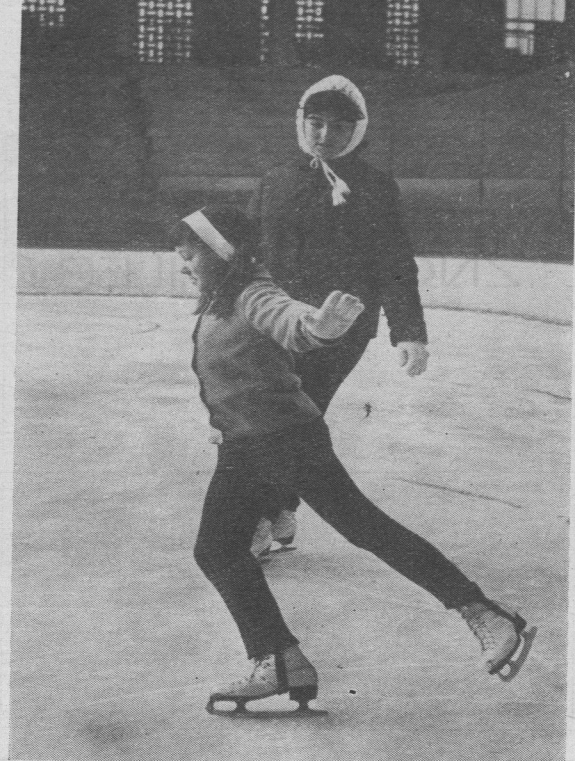
La Fontaine, Bajki





My już dobrze jeździmy na łyżwach. Czekamy tylko, kiedy przyjdą nasze partnerki. Coś się jednak dzisiaj spóźniają nasze panie

Przyszłej — być może — mistrzyni trzeba dobrze zasznurować buty



Mgr B. Kossowska twierdzi, że z 12-letniej Moniki Małek polskie łyżwiarstwo będzie miało pociechę

## ŚWIĄTECZNA ŚLIZGAWKA

**N**ARESZCIE ŚWIĘTA! Dla młodzieży jest to pierwszy dłuższy odpoczynek po kilku miesiącach nauki. Nic więc dziwnego, że wykorzystuje każdą wolną chwilę na sport, zabawy i inne przyjemności. W Warszawie największym powodzeniem cieszy się oczywiście sztuczne lodowisko Torwar. Tu dach chroni przed niespodziankami kapryśnej pogody i chociaż w całym mieście czynnych jest około trzystu ślizgawek, przecież najchętniej wszyscy chcieliby jeździć na Torwarze, który w okresie Świąt otwiera swoje podwoje na dłużej niż w normalne, powszednie dni.

Króluje tu młodzież. Stateczne mamusi i tatuśowie przyprowadzają swoje najmłodsze pociechy i z trybun obserwują ich pierwsze kroki pod kierunkiem instruktora lub starszego rodzeństwa. Ci, którzy już opanowali trudną sztukę utrzymywania się na śliskim lodzie, popisują się „jaskółkami”, „holendrami” i innymi prostymi figurami. Nie zawsze oczywiście z powodzeniem. Co raz ktoś leży jak długi, ale nie łzami, lecz wesołym śmiechem kwituje taki upadek.

Bywa jednak, że rodzice chcą przypomnieć sobie młode lata i razem z dziećmi zakładają buty z łyżwami. Pod opieką mamy lub taty nauka idzie znacznie szybciej.

I wreszcie trzecia kategoria „klentów” Torwaru. Są to chłopcy kilkunastoletni, starzy wyjadacze, którzy już doskonale opanowali łyżwiarski fach. Przychodzą na lodowisko ze swymi szkolnymi sympatiami, albo — jeżeli ich nie mają — popisują się przed młodymi panienkami i popularnie mówiąc „podrywają je”, by po zawarciu znajomości jeździć parami i dumnie spoglądać na swych mniej szczęśliwych kolegów.

Muzyka, dźwięk łyżew, śmiechy dziewcząt, okrzyki przestraszone małych adeptów łyżwiarstwa, gwar rozmów — wszystko to stwarza niezapomnianą atmosferę świątecznej ślizgawki. Nic więc dziwnego, że kiedy odzywiają się syreny zwiastujące koniec przyjemnej zabawy — przez lodowisko przelatuje szmer niezadowolenia. A kiedy wreszcie barwny tłum zjedzie do szatni, wszyscy umawiają się na następny dzień.

Świąteczną ślizgawkę obserwują jednak nie tylko rodzice. Na trybunach można spotkać trenerów, a przede wszystkim trenerki jazdy figurowej na łyżwach. Przychodzą tutaj, żeby popatrzeć i wyłowić nowe talenty dla swych klubów. Oczywiście treningi nie mogą odbywać się na Torwarze, gdy jest tam ogólnodostępna ślizgawka. Sekcje łyżwiarstwa figurowego warszawskich klubów trenują obok, na drugiej, mniejszej tafli Torwaru, przeznaczonej wyłącznie na ten cel. Również i na dużej tafli są godziny wyłącznie przeznaczone dla klubów.

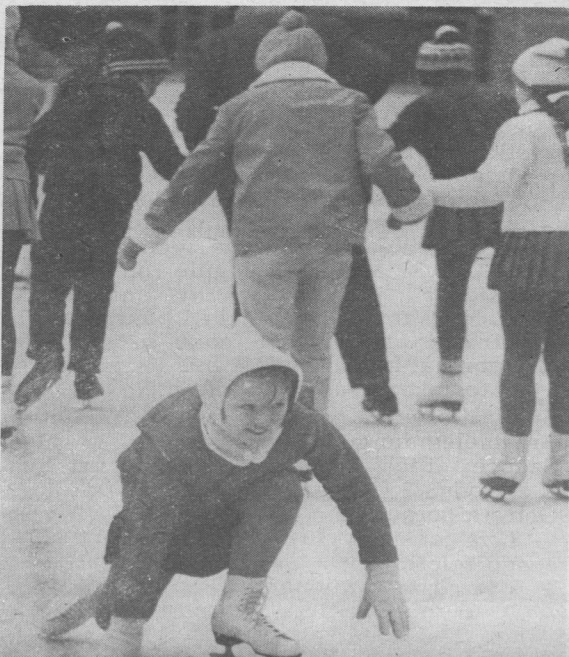
Do popularyzacji łyżwiarstwa figurowego w Polsce przyczyniła się głównie telewizja, która od wielu już lat transmituje w całości wszystkie mistrzostwa Europy i świata w tej dyscyplinie sportu. Jest wielu naśladowców słynnej Soni Henje, która trzykrotnie zdobywała złoty medal olimpijski, a po raz pierwszy uczestniczyła w Igrzyskach mając niespełna osiem lat. Słynna Norweżka, która niedawno zmarła, jest ideałem wielu młodych dziewczyn, marzących o jej karierze. A przecież jakże trudna jest droga do zwycięstw i sukcesów. Trening rozpoczyna się rano, przed północą do przedszkola albo do szkoły. Trzeba więc wstać o piątą, a czasem, jeżeli się mieszka dalej — nawet wcześniej. Prosto z treningu do szkoły, później do domu na obiad, odrabianie lekcji i następny trening. I tak bez dnia przerwy, przez co najmniej osiem, dziesięć lat. Trzeba wielkiej siły woli zarówno rodziców, jak i dzieci, by wytrwać w postanowieniu. A najgorsze jest to, że nigdy nie ma pewności, czy się zostanie mistrzem. Dlatego też tylko mała grupa może wytrwać w dążeniu do uzyskania wielkiej formy. Pozostali wolą świąteczną ślizgawkę na Torwarze.

Tekst: Waclaw KORYCKI  
Zdjęcia: Mieczysław SWIDERSKI



W czasie świątecznych ferii na Torwarze niepodzielnie panuje młodzież, zażywając rozkoszy ślizgawki

Grunt to uśmiech, nawet w takiej sytuacji Pod opieką mamusi pierwsze kroki nie są trudne





## Władysław Umiński

# ZNOJNY CHLEB



Nielatwe życie Sobiesława Mrockiego, wychodźcy z zaboru pruskiego do Ameryki, stawało się z miesiąca na miesiąc, z roku na rok coraz bardziej nie do zniesienia. Tyle zawodów tu doznał mimo ciężkiej pracy w różnych zawodach, tyle upokorzeń przeżył, że zaczął już zupełnie tracić nadzieję na poprawę swego losu. Od wielu tygodni służył jako artylerzysta w wojskach Unii walczących z indiańskimi powstańcami. Walka ta kosztowała go wiele, gdyż nie był przeświadczony o jej słuszności. Nie chciał mieć na sumieniu krwi Indian; walczył więc tak, by nikogo nie zabić, a zarazem nie narazić się zwierzchnikom z baterii, w której służył. Skorzystał więc chętnie z nadarzającej się okazji i na ochotnika poszedł do oddziału zwiadowczego, który zresztą szybko musiał się wycofać, gdyż znajdował się niemal obok obozu indiańskiego. Na wachcie pozostał więc tylko Mrocki i Gruby Dick, który zginął od pierwszej kuli w potyczce. Sobiesław Mrocki znalazł się w krytycznej sytuacji. Ze wszech stron obłożony splotem konia i rzucił się do ucieczki. Czy mu powiodzie się — czytamy poniżej.

### ODCINEK 49

Młodzieniec mimo woli obejrzał się. Zauważył, że Indianie, smagnięci gradem ołowiu, ściągnęli cugle swych rumaków tak gwałtownie, że omal nie poupadali razem ze zwierzętami; potem zawrócili w mgnieniu oka. Pozostało tylko na trawie kilka koni zabitych albo rannych, które miotają się konwulsyjnie, obok nich leżeli jeźdźcy.

Odezwała się druga salwa i znowu róż szerszeni ołowianych poleciał za uciekającymi. Mrocki miał tyle przytomności, że zatrzymał się, zeskoczył na ziemię i kazał położyć się koniowi. Czuł bowiem, że choć minęły go kule indiańskie, trafić go mógł pocisk przeznaczony dla nieprzyjaciela.

Wnet jednak grad ołowiu ustał, natomiast zza drzew wypadł cały szwadron kawalerii, który, co koń wyskoczy, rzucił się w pogoń za Indianami.

Mrocki znalazł się akurat na samej drodze pędzącego oddziału i w jednej chwili zmiarkował, jak straszne grozi mu niebezpieczeństwo. Szwadron rozstratuje go na śmierć! Zerwał się więc z szybkością błyskawicy, podniósł konia potężnym kopnięciem i wskoczył na siodło. Miał zaledwie tyle czasu, żeby schwycić za uzdeczkę i uderzyć ostrogą swego rumaka, a już kawaleria nadbiegła. Nie wiedząc sam, jak i kiedy, Sobiesław uczuł się porwany przez lawinę i galopował wraz z nimi.

Konie Amerykanów były niewątpliwie lepsze aniżeli mustangi przeciwnika. Niebawem też odległość pomiędzy Indianami a pościgiem zaczęła się zmniejszać. Czerwonoskórzy zmiarkowali to. Chcąc więc powstrzymać pogoń, z zadziwiającą zręcznością odwracali się w pełnym galopie na siodłach i posyłali, nie celując nawet, kule karabinowe poza siebie.

Nie były to pociski dobrze wymierzone, ale niemniej jeden na sto trafiał. Co kilkadziesiąt kroków któryś koń potykał się albo jeździec zlatywał na ziemię. Kawalerzyści rządowi odpowiadali, choć w mniejszym skutkiem.

Taka strzelanina w pełnym biegu trwała parę minut.

Szwadron jednak, podniecony, nie zatrzymywał się. Za kwadrans najdalej miano dosięgnąć uciekających.

Mrocki pędził ze szwadronem, gdy nagle poczuł lekkie uderzenie w piersi. Zaraz potem ogarnęło go takie osłabienie, że zaczął

ślaniać się na siodle. Chciał złapać się za grzywę swego konia, lecz nie miał siły; w oczach zrobiło mu się ciemno; wiedział tyle tylko, że spada, że uderza głową o coś twardego.

Kiedy otworzył oczy, leżał na ziemi, a nad nim klęczał jakiś oficer i paru żołnierzy z białymi przepaskami na ramieniu. Oficer trzymał w ręku szeroki kawałek płótna, zboczony zupełnie krwią i obmywał piersi Sobiesława. Potem zdjęto z niego mundur, koszulę, położono go na noszach i bandażowano długo i starannie. Opatrunek ten nie sprawiał Sobiesławowi żadnego bólu; przykro mu było tylko patrzeć na tyle krwi, zwłaszcza że była to widocznie jego własna krew.

Kiedy go felczerzy i ich pomocnicy ułożyli znów na noszach i zaczęli iść, mgła powtórnie zasłoniła mu oczy.

Odzyskał przytomność dopiero w lazarecie polowym, na łóżku. Zmieniono mu sнадz opatrunek, bo go rana bolała. Chciał się zapytać o coś, lecz felczer położył palec na ustach na znak, że nie powinien mówić.

„Nie wolno mi się nawet spytać o nic — pomyślał sobie ze smutkiem Sobiesław. — Kiedy tak, to muszę być ciężko ranny”.

I biedak nie mylił się wcale. Kula indiańska przebiła mu na wylot piers, nadwieraając płuca; stąd właśnie ten silny krwotok i osłabienie.

Mrockiego ogarnęła apatia. Nic go nie obchodziło, czy umrze, czy wyzdrowieje. Myślał tylko przez chwilkę o swoich biednych rodzicach, o siostrzyczce. Żał mu się zrobiło, że jej już nigdy nie zobaczy. Ale wszystko to trwało niedługo. Młodzieniec, wyczerpany, usnął głęboko. Miał sнадz gorączkę, gdyż majaczyło mu się, że siedzi na koniu i jeździ pod okiem porucznika Bialsky'ego, na dziedzińcu koszarowym. Porucznik smaga go niemilosierdnym batem, i to w same piersi. Uderzenie bicia pali go strasznie, nasmolowane konopie wrzynają się głęboko w ciało i kasają jak owa żmija żelazna. Och, żmija! Sobiesław widzi się znów na wielkiej, czarnej od dymu i sadzy sali, w głębi której jarzą się wyloty pieców. Obok niego zgrzytają walce kręcące się jak szalone. Aha, z paszczy walców wyrzwała żmija, gruba, czerwona, tryskająca iskrami, i pełza wolno, wolno do stóp Sobiesława. On stoi, chce uciekać, ale nie może.

Strach sparaliżował mu mięśnie w nogach. Czeka, a żmija już podczołgała się do jego nóg, podnosi czerwony łeb i zaczyna owijać się dokoła jego ciała. Ach, jak strasznie parzy. Już, już dosięgła piersi, pija się w nie jadowym żądłem.

Mrocki krzyczy:

— Ratunku!

Otwiera oczy i widzi nad sobą twarz pielęgniarki, który niecierpliwie patrzy na rannego.

— Leżcie cicho — woła nań. — Masz gorączkę, dostaniesz lekarstwo, żebyś się nie dał, bo innym chorem spać nie dajesz!

Kładą mu w usta łyżkę z jakimś słodkim płynem. Połyka i znów zamyka oczy.

Ale gorączka rozpała w nim wszystkie dawno przecierpiane bóle, prowadzi go tam, skąd mu się udało umknąć. Przesuwa się przed nim cały łańcuch okropnych wspomnień. Widzi siebie na morzu, łaknącego wody. „O, wody, wody! Dajcie mi choć kroplę!” Kapitan zabiera butelkę i przytyka ją sobie do ust! Niegodziwiec! Sam chce wypić wszystko do ostatniej kropli i on, Sobiesław, nie dostanie nic! A ogień pali jego wnętrzności! Oburzenie ogarnia Mrockiego. Rzuca się na samolubnego kapitana, ażeby mu odebrać butelkę, ale ten nie wypuszcza jej z rąk. Mrocki walczy, ciągnie butelkę ze wszystkich sił, powala kapitana na trawę... pasują się. Wtem uderza fala i pokrywa ich obu. Mrocki otwiera spieczone usta i pije wodę morską, która wydaje mu się tak słodka jak to lekarstwo! Och pić, pić!

Znowu otwiera oczy i widzi obojętną twarz pielęgniarki lazaretowego.

Szepce: „Pić!” Przytykają mu do ust kubek z wodą.

Och, ta gorączka!

— Czy ją się wyleczę? — pyta przechodzącego felczera.

Ten wzrusza ramionami.

— Kto wie! Może Bóg da! Rana ciężka, płuca przebite! Przede wszystkim trzeba leżeć spokojnie; a ty się rzucasz jak wściekły i opatrunki się zsuwają. Doktor kazał cię pilnować. No, teraz się napiłeś, więc śpij; ale nie ruszaj się, bo będzie źle!

Mrocki leży cicho, pragnąłby się obrócić na prawy bok, lecz nie ma siły. Spróbował; zabolalo go w piersi. Smutno mu! Dokoła stoją łóżka, a na nich ranni. Słychać jęki. Robi się wieczór. Zapalają światła w baraku, a raczej w wielkim namiocie!

Młodzieniec nie może jednak czuć dłużej, oczy same zamykają mu się, zapada znów w sen przerywany widziadłami.

Musi przeżywać powtórnie nieszczęścia, które go spotykały na ziemi amerykańskiej. Ale wszystko to nic w porównaniu z pragmatyzmem. On już nigdy nie będzie pracował w hucie ani w stalowni! Jak tam gorąco! Pot go ciągle oblewa, a to pragnienie takie straszne!

### ROZDZIAŁ XIII

#### UŚMIECH LOSU

Mrocki długo leżał w szpitalu. Był, jak to się mówi, między życiem a śmiercią, bo rana z trudnością się goiła.

Skorzystano z pierwszego transportu, żeby go przewieźć do pobliskiego miasta, do szpitala wojskowego.

Sobiesław leżał tam i czekał cierpliwie, jak się los jego obróci: czy wstanie uzdrowiony, czy też spocznie w ciemnym grobie.

Okazało się jednak, że nasz bohater miał wiele sił żywotnych; pomimo trudów i niedostatków organizmu jego zwyciężył, rana zgoiła się wreszcie, krwotoki nie powtarzały się już tak jak z początku; zaczynał wracać apetyt; gorączka znikła bez śladu; na bladą, pożółkłą i wychudłą twarz występowały coraz częściej rumieńce wracającego zdrowia, a z nimi i uśmiech pojawiał się nieśmiało na ustach.

W szpitalu opieka była wcale niezła, doktorów wystarczająca ilość, utrzymanie było także nie najgorsze, choć i tu, jak wszędzie, działy się nadużycia. Mrockiemu obiecywano, że za dwa tygodnie będzie mógł wrócić do swojej baterii.

Zanim jednak przepowiednie ziściły się, upłynął miesiąc. Przez ten czas wiele się zmieniło. Po krótkich i mało znaczących potyczkach, bo do walnej bitwy nie doszło z Indianami wcale, rząd Unii wstąpił w układy z buntownikami, zawarł z nimi pokój obiecując jak zwykle wszystko, a nie mając zamiaru i połowy dotrzymać.

Armia rządowa, zamiast się powiększać, malała; nie przyjmowano już wcale ochotników; wojska wysłane przeciwko czerwonoskórym wracały na zwykłe leże. Pozostawiono tylko część na terytorium indiańskim, ażeby odjąć Indianom chętkę odgrzebania tylko co schowanej siekiery wojennej.

Kiedy Sobiesława wypisano jako zdrowego ze szpitala, udał się do swojej baterii, która kwatrowała w jednym z pogranicznych miasteczek. Przyjęto go, jakby powracał z tamtego świata.

Koledzy urządzili na jego cześć pijatykę, w której pękło coś dziesięć butelek; okazało się, że pomiędzy artylerzystów on jeden odniósł rany!

Nastał okres pokoju. Życie w baterii płynęło dość monotennie; w zimie siedzieli wszyscy w koszarach; latem było weselej, bo wprawiano się w strzelaniu do celu pod gołym niebem, w stepie. Mrocki, który miał naturę czynną, nie potrafił pogodzić się z próżnowaniem. Raziły go bezmyślne ćwiczenia. Ponieważ czuł się zupełnie zdrow, najbliższą więc zimą poświęcił nauce języków w nadziei, że po wygaśnięciu kontraktu łatwiej mu będzie znaleźć pracę.

Po pewnym czasie, gdy otrzymał urlop, postanowił spełnić przyrzeczenie, które dał ongi na tratwie, wśród oceanu, nieszczęśliwemu marynarzowi, staremu Billowi, konającemu z rany i pragnienia.

Dalszy ciąg nastąpi





Ongiś wzdłuż murów obronnych ciągnęły się sady i ogrody warzywne

Les villes polonaises, comme toutes les villes du monde, connurent dans leur histoire des périodes d'essor et de déchéance. Ce fut le cas notamment de Sulejów, aujourd'hui petite ville de 5 mille habitants dans la voïvodie de Łódź. Pourtant tout indique qu'elle fut un bourg florissant. C'est là qu'en 1176 le prince Casimir le Juste fonda l'abbaye de l'ordre des Cîteaux et cent ans plus tard, en 1292, Sulejów reçut le rang de „in prevata civitate Suleyow”.

Si vous passez par cette ville, lors d'une visite en Pologne, n'omettez pas de vous attarder à ses anciennes constructions — l'abbaye en particulier — vous ne serez pas déçus. Mais avant, prenez connaissance de ces quelques détails présentés sur cette page.

Cenny  
zabytek  
architektury

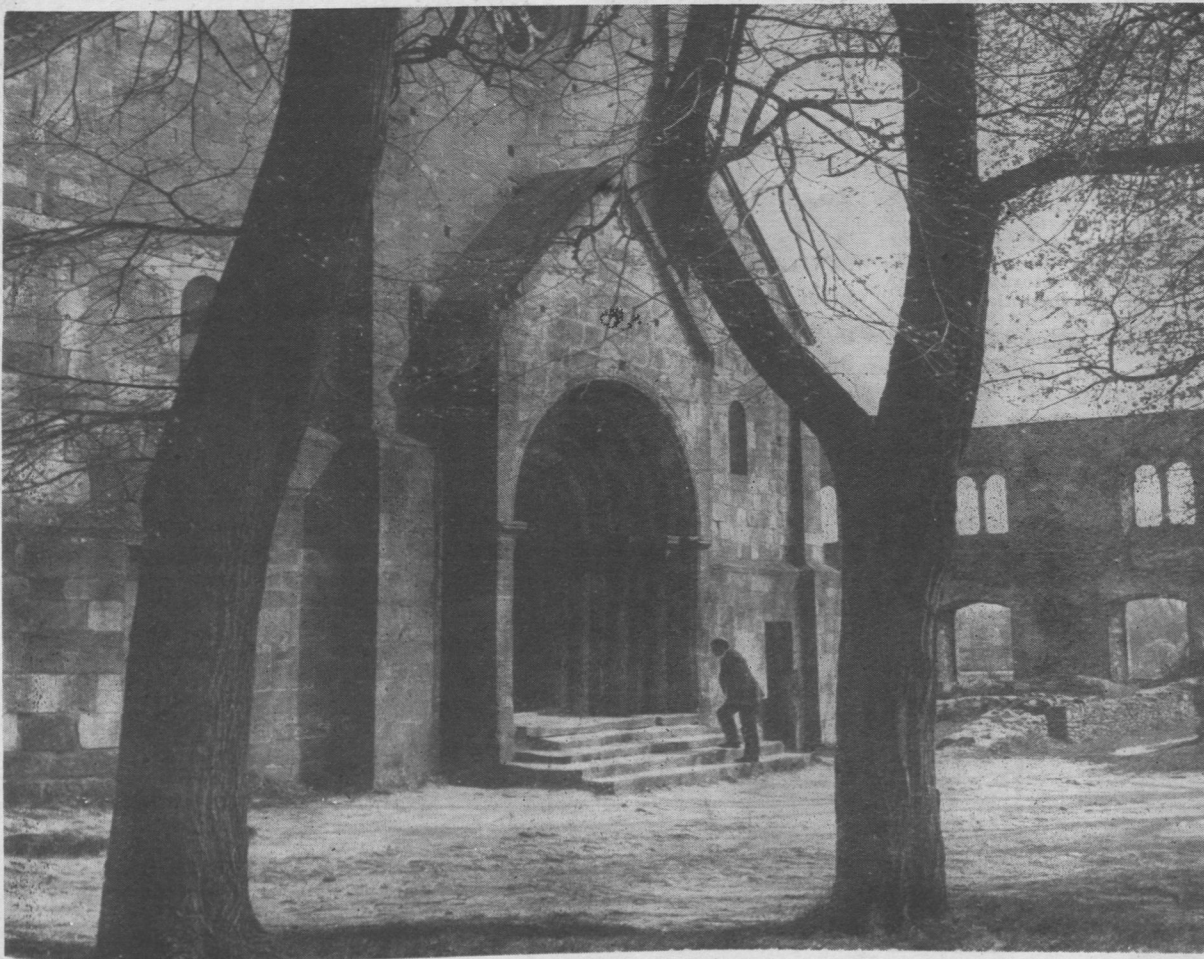
## OPACTWO CYSTERSÓW W SULEJOWIE

**W**PRAWDZIE dzisiejszy Sulejów (miasteczko, powiat: Piotrków Trybunalski (14 km), woj. łódzkie, przy szosie z Łodzi (47 km) — Kielce (100 km) — nad Pilicą, 5 tys. mieszkańców) nie odbiega wyglądem od wielu innych małych miasteczek „Polski powiatowej”, żyjąc sobie cicho i spokojnie: trochę z drobnego przemysłu, trochę z handlu, a trochę z usług dla okolicznych rolników — jednak przed wiekami należał do ważnych ośrodków. W pobliżu przebiegał szlak handlowy od Wolborza, a w obrębie miasteczka konieczna była przeprawa przez Pilicę. Tutaj też w 1176 r. książę Kazimierz Sprawiedliwy ufundował opactwo cystersów, a w 100 lat później, w 1292 r., Sulejów został nazwany po raz pierwszy miastem — „in prevata civitate Suleyow”.

Trudno dziś dociec, czy cystersi wykorzystali na swoją siedzibę istniejące już wówczas zabudowania, a według historyków tuż przy brodzie wznosił się od dawna książęcy gródek, strzegący bezpieczeństwa przeprawy, czy też budowali swój klasztor od fundamentów — na co wskazywałyby badania ostatnich lat. W każdym razie sulejowskie opactwo jest dziś Mekką historyków sztuki i architektów, gdyż zachowana zabudowa klasztoru jest zabytkiem wyjątkowym.

Oto kościół klasztorny pod wezwaniem NMP i św. Tomasza Becketa, konsekrowany jeszcze w 1232 roku. Jego portal główny uważany jest za jeden z najpiękniejszych przykładów budowlania romańskiego i wywodzi się w prostej linii ze wspaniałej architektury kościelnej północnych Włoch. Podobne

Najpiękniejszy chyba romański portal w Polsce — tak mówią historycy sztuki i architekci



O dawną świetność dbają konserwatorzy

portale mają katedry w Weronie, Parmie i Modenie.

Kunst średniowiecznych budowniczych znalazł ujście nie tylko w ozdabianiu wnętrz, wykrojach okien i portalach. Również mury obronne były tu kiedyś nie tylko mocne, ale i okazałe, piękne. Jeszcze obecne obwarowanie opactwa należy do wyjątkowo dobrze zachowanych, nie mających odpowiednika w tej części Europy. Samych wież obronnych, o różnym przeznaczeniu, jest jeszcze dzisiaj aż sześć.

Dwa razy, w 1259 i w 1431 r., klasztor spłonął, podpalony przez Tatarów. Później, również dwukrotnie strawił go pożary w latach 1790 i 1847. Po kasacji klasztorów w 1819 r. stare opactwo cysterskie przez lata chyliło się powoli ku upadkowi. Dziś mieści się w nim kościół parafialny, a o dawną świetność budowli dbają konserwatorzy.

Tekst i zdjęcia: Mirosław STANKIEWICZ



# KRZYŻÓWKA Z CHOINKĄ

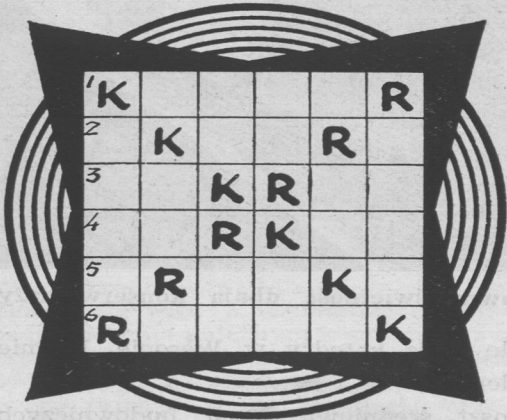


POZIOMO: 2) długa, giętka gałązka, pręcik, różga, 4) kłótnia, sprzeczka, 9) szopka świąteczna, przedstawiająca narodziny Chrystusa, 10) awanturnik, zabijaka, 15) atak samolotów, 16) ciężka praca na roli, 18) dolny, wystający brzeg dachu, 23) najwcześniejszy kwiat wiosenny, 24) orszak towarzyszący, świta, 25) talerzyk pod szklankę lub filiżankę.

PIONOWO: 1) tradycyjna potrawa wigilijna z gotowanej pszenicy z dodatkiem miodu, maku i bakalii, 2) wehi-

kuł, pojazd, 3) królowa papug, 5) królowa polskich rzek, 6) kto pod kim kopie, sam w nie wpada, 7) skaza na honorze, uchybienie godności, 8) strażacki lub górniczy hełm, 10) kościół ewangelicki, 11) występ, przewinie- nie, 12) zły albo dobry los, 13) samo- chód, 14) korab Noego, 16) kopia do- kumentu, 17) plama atramentowa w zeszytcie, 19) rachunek w banku, 20) młode jarzyny zamarynowane w occie z korzeniami, 21) podopieczna juhasa, 22) biust, piersi.

## DOPEŁNIANKA



Do wolnych kratek rysunku prosimy wpisać poziomo braku- jące litery w ten sposób, aby powstało sześć wyrazów 6-lite- rowych o podanych niżej zna- czeniach.

ZNACZENIE WYRAZÓW: 1) gardziel wulkanu, 2) dusigrosz, skąpiec, 3) tajemnica, której nie należy powierzać plotkarzom, 4) ogrodzenie, zwykle drewniane, płot, 5) surowe ziemniaki kraja- ne i smażone, 6) taki sobie ma- ły rak nieboraczek.

Rozwiązania prosimy nadsyłać pod adresem redakcji w ciągu dwóch tygodni od daty ukaza- nia się numeru, z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy na- deślą bezbłędne rozwiązania, zo- staną rozlosowane

NAGRODY KSIĄZKOWE

## SZYFROGRAM

Prosimy odgadnąć 18 wyrazów w kluczu pomocniczym o podanych niżej znaczeniach i ich litery podstawić na miejsce liczb zamieszczo- nych obok. Następnie do kraterk rysunku oznaczonych liczbami od 1 do 100 należy wpisać z klucza pomocniczego litery odpowiadające właściwym liczbom. Wpisane w ten sposób litery, czytane poziomy- mi wierszami, dadzą tekst rozwiązania.

KLUCZ POMOCNICZY:

- 28 — 29 — 31 — 62 — 63 — 39 — 5 = wąty, słaby, mizerak,
- 4 — 2 — 100 — 6 — 8 — 9 = soczyste wnętrze owoców,
- 42 — 14 — 15 — 7 — 47 — 77 = czwarta część całości,
- 55 — 18 — 16 = pluszowy niedźwiadek,
- 79 — 30 — 54 — 32 — 33 — 34 — 19 = solone ryby w beczce,
- 53 — 51 — 97 — 11 — 27 — 58 = jesienią opadają z drzew,
- 21 — 17 — 23 — 22 — 10 — 74 — 13 — 26 = nożyk kieszonkowy,
- 57 — 41 — 93 — 61 — 69 = trwa od narodzin aż do śmierci,
- 24 — 12 — 98 — 40 — 76 — 43 — 25 — 38 = trochę soli,
- 83 — 84 — 35 — 81 — 1 — 48 — 46 = bożenarodzeniowy świerk,
- 20 — 87 — 37 — 60 — 44 — 66 — 99 — 3 = oglądają widowisko,
- 59 — 68 — 50 — 82 — 90 = szelest liści, cichy gwar,
- 95 — 56 — 67 — 64 — 85 = do przenoszenia chorych,
- 45 — 70 — 36 — 49 = dwadzieścia cztery godziny,
- 72 — 78 — 88 — 75 — 65 = metalowe wnętrze w żelazku,
- 71 — 89 — 94 — 52 = ciastko z białka ubitego z cukrem,
- 80 — 96 — 91 — 73 = najnowszy zwyczaj ubierania się,
- 86 — 92 = głos naśladujący beczenie owiec, krów (nie „be”).

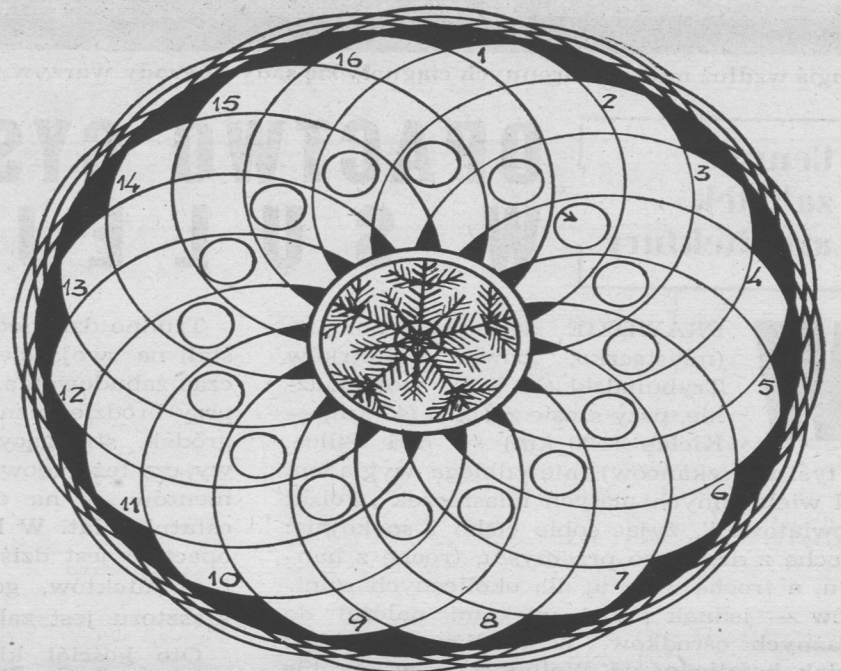
# Rozrywki umysłowe

## ROZETKA

Prosimy odgadnąć 16 wyrazów 5-li- terowych o podanych niżej zna- czeniach i wpisać je prawoskrętnie do- środkowo do odpowiednich pól rysun- ku, mając na uwadze, że początkowe litery wszystkich wyrazów są jedna- kowe. Litery, które się znajdują w po- lach z kółkami, czytane w kierunku ruchu wskazówek zegara, dadzą hasło zadania.

ZNACZENIE WYRAZÓW: 1) dziura wyrwana w wale przeciwpowodzi- wym, wyłom, 2) pogłoska, wiadomość,

fama, 3) ufność, że coś jest prawdą, 4) wawóz, jar, parów, 5) dźwig elek- tryczny, 6) surowiec włókienniczy, który zawdzięczamy owcom, 7) orze- czenie sądu, 8) popularny felietonista warszawski, 9) domowy basen kąpie- lowy, 10) z podarkami na plecach św. Mikołaja, 11) lokalne oględziny na miejscu przestępstwa, 12) wciągnięcie powietrza do płuc, 13) rezultat działa- nia, skutek, efekt, 14) nigdy nie wy- rosła na dłoni, 15) pasy, którymi jeź- dziec kieruje koniem, 16) zażenowanie wywołujące rumieniec na twarzy.



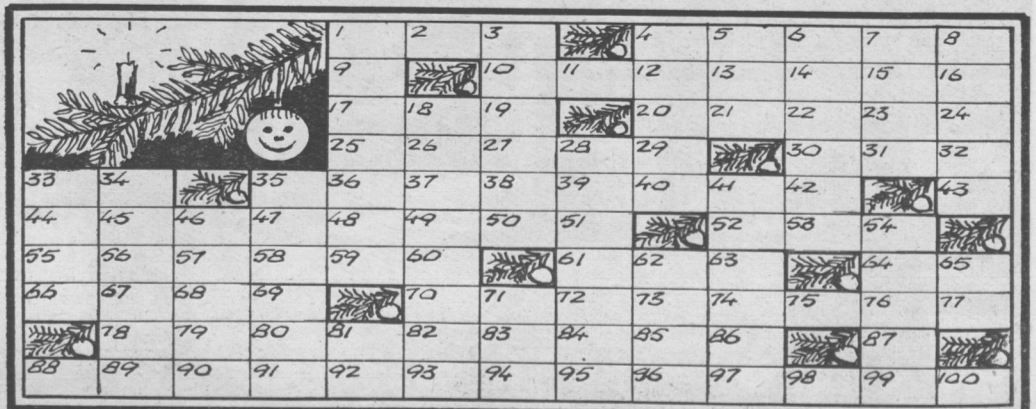
## RODAKU! RODACZKO!

Jeżeli chcesz wyjechać w tym roku do Polski, odwiedzić Ro- dzinę — nie czekaj na ostatnią minutę

NAPISZ JUŻ TERAZ PO INFORMACJE NA ADRES:  
**POLONIA**

26, Cours Vitton — 69 — LYON 6-ème

„POLONIA” wyrobi Ci paszport, załatwi wizy przejazdowe, bilet do każdej stacji w Polsce, wyśle pieniądze do Polski na pomoc Rodzinie, sprowadzi Rodzinę lub znajomych na wakacje do Francji. „POLONIA” organizuje wyjazdy grupowe do Pol- ski bez przesiadki z Paryża lub Metz do Poznania, Katowic, Krakowa.





# Moda Polska w karnawale



1

Zapewne w momencie ukazania się tego numeru w szafach wielu Czytelniczek już dawno będą wisiały wymarzone sukienki karnawałowe, na wszelki jednak wypadek podajemy nasze propozycje. Są to suknie wykonane w salonach „Mody Polskiej” i należy się spodziewać, że tak lub podobnie będą ubrane polskie eleganki przy okazji licznych jak co roku karnawałowych zabaw. Zasadniczą cechą obowiązującej mody balowej jest skromność i prostota w kroju sukni, przy równoczesnym bogactwie tkanin. A więc mnóstwo koronek, gipiur, błyszczących jedwabi i brokatów. Dekolty niewielkie, tylko czasem bardzo śmiało (przyjrzyjcie się, proszę, sukni nr 7!). I w modzie balowej nie rezygnujemy ze spodni, chociaż góra jest naprawdę wieczorowa (zdjęcie 6). Okres karnawału jest również okazją do sfinalizowania zasadniczych zmian w życiu młodej dziewczyny. Niejedna zdecyduje się na zamążpójście. Dla przyszłych oblubienic proponujemy więc suknię ślubną z białej gipiury (2). Przypomina ona troszeczkę sutannę: luźna, rozszerzająca się lekko ku dołowi — zapinana przez całą długość na niezliczoną ilość małych guziczków. Nieodzownym elementem stroju ślubnego jest od wielu dziesiątków lat delikatny biały welon. I dziś, choć moda się zmienia, welon jest najpiękniejszym symbolem najszcześniejszego dnia w życiu młodej dziewczyny. Przy okazji ślubu — nie rezygnujcie z niego!

KRYSTYNA



2



3



4



5



6



7



# Wydra Tymczasem Paska

Opowieść rysunkowa jest jakby kontynuacją poprzedniej naszej powieści rysunkowej pod tytułem „Kawaleria na okręty”. Oparta jest na tych samych autentycznych źródłach, szczególnie zaś na Pamiętnikach Jana Chryzostoma Paska z Gosławic, który żył w XVII w., należał za młodu do wybitnych rycerzy Stefana Czarnieckiego. Historia z wydrą jest jak najbardziej prawdziwa.

Rysunki wykonał:  
Włodzimierz Dybczyński

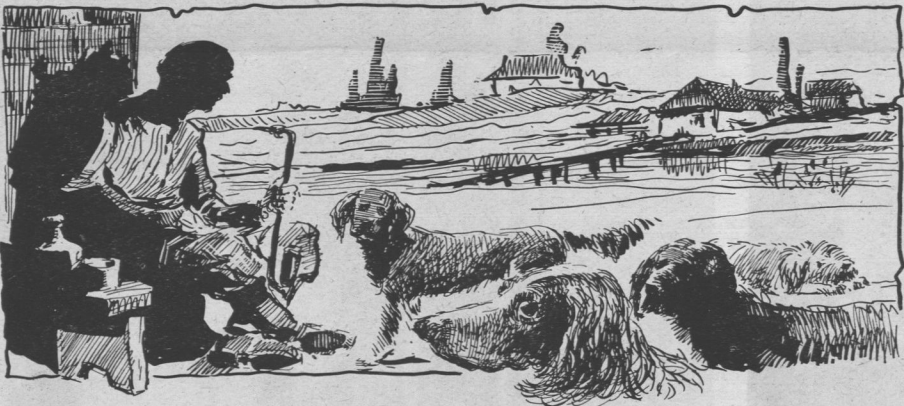
## ZWIERZYNIEC W OLSZÓWCE



Różnych wad doszukać się było można w Panu Pasku, choćby takiej, że był skory do awantur i z sąsiadami miewał częste konflikty, ale za to ze zwierzętami — nawet dzikimi, dogadywał się jak nikt inny. W czasie gospodarowania w Olszówce ze szczególnym zamiłowaniem oddawał się tresowaniu wszelkiego rodzaju ptactwa, jak i czworonożnego stworzenia, założył okazały zwierzyniec, jakim w tym czasie nikt w Rzeczypospolitej nie mógł się poszczycić. Aż dziw bierze, że to Paskowe zamiłowanie do zwierzęcego świata zostało zapomniane i że we współczesnej Polsce ogrodom zoologicznym nie nadaje się nazw jego imienia. Widocznie inne wyczyny Paska — szczególnie wojenne opisy wypraw, bijatyk, sejmików i elekcji, bardziej ludzi interesują.



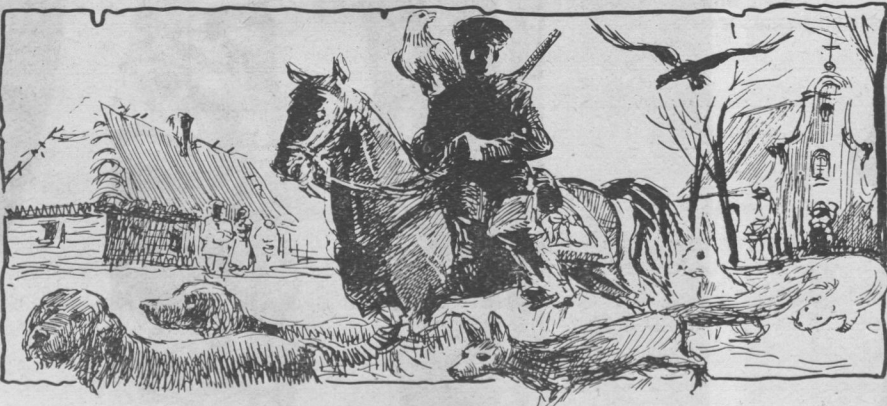
Hodowla zwierząt łączyła się u Paska z myślistwem. Pod rokiem 1680 sam na ten temat wzmiankuje chwając się, że „bywało też u mnie myślistwo z podziwieniem ludzkim” czyli takie, które u innych wywoływało zdumienie. „Począwszy od ptaków — czytamy dalej — zawsze miewałem dobre sokoły, jastrzębie, drzemliki (odmiana sokoła), kobuzy (małe drapieżne ptaki), kruki oswojone, które kuropatwy chwytaly i zające okrążały jak raróg. Wszystko to ptactwo praktykowało swą powinność. Jastrzębia raz miałem takiego, który był tak rączy, że każdego ptaka uganiał i nawet do najmniejszej ptaszyny nie lenił się, okraczwszy ją swymi szponami, zawsze żywusięnką do nóg mi przyniósł. Rzuciłeś go na największego ptaka — i tego gonil”.



Osiem lat miał Pan Pasek owego jastrzębia. Było to tak mocne ptaszysko, że kiedy dopadł starego zająca, który w ucieczce różne fortele stosował, z zagonu na zagon po przepędził i potem dopadł jak kuropatwę. Do myślistwa wyhodował sobie Pasek stado chartów z parki młodych, którą przywiózł od swego brata Stanisława Paska z ziemi sochaczewskiej. Było to bardzo piękne stadko. Każdy z psów był rosły, a przy tym niezwykle rączy: żaden zając, a nawet lis nie potrafił mu czmychnąć. Inaczej miała się rzecz z wilkami. Wilka atakowały Paskowe charty gromadnie. I zwykle z powodzeniem. W okolicy mówiono, że „nieszczęśliwy to zwierzę, które się z Panem Paskiem spotyka, bo mu już nie stanie czasu, by mógł swe życie uratować”.



Miał też Pasek przedziwny talent do tresowania zwierząt. Większość dzikich czworonogów i ptaków sam wyćwiczył. Miał przy tym nielada cierpliwość, a zwierzyna — trzeba to przyznać — łatwo go słuchała. Dziwił się temu niejeden, a niektórzy byli zdania, że te wszystkie umiejętności i cuda, które jakoby przywiózł z dalekiego świata, wywodziły się po prostu z diabelskiej mocy. Mieli go więc niektórzy sąsiedzi za czarownika. Ten i ów zęgnął się napotykając Paska na drodze, kiedy ten szedł ze swoim zwierzyniem. Bardziej tchórzliwi woleli go unikać. Za to mądrzejsi interesowali się jego tresurą, podziwiali i pragnęli go naśladować, nieraz też po radę do Paska przychodzili, jak się w takiej lub owej sprawie ze zwierzyną zachować.



Przyjechał kto nieraz do Paska, patrzy i własnym oczom nie wierzy, kiedy widzi, że na podwórzu lis najprawdziwszy z chartami igra jak gdyby nigdy nic. Bo lis był oswojony. Wszedł tak gość do izby a tam nowe dziwo: szyć najspokojniej pod stołem sobie leży, a na nim — zając siedzi. Największe przed zdziwienie budził Pasek u nieznanym, gdy szedł na polowanie. Przed myśliwym kroczy kilka chartów i wyśłów, wśród nich lis, kuna i jaźwiec; zając za koniem z dzwoneczkami podskakuje, choć na ludzką rozum powinien uciekać, a jastrząb siedzi myśliwemu na ramieniu; kruk zatacza w powietrzu kółka nad psami i czasem usiądzie na chwilę na grzbiecie charta. A gdy w tej gromadzie przechodził dostrzegł jeszcze wydrę, myślał, że śni.



Wydra w zwierzyncu Pana Paska była czymś wyjątkowym. Przeszła ona do historii i matki dzieciom na jej temat różne dziwy opowiadały. I dziś jeszcze w książkach dla młodzieży spotyka się o niej ciekawe opowiadania. Pan Pasek nie oswoił jej sam, lecz przy pomocy pewnego Niemca — obieżyświata, który trudnił się poskramianiem dzikich zwierząt. Do Paska przylgnęła i wierna mu była nadzwyczajnie. A umiejętności posiadała wprost nie do uwierzenia. Sława tego zwierzątka rozszła się po całej Rzeczypospolitej. Doszła nawet do samego króla Jana III Sobieskiego — też wielbiciela wszelkiej fauny i flory, który w ogrodach przy pałacach w Wilanowie i Jaworowie utrzymywał przeróżną zwierzynę. Wydrą Paska zajmiemy się osobno.



## SILNIEJSZA OD CHARTA



Mówiliśmy, że wydra Paska była nie tylko najciekawszym okazem jego zwierzyńca, ale że cieszyła się sławą szeroką i w całej Rzeczypospolitej, wiele opowiadano, że pewien szlachcic w Krakowskim oswoił zwierzę, jakiego jeszcze nikt nie oswoił, i tak je sobie podporządkował, że mu wszystkie czynności wykonuje. W Krakowskim oczywiście wiedziano, że owym szlachcicem jest Imię Pan Chryzostom Pasek, przybysz z Ziemi Rawskiej, ożeniony z wdową z Ziemi Pińczowskiej, dzierżawca Olszówki. W zwierzyńcu Pana Paska wydra żyła w przyjaźni ze wszystkimi innymi czworonogami domowymi i dzikimi, które zostały oswojone, ale szczególną sympatią darzyła niemieckiego psa Kapreola, od którego wiele sobie różnych sztuk przyswoiła.



Ale obcych psów nie znosiła i przy każdej okazji rada im płała figle. Bały się jej też psy jak ognia. Raz odwiedził Paska niejaki pan Stanisław Ożarowski; przyjechał do Olszówki z synem i charcicą. Obaczywszy wydrę nakazał synowi: „Trzymaj charcicę, żeby wydry nie zjadła!”, na co pan Pasek: „Nie turbuj się Waś, nie da sobie to zwierzątko krzywdy zrobić choć małe”. Na to gość: „Co Waś zartujesz? Ta charcica wilka się chwytła, a na lisa tylko raz ziewnie!” Wydra tymczasem podeszła do charcicy i patrzy jej w oczy, potem okrążyła ją wokół i powąchała zadnie nogi, a z kolei najspokojniej odeszła na bok. Wydawało się, że między obu stworzeniami będzie zgoda. Kiedy jednak mężczyźni rozpoczęli rozmowę, wydra ruszyła do ataku.



Nie od razu i nie nagle. Po cichu zaszła charcicę z tyłu. Nikt na nią nie zwracał uwagi. I kiedy już miała dogodną pozycję, złapała psa za tydkę. Charcica skoczyła do drzwi, wydra za nią, charcica na piec, wydra za nią, a kiedy już psisko nie widziało dla siebie miejsca, chciało przez okno wydostać się z izby, tłukąc przy tym dwa szlifowane kielichy z winem. Dopiero ją pan Ożarowski uchwycił za nogi i uchronił u siebie. A potem jak ją wypuszczono, nie pokazała się swemu panu aż nazajutrz po obiedzie, kiedy odjeżdżał, bacznie przy tym bacząc koło bramy, czy ją gdzie wydra z tyłu nie nachodzi. „Wszędzie się jej psi bał — mówi Pasek. — W drodze nieraz, jeno ją pies powąchał, a ona skrzypnęła przeraźliwie, to pies zaraz uciekł”.



Kiedyś zdarzyło się, że Pasek zalał pałę i jak bela wyciągnął się pijany na łożu, wydra czuwała przy nim, nie dając nikomu doń przystąpić. Chłopcu ledwie pozwoliła z butów zzuć gospodarza, ale gdyby ktoś obcy do łóżka przystąpił, narobiłaby niemożliwego hałasu. Często sypiała razem z Panem Paskiem w tej samej pościeli, ale tak była czysta, że nigdy się nieporządkiem nie splamiła. Ustawiono jej w kącie skorupę i do niej chodziła z potrzebą. Miała też ona wydra swoje wymogi. Przede wszystkim byle czego nie jadła. Nie chciała ani surowego mięsa, ani surowej ryby. Tylko gotowane i jeżeli jedzenia nie zaprawiono jarzyną — nie jadła. A wszystko musiało być podane czysto, na wymytej wcześniej misce. Brudem bardzo się brzydziła.



W podróży wielką miał Pan Pasek wygodę, zwłaszcza w dni postne. Przyjeżdża do miasteczka i w karczmie pyta: „Ryby macie?” — „A skądby się tu ryby wzięły, Dobrodzieju!” Na takie dictum Pasek pyta, gdzie tu jaki staw, jezioro lub rzeka i ze swoim zwierzątkiem nad wodę podjeżdża. Po czym na wydrę zawoła: „Rybak, hul! hul!” i Rybak do wody, z której raz za razem rybę wynosi. Zdarzało się czasem, że i żabę przyniosła, ale ryb zawsze przy niej starczyło: pożywił się Pasek, pożywiła się i czeladź, a także niejedną przygodny podróżny, którego karczmarza w postny dzień nie miała czym uraczyć. Nieraz w różnych miejscowościach Pan Pasek wcześniej zaopatrywał się w ryby, a miejscowi ludzie dziwili się, gdzie je kupił. Odpowiadał, że w wodzie.



Sława wydry Pana Paska była tak duża, że kiedy zdarzyło mu się przyjechać z nią do Krakowa, to mieszczenie, pospólstwo i żacy przy bramie go oczekiwali, gdy będzie wyjeżdżał, by się wydrze nadziwić „jak jakiemu nieznanemu zwierzęciu, które z Indyi przywieziono”. Nie lubił Pan Pasek takich adoracji, bał się zresztą, by zwierzątko jakimś zbyt śmiało dowcipnisiowi palca nie odgryzło. Szczególnie uważał po wypadku, jaki zdarzył się z księdzem Trzebieńskim u wuja Pana Paska, gdzie ten w gościnę z wydrą zajeżdżał. Wydra ułożyła się tam na posłaniu i spała, ksiądz zaś myślał, że to futerko — tak się przynajmniej później tłumaczył — które chciał pogłaskać, wydra łap go za rękę i tak go ukąsiła, że zemdlął i z trudem księdza oduciono.

Pięknym podarunkiem na Gwiazdkę  
dla przyjaciół lub krewnych jest zaprenumerowanie  
„TYGODNIKA POLSKIEGO”



## KRÓTKI ŻYWOT U KRÓLA JANA III



Któregoś dnia przybył do Olszówki, gdzie na codzień rezydował Imć Pasek, pan Straszewski z listami od króla Jana III Sobieskiego. Chodziło w tych listach królowi o wydrę. Dowiedział się Jan III o niej od jakiegoś szlachcica. Początkowo w Wilanowie, gdzie wówczas rezydował, nie wiadomo, że właścicielem owego niezwykajnie wyszkolonego stworzenia jest Pan Pasek. Wysłano więc pana Straszewskiego na poszukiwania. Ale gdy ten zjechał do Krakowa, nie trudno się mu było dowiedzieć, że chodzi o Pana Paska. I wtedy król wystosował do niego specjalne pismo, a pan Straszewski musiał drogę z Warszawy do Krakowa jeszcze raz przemierzyć. Tak Jego Królewskiej Mości na tym zwierzęciu bardzo zależało, bo też miłośnikiem fauny był wyjątkowym.



Podobno król dowiedziawszy się, że wydra jest w rękach Paska, bardzo się uradował: „Przecież mnie Pan Pasek dawno znajomy — miał powiedzieć — i chyba proście nie odmówi”. Tak przynajmniej referował rzecz pan Straszewski, a faktem jest, że w czasie wojennych wypraw zetknął się Pasek z Sobieskim, wówczas jeszcze nie królem, ale jednym ze sławnych wodzów. Adresat przeczytawszy listy oświadczył, że oczywiście radby nieba przychylić królowi i że mu niczego nie może odmówić, boć to przecież nasz król z Piasta, czyli z polskiego rodu, któregośmy sami wybrali, ale w duchu myślał, jak by się tu ze sprawy wymigać. Najpierw udał naiwnego i wysłannikowi skórę z jakiejś innej wydry chciał przekazać, co się oczywiście na nic nie zdało.



Koniec końców zapadła zgoda i wydra miała pojechać z panem Straszewskim. Pan Pasek nie chciał naturalnie żadnej od króla należności za oswojonego czworonoga, zapewniał nawet, że to dlań wielki zaszczyt móc królowi prezent zrobić, ale wydra jakby coś przeczuwała. Kiedy Pasek zawałał na nią „Rybak pojedziesz z panem do króla!” — jakby zmarmotniała. Poczęła się łaścić wokół Paska, po czym posłusznie podążyła za nim do izby. Na to zdumiony pan Straszewski zawałał: „Dla Boga, jakże to król tego nie ma pragnąć, kiedy to takie łaskawe!” „To Wasz samą tylko łaskawość widzisz, ale dopiero będziesz chwalić, jak zobaczysz jej cnoty!” I poszli z Rybakiem nad staw, gdzie ten zgodnie z rozkazami różne czynności wykonywał.



„Wyprawilem mojego Rybaka na nową służbę — zapisał w pamiętniku Imć Pasek — ale wydra niewdzięcznie akceptowała tę wyprawę”. Piszczala i wrzeszczała, kiedy Straszewski jechał z nią przez Olszówkę, chciała się wydrzeć z klatki; Pasek wolał tego nie słyszeć i nie widzieć, szybko więc zawrócił do domu. Zmarniało zwierzątko w drodze z tęsknoty i wychudło. A kiedy ją królowi oddano i opowiadano o jej zaletach, ten kazał ją najpierw pogłaskać swej ulubionej Marysieńce. Ale ta bała się ukąszenia. Pogłaskał ją więc sam i wtedy zwierzę przychyliło się ku niemu. Kazał jej dać jeść, ale wydry nic nie cieszyło. Podstawili jej naczynie z wodą, napuszczono do niej ryb i raków, to ją już bardziej zajęło, chwytala je i wynosiła z wody.



Król dokładnie przestudiował informacje Imć Paska, który wyjaśnił je pisemnie na dużym arkuszu, i ściśle się do nich zastosował. Początkowo wydry nie wypuszczano z pałacu, łaźła po schodach, smętnie obwachiwała kąty, co ją jednak nie bawiło. Chciała bobrować po stawach, po rzekach i wyjść według dawnego zwyczaju z domu, kiedy miała ochotę. Na to jednak nie pozwalano, bano się, aby nie zginęła. A ona chciała według swojej natury żyć — w przyrodzie. Wypatrzyła więc którejś nocy taki moment, że drzwi pałacu były uchylone, nie zauważona przez nikogo wydostała się do ogrodu. Błąkała się po ścieżkach, wykapała się w stawie, a potem ruszyła na zwiedzenie okolicy. I choć nic tu nie przypominało jej dawnych stron, w przyrodzie czuła się lepiej.



Rano na ścieżce spotkał ją dragon. Nie wiedząc, co to, czy chowane czy dzikie — uderzył berdyszem i zabił. W pałacu tymczasem zrobił się ruch: spostrzeżono brak wydry. Rozesłano gońce na poszukiwanie, ale wydry nigdzie nie było. Wreszcie jeden z czeladzi pałacowej natknął się na podróżnego Żyda, który coś krył pod chałatem. „Co tam masz?” — zawałał. — I Żyd wyjął skórę z wydry wypchaną słomą. „Kupiłem skórę od dragona”. Tłumaczył się, że niewinny. Odszukano dragona. Przyznał się, że ubił zwierzę. Obu zamknięto. Król dowiedziawszy się o wszystkim omal nie dostał szału: porwał się za czuprynę, kłął, groził zemstą, zapowiadał ukaranie wszystkich winnych. Ale cóż z tego — oswojonej przez Paska wydry nic nie mogło przywrócić do życia.

Przyjeżdżając do Paryża  
nie zapomnij odwiedzić

25, rue Drouot Paris 9-e

la boutique polonaise

téléphone: 770-83-37 c.c.p. Paris: 189.46.68





**PARYŻ**

**POLSKIE BIURO PODROŻY  
ORBIS**

18, rue Louis Le Grand - PARIS 2-ème  
Tél. 073.62.26 i 742.05.60

**Z okazji Świąt  
i Nowego Roku**

**ż y c z y  
wszelkiej  
p o m y ś l n o ś c i  
i zaprasza  
serdecznie  
do POLSKI**

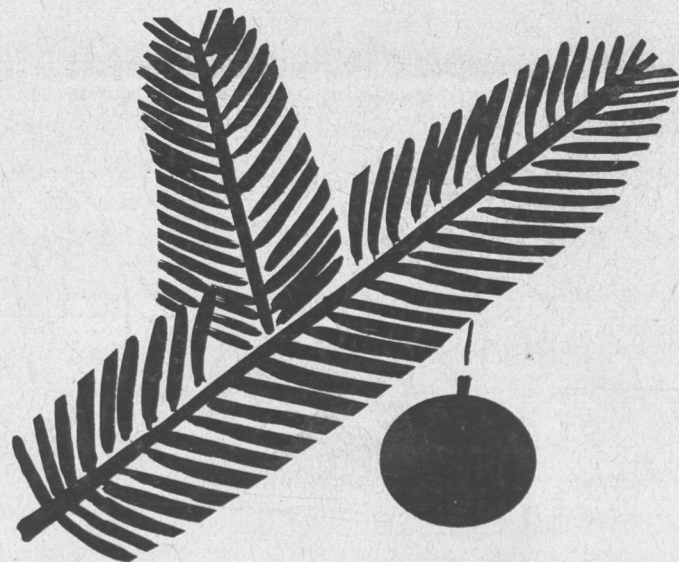
**PKO**

**BANK  
POLSKA KASA OPIEKI S.A.**

23, rue Taitbout—PARIS IX-ème  
Tél. 824.42.02 Métro: Chaussée—d'Antin

- Udziela wszelkich informacji osobiście, telefonicznie i odpowiada na zapytania listowne.
  - Przesyła z Francji do Polski towary PKO oraz pieniądze jako pomoc i dary dla rodzin i znajomych w Polsce. Dostawa towarów i gotówki następuje wprost do domu adresata.
  - Przekazuje wpłaty na koszty podróży dla osób zaproszonych z Polski do Francji.
  - Przyjmuje wkłady na oprocentowanie oraz załatwia wszelkie inne operacje bankowe.
- Na żądanie wysyłamy nasze prospekty, cenniki i materiały informacyjne.

**BARDZO NISKIE KOSZTY, SZYBKA I WYKWALIFIKOWANA OBSŁUGA**





# WESOŁYCH 'SWIĄT!

